

*J.-K. Huysmans*

HORIZON

32756-

# NA WSPAK

przełożył i wstępem poprzedził  
Julian Rogoziński

**WYDAWNIK** 1976



Tytuł oryginału francuskiego: *A rebours*

Opracowanie graficzne: Andrzej Heidrich



943/8611

Bibl. UAM

76 EO 897

## Wstęp

Twórczość Jorisa-Karla Huysmansa (1848 - 1907) oficjalnie dzielić się zwykło na dwa okresy. Będą to najpierw lata wierności dogmatom naturalizmu, lata zapatrzeń w mistrza Zolę i wizyt w jego podparyskiej willi w Medanie, zakończone, jak uciał, publikacją powieści „Na wspak” (1884). Od tej chwili Huysmans podąży własną drogą, którą nazwie supranaturalizmem, gorsząc swoich współczesnych lub zdumiewając ekstrawagancjami stylu i myśli nie mniej nieoczekiwanymi, choć już nie tak znakomicie absurdalnymi, aniżeli koncepty i gusty diuka Jana Floressas des Esseintes'a, bohatera „Na wspak”. Skandal wywoła powieść następną, „Là-bas” (1891), poświęcona satanizmowi, bogato i w różnorodnych postaciach kwitnącemu za Trzeciej Republiki pod koniec XIX wieku. Zdaniem biografów, Huysmans w czarnych mszach osobiście nie uczestniczył raczej i znał je tylko z relacji świadków naocznych, a może i praktykujących rytuały diabelskie. Zaznajomił się z nimi jednak nie tylko dzięki arcybogatej literaturze przedmiotu — jaką w tym względzie, zwłaszcza od XVII stulecia, tworzą Francuzi — skoro członkowie zakonu kabalistycznego Rose+Croix (do jego założycieli należeli poeci i pisarze o zapędach mistycznych) próbowali ponoć supranaturalistę zgładzić. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Do wcześniejszych książek Huysmansa wrócimy jeszcze. Teraz podkreślić tylko wypada, że wszystkie je od pierwszej chwili, od debiutanckiego tomu poematów prozą, „Le Drageoir aux Epices” (1874), aż do reportażu „Les Foules de Lourdes” (1906), po którym pisarz umilknie już na zaw-



sze, łączy nieprzerwany, nadzwyczaj silny i żywotny wątek autobiograficzny. Diuk des Esseintes z „Na wspak” przeobrazi się w Durtala z „Là-bas”, bliższego zresztą — przynajmniej na pozór — wcześniejszym, mieszczańskim wcieleniom Huysmansa (Jacques Marles czy słynny Folantin) niż ów arystokrata, którego pierwowzór, a był nim hrabia Robert de Montesquiou-Fezensac (1855 - 1921), poeta symbolista zbliżony do kręgu Mallarmégo, w nie tak wiele lat później zafascynuje również i Prousta. Dygresja jednak na temat podobieństw i różnic między des Esseintes'em a baronem de Charlus to materiał do nie kończących się rozważań, które daleko odwieść by nas mogły od szlaków wytyczonych w niniejszym szkicu, bardziej sytuacyjnym niż analitycznym. Chociaż nie zawiodłyby nas na manowce. Jak najogólniej rzecz ująwszy, istoty owych różnic nie należałoby szukać w dwóch wizerunkach jednej i tej samej postaci, lecz w odmienności dwóch spojrzeń, które swym obserwacjom dały wyraz. W grę wchodzi odrębność dwóch światów pisarskich, a nie cech, jakimi Huysmans i Proust obdarzyli swojego bohatera. Profil diuka Jana chwilami pokrywa się z profilem barona Palamedy, ale najczęściej z nim kontrastuje. Podobnie jak twórczość Huysmansa i Prousta nasuwa niekiedy na myśl pewną paralelę mniej sztuczną, niż wydawać by się mogło: czas odnaleziony Marcela i czas odnaleziony Zi-Ka (J.-K.), jak nazywał Huysmansa Paul Valéry, który za młodu mienił „Na wspak” swoją „biblią i książką czytowaną do poduszki”.

Ale odnalazłszy swój czas, Huysmans zniżył lot. Po „Na wspak” i „Là-bas”, jego szczytowych osiągnięciach, powstanie trylogia, w której pisarz nie raz jeden podda cierpliwość czytelników ciężkiej próbie. Trud bywa jednak często tu nagradzany, liczne nudziarstwa przechodzą nagle, przynajmniej trzeba, w lekturę pasjonującą, kiedy autor zapomniawszy o drobnych kłopotach swojej grzesznej duszy zaczyna, jak dawniej, olśniewać erudycją w rzeczach sztuki kościelnej wraz z jej symboliką i magią, zadziwiać i bawić swoim stylem dziwacznym i barwnym lub niepospolitymi skojarzeniami obrazów, wciągać w swoje medytacje na temat ła-

mańców teologii moralnej, dziejów rytuału katolickiego, literatury mistycznej, śpiewów gregoriańskich i muzyki dzwonów, kruczków kazuistyki i kaprysów Łaski. Wtedy odzywają się w Durtalu koncepty des Esseintes'a. Jeszcze nie na ścieżkach wiary, jak Durtal, ale już do cna wycieńczony ascezą, osłabiony tak dalece, iż musi uciekać się do odżywczych lewatyw, diuk Jan trapi się, czy wypada mu w piątki posilać się odbytniczymi wlewkami z rosółu, który Huysmans nazywa uczenie *herbatą wołową*. Swym penitentom łakomym a niepowściągliwym, którzy przykrzyli sobie dni postne, jezuici doradzali w XVII wieku zastępowanie mięsa — czekoladą. Stąd ów kazuistyczny, herbaciany eufemizm: des Esseintes był wychowankiem owych mądrych ojców. Dowcip godzien surrealistów, którzy Huysmansa nie zaprzestali doceniać i cenić wśród długich lat, kiedy supranaturalistę uważano za jeden z martwych ekspozatów, a w najlepszym razie figur woskowych muzeum dziewiętnastowiecznego piśmiennictwa. Zaliczywszy go w swojej „Anthologie de l'humour noir” (1940) do mistrzów czarnego humoru, André Breton stwierdza, iż owo widzenie świata w barwach tyleż posępnych co komicznych, dar groteski, wygasa już w „Na wspak”. To prawda, że w „Là-bas” Huysmans sili się na śmiertelną powagę — bez pożądanego skutku, skoro opis czarnej mszy nie przeraża, a tylko śmieszy, tak samo jak po tym czarcim nabożeństwie igraszki miłosne Durtala z panią Chantelouve w łóżku wysypanym konsekrowanymi hostiami. Nie trwoży również diabelski celebrans, wyklęty kanonik: „Według relacji starożytnego księdza, demoniczny Docre miał być poczciwym starym księżulem, który brał na fundusz łatwowieznego Huysmansa” — notuje w swoim „Dzienniku” Julien Green.

Łatwowieństwo, cecha raczej osobliwa u wyższego urzędnika Ministerium Spraw Wewnętrznych, którym przez drugie lata był Huysmans, wyspecjalizowany podobno w obwąchiwaniu niesfornych cudzoziemców. Des Esseintes także studiował zapachy, ich polifonie i symfonie, co prawda w innej płaszczyźnie. Tak więc, szukając dla eksperymentów diuka Jana — a zatem i swoich — uzasadnień głębszych,



transcendentnych, w okresie pisania „Là-bas” Huysmans wyprawia się systematycznie do Lyonu, ówczesnej siedziby wszelkich ruchów ezoterycznych i okultystycznych, stolicy demonologów i magów, iluminatów i herezjarchów, astrologów i nekromantów przeróżnej maści, głównie skądinąd białej i czarnej. Pozytywizm nadrabiał zaległości wobec romantyzmu, pleniły się aberracje o posmaku często jarmarcznym, zjawisko pospolite dla wtórnych prądów umysłowych. Dziś nazywa się to „subkulturą”.

Spośród jej lyońskich przedstawicieli Huysmans szczególnie upodobał sobie zasuspendowanego księdza Boullan, który głosząc się „arcykapłanem boskiego charyzmatu Melchizedecha”, odprawiał nabożeństwa w asyście dwóch pań jasnowidzących. Urzędnik Prefektury paryskiej jedną z ekstatyczek uznał od razu za hochsztaplerkę, drugą jednak, „maman Thibault”, oszacował tak wysoko, że po śmierci proroka przygarnął w charakterze kucharki, która choć sama żywiła się tylko papką z chleba, mleka i miodu, gotowała pisarzowi przy wtórze „kilometrowych modlitw” słynny rosół wypełniający od rana do wieczora swoimi aromatami jego mieszkanie na ulicy Saint-Placide. Des Esseintes oszalałby zapewne, Huysmans-Durtal znosił je z chrześcijańską pokorą, nie wyrzekając również na legion kotów, którymi otaczała się ekstatyczka. Co zaś do obrzędów, jakie wykonywał herezjarcha, niezbyt skądinąd w swoich pomysłach liturgicznych oryginalny, Guy Chastel w ciekawej i wybornie udokumentowanej książce, „J.-K. Huysmans et ses amis”, naszkicował obraz jednego z tych osobliwych nabożeństw oparłszy się na listach, którymi autor „Là-bas” hojnie obsyłał znajomych: „...Ofiarę ku chwale Melchizedecha celebrował Boullan z gołą głową, boso, odziany w fałdzistą szkarłatną szatę... przepasaną błękitnym sznurem i zdobną na plecach w odwrócony do dołu krzyż”. Mame Thibault z heretyckich oczadzeń już wywietrzoną, wystylizowaną na „kolumnę modlitw”, spotkamy potem w „La Cathédrale” jako Celestę Bavoil, damę świątobliwą i nieutrudzoną we wszelkich możliwych pielgrzymkach.

„La Cathédrale” (1898) — powieść z pozoru tylko raczej,

w istocie zaś wielowarstwowe studium historyczne o katedrze w Chartres — stanowi część drugą wspomnianej trylogii. Nadmienić warto, że sukces tej książki pozwolił Huysmansowi rozstać się z biurkiem w Prefekturze. Pierwszy tom owego cyklu, „W drodze” (1895), relacja przeżyć grzesznika, który nie bez oporów wraca przed ołtarz i konfesjonał, imponuje szczerością wyznań. Według utartego schematu powieści katolickiej skruszony grzesznik niknie za bramą niebios i raz na zawsze przestaje być interesujący. Durtal zмага się ze sobą; nawróconego nadal nęci bardziej burdel niż kruchta; jak des Esseintes nienawidzi popolitości, zżyma się na głupotę kleru i banał współczesnej sztuki kościelnej. Na kuchnię klasztorną i prymityw mniszej egzystencji, fizyczny i moralny również. Nie znaczy to jednak, by konwertyta wywyższał się ponad nowe otoczenie lub upoetyczniał swoje stany duchowe. Medytując nad ich genezą, Durtal wyobraża sobie działanie Łaski jako proces fizjologiczny. Wspomniałszy o porażeniach wiarą lub jej eksplozjach na terenie wprzód podminowanym, bohater „W drodze”, supranaturalista, tak oto rozważa swój przypadek: „...ale musi istnieć także trzeci sposób, najzwyczajszy zapewne, a którym dobrał się do mnie Zbawiciel. Licho wie, na czym on polega; to coś analogicznego do trawienia, żołądek pracuje nie czując swojej pracy. Nie było drogi do Damaszku, nie było zdarzeń, które determinują przełom...”

W tym samym niemal czasie młody André Gide przemyślał nad szczerością swoich wynurzeń, które przy otwartości Huysmansa wydadzą się nieraz dość minoderyjne i papierowe. Pod względem bezpośredniości wyznań najszerszej otwarta jest trzecia część trylogii, „L'Oblat” (1903). Tu bowiem Durtal, podejmujący niefortunną próbę osiedlenia się w pustelnicznym domku przynależnym do opactwa benedyktynów w Ligugé, jednoczy w sobie wszystkich Huysmansowskich malkontentów, mieszczan paryskich z ich obrzydzeniami i urazami, obsesyjnie lękających się — jak Folantin, Marles i inni — chorób żołądkowych i wenerycznych, przeciągów, wilgoci i niewygód wszelkiego rodzaju,



a zwłaszcza nienawidzących przyrody. W supranaturaliście bowiem natura budziła wstręt nieprzezwyciężony. „Ta świnia słowik ryczał jak krowa i nie dawał mi spać” — żali się Huysmans na bezsenne noce w oblackim domku. Wiktor Hugo w słowach niemal identycznych skarżył się na słowicze pienia w liście do Juliette Drouet. Ale Hugo, miłośnik przyrody, był powściągliwy; świniowaty słowik „py-skował” tylko; Huysmans, mistrz metafor spiętrzonych i barwnych, dodał „rycząca krowę”. Jules Renard zanotował w swoim „Dzienniku”: „Styl Huysmansa jest jak twarda szczotka, i drapie to-to, i są tam włosy bardzo grube, bardzo grubiańskie”. Ze wspomnień i pamiętników wiadomo, że dosadność ta nie była pozą: Huysmans tak samo pisał, jak mówił, nie stroniąc od gwary ulicznej i wyrażen uchodzących podówczas za trywialne. Jednych ten język zachwycał, jak René Dumesnila, drugich raził — jak Rémy de Gourmonta, który, chociaż zaprzyjaźniony z Huysmansem, rozmowy z nim uważał za wyjątkowo nieznośne. A dziś właśnie dzięki — między innymi — temu językowi z jego przyrodzoną, by tak rzec, dziwacznością, wspaniałą jędrnością i pięknymi wulgaryzmami, znajdujemy upodobanie w owym „naturalizmie spirytualistycznym”, jak określał charakter swojego dzieła autor „Na wspak”. Céline i Sartre, na pełną już skalę wprowadziwszy *argot* do powieści, w ogromnej mierze podążyli drogą, jaką wskazał Huysmans. I nie tylko to. Zbieżność między nazwiskami Folantin i Roquentin nie wydaje się przypadkowa. Mdłościom i lękom bohaterów Huysmansa, którzy „wymiotują samych siebie”, natręctwom bardziej fizycznym niż psychicznym, na pozór przynajmniej, gdyż nie analizowanym jeszcze za jego czasów, Sartre przydał sens przeżyć obejmujących ogólną problematykę istnienia. Zola nazwał swój cykl powieściowy *historią moralną i społeczną*: „Rougon-Macquartowie” obrodzili głównie w „Thibaultach” Martin du Garda i „Pasquierach” Duhamela, swoich krewnych, nie zawsze zresztą bliskich. Ziarno Folantinów padło tuż przy nas.

Ambicjom twórczym Huysmansa, znacznie szerszym

i głębszym, nie wystarczała powieść jako obraz przemian obyczajowych i socjalnych epoki. Zmierzał w powieści — zjawisko dziś powszechne — ku esejowi, przewidując, iż powieść połączona z nim zawrze sumę doświadczeń i odkryć estetycznych, przyrodniczych, technologicznych etc., przekształcanych w oku poety. „Na wystawie Brytyjskiej... W radosnej hali machin. Są tam tancerki cudaczne, wścieklice, lubieżnice, rozigrane tłoki. Huysmans zrobiłby z tego całą książkę” — zapisał Jules Renard w swoim „Dzienniku”. I jesienią roku 1907, jak gdyby w charakterze epitafium: „Huysmans to kolor, o tak! To słowa eksplodujące, trochę rozmiążdżone”. Mylił się Paul Valéry nie rokując tym właśnie cechom stylu Huysmansa szans przetrwania.

Z wiernością fotograficzną — dzisiejsi mistrzowie fotografii dowiedli swoimi pracami, jak nikła granica dzieli ową wierność od fantasmagorii — ukazywał kolejno Huysmans rzeczywistość przeważnie paryską: w „Marthe” (1876), w „Les Soeurs Vatard” (1879), w „En ménage” (1881) ... W pełni czytelna jest obecnie na dobrą sprawę tylko druga z nich. Ale między „Na wspak” a „Là-bas” było jeszcze „En rade” (1887), powieść stanowiąca niezmiernie ciekawy aneks do dziejów des Esseintes'a. Akcja bowiem rozgrywa się na zamku Lourps, kompletnie już zrujnowanym, a bohater, Jacques Marles, śni nękany koszmarami podobnymi tym, wśród których miotał się diuk Jan. Przyczyny, dla których Marles znalazł się na wsi u chłopów, krewniaków swojej żony, to tylko pretekst do napisania powieści — jak byśmy dziś powiedzieli — onirycznej, gdyż wszystko tutaj stanowi obrazy z dręczącego snu: przyroda, amfilady komnat zasypanych gruzem, drzwi wiodące donikąd, scenki między wiejskimi gospodarzami a miejskimi gośćmi, dialogi, w których słowa rozmijają się jakby. Plastyka tej rzeczywistości zamienionej w fantazmat przypomina filmy Buñuela albo prozę surrealistów, takich jak René Crevel, a zwłaszcza Julien Gracq. A więc obok czarnego humoru ciągi zdań i pojęć zapowiadających niewątpliwie zapis automatyczny Bretona. Do sprawy tej wrócę jeszcze...



Ale najwyraźniej „surrealistyczny” był Huysmans w dwóch swoich ostatnich książkach, które zaczytywał za najpobożniejsze: w „Sainte Lydwine de Schiedam” (1901) i w „Les Foules de Lourdes” (1906).

Miło przypomnieć, że pierwsza z tych osobliwości piśmiennictwa dewocyjnego nie czekała zbyt długo na przekład polski, już bowiem rok 1905 przyniósł, w poznańskiej Księgarni Św. Wojciecha, „Życie św. Ludwiny z Sziedam” — holenderskiej cierpiénicy, która na przełomie XIV i XV wieku miała ułatwiać ludzkości „rajski przebyt”, wzięwszy na siebie pasmo chorób straszliwych, obrzydliwych i nieuleczalnych, nękających tę stygmatyczkę od lat zarania aż do śmierci. Nie nasza rzecz rozważać tutaj, na ile dziełko Huysmansa jest apokryfem wymyślanym ze źródeł kościelnych, a na ile traktuje o zdarzeniach prawdziwych; ani w jakim stopniu pozostaje w zgodzie z ortodoksją katolicką, a w jakim — o czym napomykają znawcy przedmiotu — trąci pokutującymi nadal w umyśle i duszy autora resztkami herezji Boullana i jego mistrza Vintrasa, którzy głosili poglądy dość specjalne i ryzykowne na dogmat o świętych obcowaniu. Boullan obcował cielesnie ze swoimi ekstazykami, które tym sposobem czyniły pokutę mniej co prawda potworną od udręczeń, jakie Ludwinie zadawało, obok innych tortur, robactwo gospodarujące w jej trzewiach. Nad podobnymi i jeszcze innymi, paskudniejszymi symptomami choroby Huysmans rozwodzi się z taką samą lubością, z jaką des Esseintes kontempluje swoje ukochane ryciny, na których ręce katów ociekają krwią ofiar. Estetyka na wspak, ale nie będąca czystym płodem imaginacji: w Huysmansie tkwił namiętny masochista, o czym świadczą nie tylko wszystkie jego książki, lecz i biografia. Zabijany powoli nowotworem języka, pisarz nie chciał przystać ani na morfinę, ani na żadne inne medykamenty, które przyniosłyby mu ulgę. Nie kwestionując heroizmu chrześcijańskiego myśle, że wspomagała go skłonność, by tak rzec, naturalna.

Edmond de Goncourt uważał nawrócenie Huysmansa za mistyfikację, Henri Brémond, podówczas jeszcze jezuita,

jeden z najświetniejszych i najsubtelniejszych umysłów nie tylko *fin de siècle*’u ufał mu i wielbiłby jego pisarstwo bez zastrzeżeń, gdyby nie ekstrawagancje stylu i języka, tak nam dziś w ogólności bliskie; autor „Na wspak” miał też entuzjastę w swoim spowiedniku, słynnym z błyskotliwej inteligencji i mądrości księdzu Mugnier, przyjacielu literatów i artystów, postaci niemal legendarnej — zawsze gotowym służyć im radami, niekoniecznie tylko w rzeczach wiary czy moralności. Ale Brémond miewał poważne targi z Watykanem o te swoje prace hagiograficzne zwłaszcza, gdzie traktował o świętych symplakach, jeśli nie debilach, których Kościół musi przyjmować z dobrodziejstwem inwentarza, ale za którymi nie przepada raczej, takich jak w „Divertissement devant l’Arche” święty Józef z Cupertino, kreowany przez Cendrarsa patronem lotników, święty Fiakr, patron dorożkarzy, albo święta Chantal, „patronka niechlujów” i notabene rodzona babka pani de Sévigné. Księdzu Mugnier okazywano w arcybiskupstwie paryskim niechęć za złośliwy dowcip i cięte riposty, kontakty z naturalistami i, co gorsza, z modernistami, przyjaźń z katolikiem tak podejrzanym jak Barbey d’Aurevilly, zachwyty nad muzyką Wagnera. Ale Cosima — już chyba wtedy wdowa po twórcy „Pierścienia Nibelunga” — też mu była niechętna od chwili, kiedy nasz proboszcz od Św. Tomasza z Akwinu, nie zawsze snadź taktowny, na wizycie w Wahnfried rzucił niebacznie nazwisko Nietzschego. Miał swoisty kult dla jego filozofii niespecjalnie chrześcijańskiej. Przeciwników Huysmansa Brémond nazywał *illibéraux*. Lecz i dla liberałów ów sprzymierzeniec bywał dość kłopotliwy. Zobaczymy zaraz, co ów naturalista przepojony spirytualizmem napisał o Lourdes. A jak zaraźliwe były jego koncepty, oto drobny przykład. W „Là-bas” doktor des Hermites, informując Durtala o bezceństwach czarnomyszowców, zapewnia, że ich arcykapłan, kanonik Doacre, karmi białe myszy hostiami, które sam był konsekrował. Ale jest nad czym podumać, kiedy Claudel, nabożny rygorysta, cytując powyższą wiadomość w swoim „Dzienniku”, porównuje miłe i tuczone tym specjałem zwierzątka z tłustymi wy-



chowankami zakonnic, zażywającymi przechadzki pod czułą ich opieką. Durtal konwertyta przewróciłby się w grobie.

Pelen więc jak najlepszych chęci Huysmans pojechał na reportaż: wynikiem wyprawy były „Les Foules de Lourdes”, w zamyśle autora rzecz budująca i polemiczna, replika na powieść Zoli, który zbyt bezceremonialnie obszedł się z miastem pielgrzymek i cudów. Rémy de Gourmont w tym samym czasie mniej więcej napisał nowelę o starszym panu z ogromnym kaszakiem na łysinie. Ze strachu przed nożem chirurga rentier wyprawił się do Lourdes i zamaczawszy chustkę do nosa w cudownej wodzie, kompresem tym obłożył zeszpeczone ciemię. Narośl znikła, lecz uzdrowiony miast paść na kolana i zanosić modły dziękczynne, stracił wiarę powiedziawszy sobie, że coś tu nie w porządku, skoro Niepokalana trudzi się dla takich drobiażdżków, zaniedbując prawdziwe choroby i kalectwa, na które napatrzył się przecież. Huysmans też się napatrzył, ale współczucie chrześcijańskie przeobraziło się szybko w *delactatio morosa*. Nie zwątpił, jak pan z kaszakiem u Rémy de Gourmonta, za to obrazami, gdzie wizjonerstwo walczy o lepsze z rzygliwością, natchnął zapewne Sartre'a: naturalizm spirytualistyczny przekształcił się w egzystencjalny. Odmalowawszy ohydę chorób, zabrał się do ohydę miejscowych dewocjonaliów, do handlu i przemysłu służącego nabożnym celom, obserwacje zaś te opatrzył szeroko i nadzwyczaj plastycznie umotywowanym wnioskiem, że sam Szatan gwoli swego tryumfu w Lourdes — urzeczywistnionego w ogromnej mierze, niestety — natchnął artystów projektami paskudztw małych i wielkich: szpetne posążki i wota, monumentalna i szkaradna bazylika, i szczyt złego smaku: Droga Krzyżowa ugarniowana gigantycznymi figurami. Kler, w którym pazerność walczy o lepsze z pretensjonalnym komedianctwem, przykłada ręki do machinacyj diabelskich; sekundują mu „żaby z kropielnic”:

„Są tu bigotki prowincjonalne, niesłychane; łażą, gdać, każda potrzęsa różańcem niby kobyła wędzidłem; na wypródki klepią pacierze, chlepczą wodę, urządzają wy-

ścigi na Drodze Krzyżowej. Dewotki, plemię już i tak straszne w kaplicach paryskich, w Lourdes stają się przerażające. Rozegziły się wczorajszego wieczoru. Wypatrzyły biskupa, trzydziestolatka, o włosach długich i brudnych, opadających mu na plecy, o Chrystusowej brodzie i rękach z niebieskim tatuażem, jak u zapaśnika; upędzają się za nim, wykrzykując: — Jaki piękny! To nasz Pan, Jezus Chrystus, we własnej osobie! — a kiedy rozchodzi się pogłoska, że ów kapłan to jakoby biskup z Ziemi Świętej: sza!

Inni prałaci, za którymi włożyły się do tej chwili, naprzykrzając się o błogosławieństwo albo pierścień do całowania, nie liczą się już; ów egzotycznik, o wyglądzie chorowitym i minie zblazowanej, wszystkich swoich kolegów zepchnął w cień; i napastowany przez namolne kobiety błogosławi je, ile tylko zechcą, daje im do ssania ametystowy karmelek — jak najwidoczniej zachwycając się swoim sukcesem”.

Cytat może przydługi, ale potrzebny. W obrazku tym rodzajowym obserwujemy nie tylko ostrość widzenia, której nie utracił nasz konwertyta „paradujący z księżmi po bulwarach” paryskich, jak — w kwietniu 1899 roku — notuje kostyczny Jules Renard. Zdumiewający zmysł plastyczny, jaki uderza w jego prozie, Huysmans wziął po swoich przodkach z linii męskiej. I nie wierz tu w atawizm! Od końca XV wieku Huysmansowie — ród holenderski czy flamandzki — parali się malarstwem: cztery obrazy rodzajowe Cornelisa Huysmansa, zwanego z Malines (lub Mechelen), wiszą w Luwrze; potem był Jacob — portrecista, i Jan Chrzyciel — pejzażysta. Nie wiadomo, czy pisarz wywodził się od nich bezpośrednio, czy „stryjecznie”; wiadomo natomiast z wszelką już pewnością, iż Jacob-Karl Huysmans, urodzony w Bredzie w roku 1776, nauczał rysunków w tamecznej Akademii Wojskowej i że jego młodszy brat Godfryd, iluminator mszałów, osiadł w Paryżu i tam poślubił, w roku 1845, Elżbietę Malwinę Badin, młodą nauczycielkę z rodziny mieszczańskich chłopów burgundzkich. Ojciec panny był naczelnym buchalterem w Ministerium Spraw Wewnętrznych — i prawdopodobnie przetał



później wnukowi drogę do rzeźzonego urzędu. Za to jej dziadek, Antoine-François Gérard, był rzeźbiarzem. Prawnik jednak nie cenił zbyt wysoko jego dzieł: „Sfabrykował, jak sam powiadał, kupę sterczącego przyodziewku na cokole kolumny Vendôme. Pomagał przy dekoracjach, styl pompierski, na Łuku Tryumfalnym Carrousel. Jak mi się zdaje, popełnił nawet jedną z owych oszalamiających płaskorzeźb na Łuku Tryumfalnym u wylotu Pól Elizejskich...” I wracając jeszcze raz do atawizmu. Zi-Ka, flamando-burgundzkiej ekstrakcji, wielbił przejawy kultur północnych, lekceważąc to wszystko, co powstawało na południe od Loary. Nawrócony, ani myślał złożyć wizyty w Watykanie, nie mówiąc już o Rzymie. Z tego względu ścigał na siebie gromy Charles Maurrasa, który wymyślał Huysmansowi od romantyków, niderlandzkich barbarzyńców i... Sarmatów.

Mając lat osiem Joris-Karl stracił ojca. Elżbieta Malwina wkrótce wyszła znów za mąż poślubiwszy pana Og, protestanta, właściciela introligatorni przy ulicy de Sèvres, zakładu, który Huysmans opisze, jako naturalista prawowierny jeszcze, wraz z personelem zwłaszcza żeńskim, drobniawo niczym na flamandzkim płótnie traktując realia w „Les Soeurs Vatar”. Nie ma jednak ów obraz wiele wspólnego ze wspomnieniami osobistymi. Na temat swojego dzieciństwa pisarz zachowywał zawsze ogromną dyskrecję. Co się tyczy stosunków domowych i udręk chłopca niezamożnego, oddanego do konwiktu, skąpe i tuszowane wynurzenia prześwitują tu i ówdzie w „En ménage”. Ojczym odnosił się doń raczej obojętnie, matka również nie okazywała mu serca, chociaż później doceniła snadź literacki talent syna, skoro sama zaniósła wydawcy rękopis „Le Drageoir aux Epices”, na co nie mógł zdecydować się nieśmiały, niższy podówczas jeszcze, urzędnik Prefektury paryskiej. W każdym razie osiemnastoletni Huysmans zaraz po maturze otrzymawszy posadę wyprowadził się z domu i zamieszkał samotnie. Póki życia pozostał przysięgłym mizantropem. Cechę tę, jak u Baudelaire’a, przypisuje się kompleksowi Edypa pogłębionemu „wiarołomstwem” matki i przejawiającemu swój ferment w stanach nerwicowych.

Nie będąc mizoginem Huysmans nie przepadał za kobietami. Świadczy o tym galeria jego bohaterów, spośród których jedna tylko nie jest „naturalna, czyli abominacyjna”: Ludwika Marles z „En rade”. Bo nawet pani Chantelouve z „Là-bas”, satanistka wykwinna i sexy, blondyna niepokojąco przy tym urodziwa, ma w sobie coś, co odpycha Durtala: i nie chodzi tu wcale o jej igraszki z diabłem, które oglądamy dopiero na końcu powieści.

Ludwika Marles istniała w rzeczywistości, była krawcową, nazywała się Anne Meunier i „miała omdlewający wdzięk lilii śmiertelnie zranionej”, jak mawiał powieściopisarz Gustave Guiches o kobiecie, z którą Huysmansa łączył związek uczuciowy trwały, aczkolwiek od czasu do czasu przerywany rozstaniem. Finał miłości był tragiczny: Anna, zapadłszy w nieuleczalną chorobę umysłową, zmarła w zakładzie dla obłąkanych. Po jej śmierci Huysmans, trawiony bolesną tęsknotą przez długie jeszcze lata, błąkał się pod oknami Anny na ulicy Cardinal Lemoine. Zaopiekował się dwiema jej córkami, których ojcem nie był, choć mówiły o nim i do niego „papa Georges”. Musiał to być afekt niezwykle silny, skoro Huysmans imieniem i nazwiskiem Anny podpisał swój autoportret o charakterze wywiadu, gdzie określił sam siebie, w słowach nader znamiennych, jako „niewytłumaczony amalgamat wyrafinowanego paryżanina i malarza z Holandii”.

Niewiele wiemy o krótkiej i ponoć uroczej przygodzie sentymentalnej Huysmansa z dziewczyną noszącą miano „ptaszka” — warto natomiast, cytując Guy Chastela, opowiedzieć o sidłach miłosnych, w jakie o mało nie dał się złapać autor „Na wspak” starzejący się już:

„W roku 1902 Huysmans wybrał się do Marsylii, wzywany serią natarczywych listów. Lekarz, niejaki doktor Rodaglia, podający się za jego kuzyna, obiecywał mu podjęcie znacznego spadku. Młoda panna, wmieszana w tę sprawę, dopisywała się gorliwie do epistoł doktora. Podjąwszy pewne środki ostrożności, Huysmans wyjechał — i na miejscu powitał go demoniczny mag w asyście opętanej, której czarownik zasugerował pomysł zawarcia związków



mażeńskich z pisarzem..." Nasz „pielgrzym zaświatów” uciekł gdzie pieprz rośnie.

W kontekście podobnych anegdot — istniała mnogość ich nieprzeliczona, Huysmansa zaś dotyczyła jedynie część znikoma — a zwłaszcza na tle obyczajowo-estetycznym stulecia, które inteligentny i błyskotliwy pamflet Leona Daudet mienił kretyńskim („Ce stupide XIX Siècle”), chociaż — różnica zasadnicza — było przede wszystkim, Bogu dzięki, wspaniale wariatowate, nie dziwią ani „kule fluidyczne”, jakimi rzekomo starali się uśmiercić Huysmansa zagniewani nań ezoterycy, ani przypisywany im również zamach na pisarza, kiedy to, działając na odległość, strącili ze ściany, nad fotelem w jego prefekturalnym gabinecie, masywne lustro, bez skutku jednak, niedoszła ofiara bowiem siedziała akurat nie przy biurku, ale w ubikacji, ani inkrustowany drogimi kamieniami i złotem żółw diuka des Esseintes, ani wreszcie inne jego, co najfrymuśniejsze koncepty. Owe nieszczęsne gady, rzeczywiście zdobione w ten sposób, z reguły przyplącały to życiem. Pupilem tak efektownym pyszniła się na przykład wykwintna literatka Judith Gautier, o czym w drugim tomie swoich pamiętników — „Les Pas effacés” — wspomina Robert de Montesquiou: wychowanek był złoto-srebrny i z tej racji właścicielka ochrzciła go dystyngowanym imieniem „Chrysargyre”. Żółw hrabiego Roberta był bezimienny — za to poeta, oplakawszy mową wiązaną jego przedwczesny zgon w grubym tomie liryków zatytułowanym „Hortensias bleus”, rozwodzi się też nie bez pewnej skruchy w swoich memuarach: „...esencje, jakich wymagał jego strój, przesycały się snadź pod skorupę, toteż biedne zwierzę nie pożyło długo w tym ekscentrycznym upiększeniu, które posłużyło mu za grobowiec metaliczny i usiany klejnotami zarazem”.

Hrabia Robert lubił wygłaszać uroczę tyrady; jedną z nich, nader charakterystyczną, zanotował w swoich pamiętnikach jego przyjaciel, poeta Francis Jammes:

„Posuwam się w latach... Czasy dzisiejsze, moi panowie, ciężą na barkach człowieka takiego jak ja. Nigdy nie skalałem się pracą rąk. I wielkie to szczęście, że znalazłem jed-

ną jedyną funkcję, stosowną dla mnie: u Jamesa de Rothschilda, właściciela ogrodów z «Tysiąca i jednej Nocy». Otrzymawszy ów urząd nieoszacowany, będą co dzień po tych ogrodach przechadzał się od świtu wśród róż-moich przyjaciółek i podchodząc do każdej z osobna, będą obrywał jej delikatnie płatek wprowadzający dysharmonię, czyli taki, który swoim odcieniem kolidowałby choć trochę z całością plantacji. Dzięki temu, moi panowie, James de Rothschild nigdy nie spojrzy na kwiat, który mógłby urazić jego oko. Moja pensja będzie musiała dorównywać wysokością szczodrobliwości tego bankiera... jako proporcjonalna do zadania, które mi powierzy. Będę, proszę panów, inspektorem róż”.

Nasuwa się teraz pytanie, jak miał się model do portretu, urodziwy i pełen fantazji hrabia Robert de Montesquiou-Fezensac do glistowatego i zneurastenizowanego wychowanka jezuitów, diuka Jana Floressas des Esseintes'a? Inspektor róż do miłośnika flory potworkowatej? Powodowany zapewne znaną nam już odrazą do krain południowych, skąd pochodził langwedocki ród Montesquiou, Huysmans umieścił kolebkę des Esseintes'ów na zamku Lourps, nie opodal Paryża. I tu przyszło nam wrócić raz jeszcze między te ruiny, które — jak wspomniałem — supranaturalista z zewnątrz i od wewnątrz obfotografował drobiazgowo i po swojemu w „En rade”. Po swoim u, gdyż te zdewastowane apartamenty i upiorne strychy, po których błąka się Jacques Marles, przypominają bardziej domenę snu niż jawy. Ale nie tylko one, tenże bowiem oniryczny charakter, dzięki potężnym przerysowaniom rzeczywistości, ma i przyroda: rozplenione zielsko czy szkieletowate koty; i ludzie: wiejscy krewniacy pani Marles, stało sędziwych kmiotków, ohydnie skąpych i patologicznie chciwych. Podobnych włóścian szkicował już Balzac, w pełnej krasie przedstawiał ich Zola, lecz Huysmans wydobył z nich widmową poczwarność, taką, jaką oglądamy na płótnach flamandzkich czy holenderskich Hieronimusa Bosccha i jego uczniów lub następców. Są to widziadła senne. Jak świat światem, ludzie notowali swoje sny, Huys-



mans jednak pierwszy nadał im w swoich powieściach równoprawność z jawą, wykazując niemal klinicznie koegzystencję nieświadomości i świadomości splecionych wzajem więzami nierozzerwalnymi. Sny Jacques Marles'a i des Esseintes'a nie pojawiają się w cudzysłowie, to znaczy nie urozmaicają świata obiektywnego za pomocą fantastyki, jak się to dzieje w prozie zabarwianej baśniowością. Stanowią integralną część psychiki ich obu. Huysmans ponadto — przed Freudem — zadziwia zjawstwem techniki snów, prowadzi je z żelazną logiką od tak zwanych resztek dnia przechodzących w rojenia hipnagogiczne do fantazmatów i koszmarów. W istocie jednak nie poprzestaje na tym: cała sceneria „Na wspak” wraz z ektoplazmicznym, rzec by można, diukiem Janem, jego nie realizowanymi podróżami, dziwaczными przedmiotami, jakimi się otacza, oranżerią złożoną z cudacznych roślin i komponowaniem sztucznych przeżyć, wszystko to nie rodzi się z pogranicza snu, ale stanowi sen sam w sobie. Ale sen kierowany, jak gdyby w myśl doświadczeń i wskazań Herveya de Saint-Denys, którego dzieło — „Les Rêves et les moyens de les diriger” — opublikowane w roku 1867 Huysmans, erudyta polujący na rzadkie książki, czytał zapewne. Dekadenci pasjonowali się wszystkim, co nieuchwytnie i do definiowania najtrudniejsze, a więc i snami. Jeszcze trudniej opisać zapachy. Pierwsze próby w tej materii podjął Baudelaire, problem ów rozpatrywał również i Huysmans na stronach „Na wspak”, przypisując des Esseintes'owi doznania zapewne własne.

Istnieje ciekawa zbieżność między przeżyciami diuka Jana a teorią wrażeń węchowych, którą w roku 1881 formułował John Henry Newman. Paul Claudel przełożył i umieścił w swoim „Dzienniku” kilkanaście zdań z jego książki. Przytaczam je za autorem „Zwiastowania”:

„Zapachy są bardziej intelektualne niż inne wrażenia — Mają długość i szerokość — Nie mają kształtu, jak Aniołowie — Zapachy są kompletne same w sobie, gdyż nie składają się z części — Pomyślcie, jak bardzo zapach róży różni się od zapachu goździka, etc. Wszystkie te zapachy

są absolutnie odmienne, nie mają ze sobą nic wspólnego i wszystkie są *sui generis*; nigdy żaden melanz nie jest możliwy; a przecież postrzegamy je w ułamek sekundy. Spojrzenia ogarniają wielką przestrzeń, słowo to następujące po sobie dźwięki; ale zapachy natychmiast wykazują swoje cechy szczególne i całkowite, aczkolwiek niepodzielne. Czy podobna rozłożyć zapach? Nie potrzebują ani czasu, ani przestrzeni: tak więc są niematerialne albo duchowe”.

Des Esseintes rozchorował się jednak, nim osiągnął te wzloty mistyczno-węchowe. Inspektora róż zdziwiłyby one chyba, choć gusty miał ogromnie wyszukane. Wróćmy więc do osobliwej pary, jaką stanowili Zi-Ka i hrabia Robert. Nie znali się w ogóle. O wyszukanym autorze „Hortensias bleus”, jego białych aksamitnych garniturach, bukietach fiołków parmeńskich wtykanym w wycięcie koszuli miast krawata, mieszkaniu, gdzie sanki stały na skórze białego niedźwiedzia, Huysmans słyszał od Mallarmégo. Dzięki tym opowieściom powstał konterfekt, portret imaginacyjny, który modelowi nie dogodził raczej, chociaż na dobrą sprawę tyle miał z nim wspólnego, co z diukiem Janem — „Prose pour des Esseintes”, utwór, gdzie Mallarmé wyraził swój entuzjazm dla „Na wspak”.

W „Les Pas effacés” Robert de Montesquiou napomknął, że Huysmansa spotkał tylko raz jeden na zebraniu towarzyskim w Auteuil u Edmonda de Goncourt i że popatrząc na siebie wzajem przez pięć minut nie zamienili ani słowa — nie z wrogości, ale powodowani obopólną nieśmiałością raczej — sporządza szczegółowy inwentarz niepospolitych przedmiotów, jakimi zapełnił swoje mieszkanie. Były tam i tkaniny imitujące roślinność oświetloną księżycem, i w łazience fajansowy słoń, który wzniesioną trąbą nalewał wodę do wanny, i utensylia służące niegdyś liturgii katolickiej. Z nimi jednak rozstał się hrabia Robert: „Później, w przystępie nie tyle mistycyzmu, ile spirytualizmu, uznałem za bezbożność raczej posługiwanie się tym dobrem kościelnym i zrobiłem zeń prezent mojej metresie dewotce; nie wiem, jakie były dalsze jego losy”. Katalogiem



osobliwości swojego apartamentu na Quai d'Orsay próbował Montesquiou wykazać, jak zły gust miał Huysmans meblując des Esseintes'a. Lecz ów katalog to wyjątkowe nudziarstwo, martwe i suche, gdy tymczasem cudactwa z willi w Fontenay zachowały do dziś wspaniałą żywotność. Przedmioty te bowiem wiodą własną egzystencję, istnieją autonomicznie, jak w marzeniach sennych. Dlatego w ostatnich latach, kiedy Huysmans znów stał się „modny”, przypisano mu jeszcze jednego ucznia: jest nim Alain Robbe-Grillet, który — i święta to prawda — swoje obiektywne spojrzenia coraz intensywniej przekształca w fantazmaty.

I tak powieść awangardowa sprzed lat dziewięćdziesięciu w pełni powróciła do łask. Nie jako eksperyment formalny, ale rzecz prekursorska, wykraczająca daleko poza swoją epokę w dziedzinie na przykład odkryć psychologicznych, jako studium poczynań i zachowań neurotyka. Huysmans, badacz dusz chorych i w chorobie spokraczniałych, z pewnością dorównywał Strindbergowi. Nawróciwszy się, pozostał kartezjańczykiem, skoro wciąż o swoich doświadczeniach mistycznych wątpił, szukając dla nich podstaw w materii: tak więc — o czym wspomniałem — medytując nad pracami Łaski skutecznej porównywał je do procesów trawiennych. Pascalowi podobałoby się to chyba. Autor „Provincjałek” nie był obcy rozumowaniom na wspak.

Paul Valéry odnosił się do „Na wspak” jak do Biblii, czyli księgi ksiąg. Dla nas — pomijając inne, niezastąpione walory tej powieści — przygody duchowo-gastryczne diuka des Esseintes to znakomite źródło wiedzy o ludziach i umysłach *fin de siècle*'u. Pod tym względem „Na wspak” stanowi tak zwaną pozycję kluczową, nie tylko wyjaśniającą charakter symbolizmu i jego adherentów, lecz również późniejszy rozwój form i treści literackich. Pamiętajmy, że za czasów Mallarmego, Huysmansa i hrabiego Roberta dekadenci oznaczali pisarzy, których obecnie zwiemy awangardowymi.

*Julian Rogoziński*

Mam radować się ponad czasem... choćby w ludziach budziła wstręt moja radość, ich zaś prostackie umysły nie pojmowały tego, co chcę powiedzieć.

*Ruysbroeck Admirabills*



---

## Przedmowa

### napisana po dwudziestu latach

---

Myszę, że wszyscy literaci, tak samo jak ja, nie czytują swoich książek po ich publikacji. Bo i rzeczywiście nic nie rozczarowuje bardziej i nie sprawia większej przykrości, aniżeli po latach spojrzeć na swoje własne frazy. Scedziły się w pewien sposób i osiadły na dnie książki; ale w większości nie są podobne winu, które starzejąc się szlachetnieje; wiek zuboża rozdziały, które wietrzeją — i tak ulatnia się ich bukiet.

Takie odniosłem wrażenie, co się tyczy niektórych flasz ustawionych w przegrodach „Na wspak”, kiedy flasze te musiałem odkorkować.

I dość melancholijnie staram się, przerzucając te stronice, przypomnieć sobie stan ducha, w jakim być mogłem, kiedy je pisałem.

Naturalizm władał podówczas niepodzielnie; lecz owa szkoła, która miała wyświadczyć niezapomnianą przysługę sytuując rzeczywiste postaci w realnych środowiskach, zaczęła dreptać w miejscu, czym skazała się na głądziarstwo.

Nie dopuszczała żadnych, przynajmniej w teorii, wyjątków; ograniczała się więc do malowideł powszedniej egzystencji, usiłowała, pod pozorem imitacji życia, tworzyć istoty możliwie jak najpodobniejsze do przeciętnego człowieka. Ów ideał, jako gatunek, urzeczywistnił się w arcydziele, które znacznie



bardziej niż „W matni” stanowiło probierz naturalizmu: w „Edukacji sentymentalnej” Gustawa Flauberta; powieść ta była dla nas wszystkich z „Wieczorów medańskich” prawdziwą biblią; ale zawierała znikomy zasób pożywnej substancji. Dla samego Flauberta była sprawą zamkniętą raz na zawsze, nowych perspektyw nie otwierała; byliśmy więc wszyscy podówczas zmuszeni lawirować, wałęsać się po drogach mniej lub więcej zbadanych, w kółko.

A że cnota zalicza się, wyznać to trzeba, na tym padole do wyjątków, naturaliści skreślili ją przeto ze swoich rejestrów. Obcy katolickiemu pojęciu upadku i pokusy, nie wiedzieliśmy, z jakich wysiłków i z jakich cierpień wywodzi się cnota; nie dostrzegaliśmy heroizmu duszy, wychodzącej zwycięsko z zasadzek. Nie przyszłoby nam na myśl opisywać tę walkę z jej wzlotami i upadkami, ze szczywanymi atakami i fintami — z posiłkami, jakie częstokroć bardzo daleko, w głębi klasztorów, przygotowują się dla osób, które atakuje Szatan; cnota wydawała nam się udziałem ludzi nieciekawych lub nierozumnych, czymś mało pobudzającym, a w każdym razie niezdatnym jako materiał dla sztuki.

Pozostawał występki; pole jednak, jakie podsuwał do uprawy, było ograniczone. Nie wykraczało poza terytoria siedmiu grzechów głównych i to jeszcze, spośród owej siódemki, grzech jeden jedyny, grzech przeciwko szóstemu przykazaniu Bożemu, dawał jaki taki profit.

Winnice innych były straszliwie ogołoczone, nie mieliśmy już tam żadnych jagód do zrywania. Balzac i Hello wycisnęli Chciwość, na przykład, aż do ostatniej kropli. Pycha, Gniew, Zazdrość wyświechtały się we wszystkich publikacjach romantycznych; jako tworzywo dramatów uległy tak potwornemu spaczeniu

wskutek nadużycia efektów, iż doprawdy tylko geniusz zdołałby odmłodzić je w prozie. Co zaś do Obżarstwa i Lenistwa, wydawałoby się, że mogły one wcielać się raczej w postaci epizodyczne i pasować bardziej do figurantów aniżeli do pierwszych tenorów albo primabalerin powieści obyczajowej.

Prawdą jest, że spośród występów Pycha stanowiłaby najwspanialszy przedmiot studiów, Pycha ze swoimi piekielnymi rozgałęzieniami okrucieństwa wobec bliźnich i swoją fałszywą pokorą, i że Obżarstwo, wlokące w ślad za sobą Rozpustę, Lenistwo i Kradzież, dostarczyłoby materii zadziwiającym drażnieniem, gdyby te grzechy badał ktoś zbrojny w lampę i sondę Kościoła, ktoś mający Wiarę; ale żaden z nas nie był przygotowany do tej pracy; nie mieliśmy więc innego wyjścia, aniżeli przeżuwać ustawicznie występki, do odzierania z kory najłatwiejszy spośród wszystkich innych grzech Rozpusty we wszelkim jego kształcie; i Bóg jeden wie, ileśmy się naprzeżuwali; ale ta swoista karuzela kręciła się krótko. Cokolwiek byśmy wykoncypowali, powieść dawała się streścić do paru linijek: wyjaśnić, dlaczego Jeden Pan przesypiał się albo nie przesypiał z Jedną Panią, żonaty z cudzą żoną; jeśli któryś z nas chciał zabłysnąć wykwinem i objawić się przez to jako pisarz lepszego tonu, lokował sprawy cielesne między markizą a hrabią; jeśli, przeciwnie, ktoś chciał wystąpić jako malarz pospółstwa, prozator na czasie, rzeczony sprawy odbywały się między rogatkowym supirantem a pierwszą lepszą dziewczynką; różniły się jedynie ramy. Jak mi się zdaje, dziś wykwin przeważał w czytelnicznych gustach, obserwuję bowiem, że w dobie obecnej czytelnicy ani myślą delectować się amatorami plebejskimi czy mieszczańskimi, ale smakują nadal w skrupułach markizy wyruszają-



cej do kusiciela na antresolkę, której wygląd zmienia się zależnie od mody tapicerskiej. Upadnie czy nie upadnie? — oto tytuł studium psychologicznego. A niech was!

Nie będę tał, że jeśli zdarzy mi się otworzyć książkę, w której natrafię na wieczyste uwodzenie z nie-mniej wieczystą zdradą małżeńską, skwapliwie ów tom zamykam, nieciekaw bynajmniej, czym skończy się zapowiedziana idylla. Tom nie zawierający sprawdzonych dokumentów, książka, z której niczego się nie nauczę, nie interesuje mnie już.

W momencie publikacji „Na wspak”, to znaczy w roku 1884, sprawy przedstawiały się więc następująco: naturalizm tracił dech obracając żarna w jednym i tym samym kręgu. Zaczynała wyczerpywać się suma obserwacji, jaką uskładał każdy z nas, poczyniwszy je na sobie i innych. Zola, utalentowany dekorator teatralny, radził sobie malując płótna mniej lub bardziej dokładnie; znakomicie sugerował iluzję ruchu i życia; jego bezdusznymi bohaterami rządziły po prostu instynkty i bodźce, to zaś upraszczało pracę analizy. Poruszali się, dokonywali tych lub owych sumarycznych czynności, a sylwetkami dość wyrazistymi, które przekształcały się w główne postaci jego dramatów, zaludniali dekoracje. Tym sposobem opiewał hale targowe, domy mody, koleje żelazne, kopalnie, lecz istoty ludzkie zbłąkane w tych środowiskach odgrywały już tylko role statystów albo figurantów; ale Zola był Zolą, to znaczy artystą przyciężkim nieco, lecz wyposażonym w potężne płuca i mocną pięść.

My zaś, mniej pleczyści, a przy tym zajęci sztuką subtelniejszą i prawdziwą, musieliśmy się zastanowić, czy naturalizm nie wkracza już w ślepią uliczkę i czy niebawem nie stukniemy czołami o mur w głębi.

Co prawda refleksje te zrodziły się we mnie dopiero znacznie później. Próbowałem tak czy siak wymknąć się ze ślepej uliczki, bo się tam dusilem, ale nie miałem żadnego określonego planu, „Na wspak” więc, które wyzwoliło mnie z literatury bez wyjścia omiółszy świeżym powietrzem, jest książką absolutnie nieświadomą, wyimaginowaną bez powziętych uprzednio myśli, bez planów na przyszłość, bez niczego w ogóle.

„Na wspak” zarysowało mi się z początku niby krótka fantazja w kształcie dziwacznej noweli; widziałem w niej po trosze odpowiednik „A vau l'eau” przeniesionego w inny świat; wyobrażałem sobie pana Folantin bardziej czytanego, bardziej wyrafinowanego, bogatszego, który w sztucznych rajach odkrył remedium na niesmak, o jaki przyprawiał go zgiełk życia i amerykańskie obyczaje, dziś panujące; szkicowałem go, jak lotem strzały uciekał w marzenia, chronił się w ułudę arcydziwacznych feeryj, żyjąc samotnie, z dala od swoich czasów, przywołując wspomnienia epok bardziej na duchu krzepiących, środowisk mniej nikczemnych.

W miarę moich rozmyślań temat rozszerzał się przejawiając konieczność zmuszonych poszukiwań: każdy rozdział stawał się sumą jakiejś specjalności, ekstraktem jakiejś odrębnej sztuki; kondensował się w *of meat* klejnotów, zapachów, kwiatów, literatury religijnej i laickiej, muzyki świeckiej i śpiewu gregoriańskiego.

Osobliwością był fakt, że choć anim się tego domyślał z początku, sama natura moich prac przywiodła mnie do studiów nad Kościołem z niejednego punktu widzenia. Bo i rzeczywiście niepodobna było cofnąć się do jedynych istotnych okresów, jakie przeżyła ludzkość, aż po Średniowiecze, nie stwierdzając,



że Kościołem stało wszystko i że sztuka egzystowała w Nim tylko i tylko dzięki Niemu. Jako człowiek niewierzący przypatrywałem mu się z lekką nieufnością, zaskoczony jego rozmiarami i chwałą, zastanawiając się, jakim sposobem religia, którą poczytywałem za coś wykoncypowanego dla dzieci, mogła stać się inspiratorką dzieł tak cudownych.

Wąleśałem się wokół Niego raczej po omacku, bardziej odgadując aniżeli widząc, i odtwarzałem sobie całość na podstawie okruczeń, które znajdowałem w muzeach i książkach. Ale dziś, choć mam już za sobą badania dłuższe i solidniejsze, kiedy przebiegam oczyma stronicę „Na wspak” odnoszące się do katolicyzmu i sztuki religijnej, dostrzegam, że ta mikroskopijna panorama, namalowana na karteluszkiach z notesu, dobrze jest utracona. To, co malowałem podówczas, cechowała zwięzłość, brakowało tam rozwinięć, ale było to prawdziwe. Potem ograniczyłem się już tylko do rozszerzania i doskonalenia swoich szkiców.

Mógłbym dziś bez kwestii podpisać się pod stronicami „Na wspak” traktującymi o Kościele, bo rzeczywiście wydają się dziełem pióra katolickiego.

A przecież uważałem się za obcego religii! Nie przypuszczałem, że od Schopenhauera, którym zachwycałem się bardziej, niżby pozwalał rozsądek, do „Eklezjastesa” i „Księgi Hioba” jest tylko krok. Co się tyczy Pesymizmu, przesłanki są identyczne, z tym, że kiedy przyjdzie konkludować, filozof się wykręca. Lubilem jego poglądy na grozę życia, głupotę ludzką, niełaskawość losu; lubię je również w Księgach Świętych; lecz obserwacje Schopenhauera nie doprowadzają do niczego; wystawia nas, by tak rzec, do wiatru; jego aforyzmy są w sumie tylko wirydarzem jałowych skarg; Kościół natomiast wyjaśnia przyczyny i skutki, sygnalizuje cele, proponuje leki; nie poprzestaje na

udzielaniu dusznych porad, kuruje nas i uzdrawia, gdy tymczasem znachor niemiecki wykazawszy nam dowodnie, że dolegliwość, na którą cierpimy, jest nieuleczalna, podrwiwając odwraca się do nas plecami.

Jego Pesymizm jest taki sam jak w Piśmie, skąd go zapożyczył. Nie powiedział więcej niż Salomon, więcej niż Job, więcej nawet niż „Naśladowanie”, które na długo przed nim streściło całą jego filozofię w jednej maksymie: „Wielka to zaprawdę nędza żyć na ziemi!”

Z dystansu lat owe różnice i podobieństwa sprawdzają się wyraźnie, podówczas jednak, jeśli dostrzegalem je nawet, nie zaprzętałem się nimi wcale; nie kusiła mnie potrzeba konkluzji; trakt, jaki wytyczył Schopenhauer, był wygodny i pełen urozmaiceń, przechadzałem się po nim spokojnie, celu poznać nie pragnąc; w tym czasie nie miałem żadnego rzeczywistego rozeznania, co się tyczyło perspektyw, żadnej ciekawości dla rozstrzygnięć; tajemnice katechizmu wydawały mi się dziecinne; jak skądinąd wszyscy katolicy, nie miałem pojęcia o swojej religii; nie dawałem sobie sprawy, że wszystko jest tajemnicą, że żyjemy tylko wśród tajemnic i że gdyby przypadek istniał, byłby jeszcze bardziej tajemniczy niż Opatrzność. Nie godziłem się z boleścią zadawaną przez Boga i wyobrażałem sobie, że Pesymizm mógłby nieść pociechę duszom wyższym. Co za głupota! To właśnie było niedostatecznie oparte na doświadczeniu, stanowiło nie wystarczający dokument ludzki, skoro mam użyć terminu drogiego naturalizmowi. Pesymizm nie krzepił nigdy ani chorych na ciełe, ani dusz dotkniętych obłożną chorobą!

Uśmiecham się teraz, po tylu latach, kiedy znów czytam stronicę, na których potwierdzałem owe teorie, tak zdecydowanie fałszywe.



Oto jednak co w tej lekturze uderza mnie najbardziej: zaródź wszystkich powieści, jakie napisałem po „Na wspak”, zawiera się w tej właśnie książce. Poszczególne jej rozdziały są w istocie tylko zaczątkami późniejszych tomów.

„W drodze” i „L'Oblat”: w obu tych powieściach traktując o liturgii, jeśli nie rozwinąłem, to co najmniej pogłębiłem rozdział na temat literatury łacińskiej z okresu Dekadencji. I dziś wydrukowałbym go bez żadnych zmian, wyjąwszy rzecz o świętym Ambrozym, chociaż jego prozy wodnistej i nadętej retoryki jak nie lubiłem, tak nie lubię. Pojawia mi się nadal taki, jakim określiłem go niegdyś: „nudny chrześcijański Cyceron”, natomiast poetą był uroczym: jego hymny — a także te, które wywodziły się z jego szkoły — zaliczają się do najpiękniejszych, jakie Kościół zachował w swoim Brewiarzu; dodam, że literatura hymnistów, nieco wprawdzie specjalna, winna była znaleźć miejsce w osobnej przegródce tego rozdziału.

Podobnie jak w roku 1884, tak i teraz nie przepadam za klasyczną łaciną Marona i Groszka\*; jak za czasów „Na wspak” wolę język Wulgaty niż język wieku Augusta, a nawet niż język Dekadencji ciekawszy przecież dzięki swoim woniom i ptactwa wodnego i zielonkawym skruszałościom dziczyzny. Kościół zdezynfekował najpierw ów język i odmłodził, stwarzając — aby wprowadzić system pojęć dotąd nie formułowanych — słowa grandilokwentne i zdrobnienia nacechowane prześliczną tkliwością, i tak, wydaje mi się, ukształtował sobie język z wysoka gó-

\* Huysmans nazywa tak Cycerona, od *cicer* — groch. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

rujący nad dialektem Pogaństwa — i Durtal\* rozmyśla jeszcze na ów temat, tak samo jak des Esseintes.

Rozdział o klejnotach podjąłem w „La Cathédrale”, zajmując się tu nimi ze stanowiska symboliki kamieni szlachetnych. W „Na wspak” ożywiłem klejnoty martwe. Zapewne, i temu nie przeczę, że można podziwiać piękny szmaragd dla iskier jarzących się w ogniu jego zielonej wody, ale czy nie jest on aby — w oczach nieświadomych narzecza symboli — kimś nieznanym, cudzoziemcem, z którym porozmawiać nie sposób i który milczy, ponieważ nie rozumiemy jego słów? Otóż szmaragd jest czymś więcej i mówi więcej, niżbyśmy sobie wyobrażali.

Stary autor szesnastowieczny, Estienne de Clave, głosi, że kamienie szlachetne rodzą się, niczym istoty naturalne, z nasienia rozrzuconego w macicy gruntu; nie zgadzając się z nim, można powiedzieć doskonale, że są one minerałami wyposażonymi w znaczenia, substancjami wymownymi, że są po prostu symbolami. Pod tym kątem zapatrywano się na nie już w najgłębszej starożytności, tropologia zaś kamieni szlachetnych to jedno z odgałęzień owej symboliki chrześcijańskiej, o której zapomnieli kompletnie duchowni i świeccy naszych czasów, a którą ja popróbowałem odtworzyć w liniach zasadniczych, pisząc tom o bazylice w Chartres.

Rozdział w „Na wspak” jest więc powierzchowny, nie pogłębiony należycie. Nie jest tym, czym być powinien: jubilerstwem zaświatów. Skomponowałem go z puzderek lepiej czy gorzej opisanych, lepiej czy gorzej rozmieszczonych pod szybą gabloty, ale to wszystko, i to niewystarczające.

\* Bohater „Là-bas”, „W drodze”, „La Cathédrale” i „L'Oblat”.



Malarstwo Gustawa Moreau, ryciny Luykena, litografie Bresdina i Redona są w nim takie, że widzę je i dziś jeszcze. Nie zamierzam więc nic zmieniać w planie tego małego muzeum.

Dziś już, oczywista, nie napisałbym w ten sposób ani strasznego rozdziału VI o numerze odpowiadającym, bez powziętej uprzednio intencji, numerowi przykazania boskiego, które rozdział ów obraża, jak również pewnych fragmentów rozdziału IX, mogących się doń odnosić. Należałoby przynajmniej w formie pogłębionej wyjaśnić je ową diabelską przewrotnością, która wsącza się, biorąc za punkt wyjścia rozpustę zwłaszcza, w wyczerpane mózgi ludzkie. Wydaje się bowiem w istocie, że choroby nerwowe, neurozy, otwierają w duszach szczeliny, którymi wnika Zły Duch. Jest w tym zagadka nie wyświetlona dotąd; termin *histeria* nie rozstrzyga o niczym; wystarczać może do sprecyzowania stanu materialnego, do zanotowania przemożnego tumultu zmysłów — nie roz-wodzi się nad konsekwencjami duchowymi, które są z nimi związane, a szczególnie nad grzechami obłudy i kłamstwa, jakie zawsze niemal wówczas się plenią. Jak poznać wszechstronnie tę chorobę grzeszniczą, w jakiej proporcji umniejsza się odpowiedzialność człowieka osiągniętego 'w swojej duszy owym rodzajem opętania, które wykluło się wśród nieładu jego nie-szczęsnego ciała? Tego nikt nie wie; w rzeczonyj ma-terii medycyna bredzi, a teologia milczy.

W braku rozstrzygnięcia, którego wniesć oczywista nie mógł, des Esseintes byłby winien spojrzeć na za-gadnienie ze stanowiska grzechu i wyrazić przynaj-mniej jakąś skruchę; wstrzymawszy się od udzielenia sobie nagany, popełnił błąd; bo chociaż był elewem jezuitów, których bardziej niż Durtal wychwala, stał się w konsekwencji tak oporny hamulcom bożym,

tak uparty w taplaniu się we własnym cielesnym błocie!

W każdym razie rozdziały te wydają się kołkami wbitymi nieświadomie po to, by wytyczyć drogę "Là-bas". Warto skądinąd zauważyć, że biblioteka des Esseintes'a zawierała pewną ilość książek poświęconych magii i że myśli na temat świętokradztwa, wypowiedziane w rozdziale VII „Na wspak”, to zaczątek przyszłego tomu, temat ów ujmującego gruntownie.

Obecnie, kiedy stałem się znów katolikiem, w inny sposób napisałbym "Là-bas", książkę, która zatrwożyła tyle osób. Nie przeczę, że potępić należy jej wątek występny i zmysłowy; a jednak, zapewniam, owijałem w bawełnę, nie powiedziałem nic; dokumenty, jakie zawiera „Là-bas”, są w porównaniu z dokumentami, które pominąłem, ale w swoich archiwach posiadam, nader mdłymi landrynkami, płasciutkimi fintifluzkami!

Sądzę jednak, że wbrew opisanym tam zaćmieniom umysłu i szaleństwu tyłka dziełko to samą tematyką w nim wyłożoną wyświadczyło przysługę. Zwróciło znów uwagę na machinacje Diabła, któremu udało się wmówić ludziom, że nie istnieje; stało się punktem wyjścia wszystkich nowszych studiów poświęconych wieczystym procederom satanizmu; demaskując ohydne praktyki wywoływania Złego, unicestwiło je w pewnym stopniu; opowiedziało się po stronie Kościoła i nader zdecydowanie, na ogół, wspomogło go w walce z Demonem.

Wracając zaś do „Na wspak”, wobec którego "Là-bas" jest książką jedynie wtórną, mogę w odniesieniu do kwiatów powtórzyć to, co opowiadałem już na temat kamieni szlachetnych.

„Na wspak” rozpatruje kwiaty tylko z punktu wi-



dzenia konturów i barw — nigdy ze stanowiska znaczeń, jakie tają w sobie; des Esseintes wybrał tylko orchidee, dziwaczne, lecz milkliwe. Dodać wypada, że trudno byłoby w tej książce głos wydobyć z flory dotkniętej niemotą, flory milczącej, symboliczny bowiem idiom roślin zmarł wraz ze Średniowieczem; roślinnych kreolek, wypieszczonych przez des Esseintes'a, nie znali ówcześni alegoryści.

Przeciwieństwo tej botaniki opisałem później w "La Cathédrale", inspirując się owym liturgicznym ogrodnictwem, o którym tak ciekawie i obszernie traktują święta Hildegarda, święty Meliton, święty Eucher.

Inna rzecz to zagadnienie zapachów, których emblematy mistyczne odsłoniłem w tejże książce.

Byłby przecież mógł des Esseintes przeprowadzać także doświadczenia z aromatami Kościoła: kadzidłem, mirrą i ową przedziwną tymiamą, cytowaną w Biblii i wspomnianą w Rytuale jako składnik, który spalać należy pod kielichem dzwonu podczas jego poświęcenia, kiedy biskup omyje go już wodą święconą i posmaże chryzmem świętym i olejami chorych; ale woń ta wydaje się zapomniana przez sam Kościół i, jak sędzę, ogromnie zdziwiłby się każdy proboszcz, gdyby zapytać go o tymiamę.

Przepis jednak figuruje w Księdze Wyjścia. Tymiamę komponowano ze styraksu, galbanum, kadzidła i onyksu morskiego; ostatnia wymieniona tu substancja to nic innego niż muszelka pewnego ślimaka z gatunku „purpurowych”, które wyszlamowuje się na bagnach Indii.

Otóż jest rzeczą trudną, by nie powiedzieć niemożliwą, zważywszy niekompletny opis owego muszlaka i miejsca, skąd pochodzi, spreparować autentyczną tymiamę; a szkoda, gdyby bowiem było inaczej, ów aromat utracony wywołałby z pewnością u des Essein-

tes'a przepyszne wizje uroczystych ceremoniałów, obzędów liturgicznych Orientu.

Co się tyczy rozdziałów na temat współczesnej literatury świeckiej i religijnej, pozostały one, moim zdaniem, słuszne, podobnie jak rzecz o literaturze łacińskiej. Rozdział poświęcony sztuce świeckiej pomógł wydobyć na jaw poetów całkiem nie znanych ówczesnej publiczności, takich jak Corbière, Mallarmé, Verlaine. Nie wykreślę ani słowa z tego, com napisał przed dziewiętnastu laty; zachowałem podziw dla tych pisarzy; a podziw, który głosiłem dla Verlaine'a, wzmógł się nawet. Arthur Rimbaud i Jules Laforgue zasługiwaliby na miejsce w wirydarzu des Esseintes'a, lecz w tym okresie nie wydrukowali jeszcze nic, dzieła ich ukazały się znacznie później.

Nie wyobrażam sobie natomiast, bym kiedykolwiek zdołał zasmakować w terażniejszych autorach religijnych, których tępi „Na wspak”. Nikt nie wybije mi z głowy, że nieboszczyk Nettement krytykiem był głupim, a pani Augustynowa Craven i panna Eugenia de Guérin to tylko limfatyczne sawantki i nabożne, bezpłodne kobyły. Ich miksturki wydają mi się mdłe; des Esseintes przekazał Durtalowi swoje upodobanie w przyprawach korzennych i myślę, że i dziś jeszcze obaj dogadaliby się, nieźle preparując, zamiast owych lur, dekokt zaprawiony kunsztownie imbirem.

Nie zmieniłem również zdania co do literatury bractwa Poujolatów i Genoude'ów, chociaż byłbym teraz mniej okrutny dla ojca Chocarne, wymienionego na liście pobożnych kakografów — bo przynajmniej zredagował kilka niezmiernie istotnych stronic na temat mistyki w swoim wstępie do dzieł świętego Jana od Krzyża, a także łagodniejszy dla Montalemberta, który w braku talentu obdarował nas dziełem o mnichach, nieskładnym i niekompletnym, ale w końcu



wzruszającym; i nie napisałbym zwłaszcza, że wizje Anieli z Foligno są idiotyczne i wodniste, bo prawda przedstawia się zgoła odwrotnie; ale winienem oświadczyć w swojej obronie, że czytałem je w przekładach Ernesta Hello. A był on opętany manią przystrzygania, słodzenia i uszarczenia mistyków, w obawie, by nie urazić załganej katolickiej pruderii. Wsadził pod prasę dzieło żarliwe, soczyste, i wycisnął zeń tylko ciecz bezbarwną i zimną, którą źle podgrzał na parze czy nad ubogą lampeczką swojego stylu.

To rzekłszy dodam, że chociaż jako tłumacz Hello okazał się macajkurą i bigotem tylko, stwierdzić należy, iż na własny rachunek manipulował myślą oryginalną, egzegetą był wnikliwym, analitykiem zaś naprawdę tegim. Był nawet wśród pisarzy tego kierunku jedynym, który myślał; pospieszyłem w sukurs d'Aureville'emu, żeby zachwalić dzieło tego człowieka, tak niedowarzonego i tak interesującego, lecz i „Na wspak”, sądziłbym, wspomogło niewielki sukces, jaki najlepsza jego książka, „L'Homme”, osiągnęła po śmierci autora.

Konkluzja owego rozdziału, poświęconego współczesnej literaturze dotyczącej spraw kościelnych, przedstawia się tak oto: wśród wałachów sztuki religijnej był tylko jeden ogier, Barbey d'Aureville; i poglądów nic ze swojej słuszności nie stracił. Barbey był jedynym artystą w nieskalanym znaczeniu tego słowa, jakiego wydał ówczesny katolicyzm; był wielkim prozatorem, zadziwiającym powieściopisarzem, który swoimi zuchwalstwami doprowadzał do oślich ryków kruchciarnię wzburzoną jego frazami nieokiełznane dynamicznymi.

Na koniec, jeśli jakiś rozdział można poczytywać za punkt wyjścia innych książek, to właśnie rozdział o śpiewie gregoriańskim rozbudowany we wszystkich

moich późniejszych tomach — że wymienię „W drodze”, a zwłaszcza „L'Oblat”.

Po tym krótkim przeglądzie eksponatów rozłożonych w witrynie „Na wspak” narzuca się następujący wniosek: książka ta stanowiła początek mojego dzieła katolickiego, które tkwi tam całe, w zarodku.

Tu raz jeszcze pojawia mi się gruntowna niepojętość i bezdenne głupota niektórych błaznów i niektórych opętańców kapłaństwa. Całe lata domagali się zniszczenia tej książki, do której zresztą praw już nie mam, nie zdając sobie nawet sprawy, że bez niej następne moje tomy, mistyczne, są niezrozumiałe, stanowi ona bowiem, powtarzam, ich pień macierzysty. Bo i jak skądinąd oceniać dzieło pisarza, w całości, jeśli nie spojrzeć na nie od samych początków i nie podążać za nim krok w krok; jak zwłaszcza oszacować postępy, które Łaska czyni w ludzkiej duszy, jeśli pozacierać ślady jej przejścia, zniweczyć pierwsze znamiona, jakie pozostawiła?

W każdym razie jest rzeczą pewną, że „Na wspak” zerwało z poprzednikami — z „Les soeurs Vatard”, z „En ménage”, z „A vau l'eau” — i wprowadziło mnie na drogę, której kresu nie podejrzewałem nawet.

Zola, bystrzejszy od katolików, nie zgorszył się raczej. Pamiętam, jak po ukazaniu się „Na wspak” wyjechałem na kilka dni do Médan. Któregoś popołudnia przechadzaliśmy się obaj po łąkach, gdy nagle przystanął i z okiem pociemniałym jął mnie strofować za moją książkę, powiadając, że zadałem straszliwy cios naturalizmowi, że sprowadziłem szkołę na złe drogi, że podobną publikacją spaliłem za sobą mosty, żaden bowiem rodzaj literacki nie ma już przyszłości w owym gatunku, skorom wyczerpał go w jednym tomie, i — przyjacielsko, bo człowiekiem był



arcyzacnym — zachęcił mnie do powrotu na szlak utarty, do wprzęgnięcia się w studia obyczajów.

Słuchałem rozmyślając, że Zola ma słuszość i nie ma jej zarazem; ma słuszość, kiedy oskarża mnie, że podkopałem naturalizm i spaliłem za sobą mosty; nie ma jej zaś w tym sensie, że powieść, taka, jak on ją pojmował, wydawała mi się półtrupem: była dla mnie, chciał Zola czy nie chciał, wyświechtana wskutek powtórzeń, nieciekawa.

Istniało wiele rzeczy dla Zoli niepojętych; to przede wszystkim, że piliło mnie, by pootwierać okna, uciec od środowiska, gdzie się dusiłem; następnie to, że zawładnęła mną chęć, by otrząsnąć się z przesądów, rozwalić granice powieści, wprowadzić w nią sztukę, naukę, historię; krótko mówiąc, posługiwać się ową formą już tylko jako ramami dla prac poważniejszych. Podówczas to nurtowało mnie najbardziej, żeby wyeliminować tradycyjną intrygę, a nawet miłość, kobietę, skupić wiązkę światła na jednej tylko postaci, za wszelką cenę zrobić coś nowego.

Zola nie odparowywał tych argumentów, którymi usiłowałem go przekonać, i tylko zapewniał nieutrudzenie: „Nie uznaję zmiany stylu i zdania; nie uznaję palenia tego, co czciliśmy dawniej”.

No, no, czy i on również nie odgrywał roli dobrego Sykambra? Bo i rzeczywiście, jeśli nawet nie zmodyfikował swoich procedurów kompozycyjnych i pisarskich, zmienił co najmniej swój sposób zapatrywania się na ludzkość i interpretację życia. Po czarnym nesy-mizmie jego pierwszych książek czyż nie otrzymaliśmy błęgiego optymizmu jego książek ostatnich, podlanych socjalizmem?

Uderzmy się w piersi: nikt nie rozumiał duszy mniej niż naturalisci, mieniący się jej obserwatorami. Wi-dzieli egzystencję bez jakichkolwiek różnicowań; ak-

ceptowali tylko taką, która byłaby uwarunkowana elementami prawdopodobnymi, mnie zaś później nauczy-ło doświadczenie, że nieprawdopodobieństwo nie za-wsze jest na tym świecie czymś wyjątkowym i że przygody Rokambola bywają równie prawdziwe, jak przygody Gervaise'y i Coupeau.

Ale na samą myśl, że des Esseintes mógł być rów-nie prawdziwy jak jego postacie, Zola tracił rezon i zżymał się niemal.

Aż do tej chwili na tych kilkunastu stronicach mó-wiłem o „Na wspak” przede wszystkim ze stanowis-ka literatury i sztuki. Wypada mi teraz pomówić o mo-jej powieści ze stanowiska Łaski, unaocznić udział ta-jemnicy, owo bezwiedne odzwierciedlenie duszy, ja-kie często spotyka się w książce.

Wyznam, że ten zwrot „Na wspak” w stronę kato-licyzmu, tak jasny, tak wyraźny, pozostaje dla mnie niezrozumiały.

Nie wychowano mnie w żadnej ze szkół zakonnych, ale właśnie w liceum; za młodu nigdy nie byłem po-bożny, udział zaś wspomnień z dzieciństwa, pierwszej komunii, który tak często w nawróceniach odgrywa wielką rolę, w moim nawróceniu nie istniał bynaj-mniej. Trudność zaś komplikuje się tym jeszcze i zbija z tropu wszelką analizę, że kiedy pisałem „Na wspak”, noga moja nie powstała w kościele, nie znałem żadnego katolika praktykującego ani żadnego księdza; nie do-świadczyłem żadnego impulsu Bożego, który popy-chałby mnie ku Kościołowi, żyłem w swoim korycie, spokojny; dogadzanie moim zmysłowym zachciankom wydawało mi się czymś zupełnie naturalnym i do głó-wy nie przyszłoby mi nawet, że ów rodzaj igraszek jest zabroniony.



„Na wspak” ukazało się w roku 1884, a dopiero w 1892 roku wyruszyłem do trapistów po nawrócenie; prawie osiem lat minęło, nim zakiełkował posiew tej książki; odłóżmy dwa lata, trzy nawet, na pracę Łaski tajemną, upartą, niekiedy wyczuwalną; niemniej pozostałoby pięć lat, ale nie pamiętam, żeby w tym czasie zdejmowały mnie jakiegokolwiek ciężoty katolickie, jakakolwiek skrucha za życie, które prowadziłem, jakakolwiek chęć odwrócenia jego nurtu. Dlaczego i jak zostałem zwekslowany na drogę zagubioną podówczas dla mnie wśród nocy? Absolutnie powiedzieć tego nie potrafię; nie wiem tu nic — chyba to dziedzictwo po beginażach i klasztorach, po modłach rodziny holenderskiej bardzo żarliwej, ale której zresztą prawie nie znałem, wyjaśni całkowitą bezwiedność ostatniego odzewu, apelu religijnego na ostatniej stronicy „Na wspak”.

Tak, dobrze wiem, istnieją ludzie bardzo silni, którzy szkicują plany, wytyczają zawczasu szlak egzystencji i podążają nim; jest nawet oczywiste, jeśli się nie mylę, że wolą można osiągnąć wszystko; rad byłbym w to wierzyć, co do mnie jednak, wyznam, że nigdy nie byłem ani człowiekiem upartym, ani autorem szczwanym. W moim życiu i w moim pisarstwie istnieje jakaś część bierności, niewiedzy, jakiś bardzo wyraźny bodziec pochodzący z zewnątrz.

Opatrzność była dla mnie miłosierna, a Najświętsza Panna była dla mnie dobra. Ograniczałem się do niekrzyżowania im planów, kiedy dawały znać o swoich zamysłach; byłem po prostu posłuszny; wiodło mnie to, co zowią „drogami nadzwyczajnymi”; i jeśli ktoś może mieć pewność nicości, którą byłby bez pomocy Boga, to ja.

Osoby niewierzące zarzucają mi, że człowiek o po-

dobnych ideach jest o krok od fatalizmu i zaprzeczenia wszelkiej psychologii.

Nie, dlatego że wiara w Pana Naszego fatalizmem nie jest, Wolna wola pozostaje nietknięta. Mógłbym, gdyby tak mi się spodobało, nadal ustępować zmysłowemu emocjom, pozostać w Paryżu i nie męczyć się u trapistów. Bóg nie należałby zapewne; ale zaświadczać nienaruszalność woli wyznać jednak trzeba, że Zbawiciel wkłada w nią wiele woli swojej i że nas nęka, osacza, „magluje”, by użyć dosadnego terminu niższej policji; ale, powtarzam raz jeszcze, można Go na własne ryzyko odprawić z kwitkiem.

Co zaś do psychologii, to rzecz inna. Jeśli rozpatrywać ją tak, jak ja rozpatruję, pod kątem nawróceń, jest ona w swoich preludiach nie do rozwikłania; niektóre zakątki są może dostrzegalne, lecz inne — nie; podziemna praca duszy umyka nam. W okresie, kiedy pisałem „Na wspak”, bobrowano zapewne w ziemi i wdrażano się w grunt dla położenia fundamentów, ale ja nie zdawałem sobie z tego sprawy. Bóg podkopywał się i zakładał swoje lonty, działając jednak tylko wśród mroków duszy, nocą. Nic nie było dostrzegalne; i dopiero w wiele lat później iskra jęła przebiegać po lontach. Uczułem wtedy, jak dusza drga od wstrząsów; ale nie było to jeszcze ani zbyt bolesne, ani zbyt jasne: liturgia, mistyka, sztuka były tu przenośnikami lub sposobami; działo się to na ogół w kościołach, u Saint-Séverin zwłaszcza, dokąd wstępowałem z ciekawości albo z próżnictwa. Odczuwałem, przypatrując się nabożeństwu, jedynie wewnętrzny dygot, ową drżączkę, jakiej ulegamy oglądając, czytając piękne dzieło albo słuchając go, ale nie pojawiał się atak frontalny, pozew.

Opuszczałem tylko z wolna moją skorupę nieczystości; zaczynałem nabierać dyzgustu do siebie, jeży-



łem się jednak na artykuły wiary. Obiekcje, jakie stawiałem sam sobie, wydawały mi się nieodparte; i pewnego pięknego poranka, kiedy się zbudziłem, rozwiały się — ale jak, tego nie dowiedziałem się nigdy. Pomodliłem się po raz pierwszy i nastąpiła eksplozja.

Ludziom nie wierzącym w Łaskę wszystko to wydaje się szaleńcze. Ale tych, którzy doświadczyli jej skutków, nic nie może zadziwić; i jeśli nawet istniała w tym niespodzianka, mogła trwać tylko w okresie inkubacji: takim, kiedy nie widzimy nic i nie spostrzegamy niczego, w okresie uprzątnia gruzów i kładzenia fundamentów — którego nie domyślaliśmy się nawet.

Rozumiem na ogół, aż do pewnego punktu, to, co działo się w latach 1891-1895, pomiędzy „Là-bas” i „W drodze”, nie rozumiem nic z tego, co działo się w latach 1884—1891, pomiędzy „Na wspak” i „Là-bas”.

Skoro nie zrozumiałem ja, to inni tym bardziej nie rozumieją wcale pobudek des Esseintes'a. „Na wspak” rąbnięto niby meteor w pole jarmarku literackiego, wywołując osłupienie i złość; prasa straciła głowę; nigdy jeszcze nie namajaczyła tyle w tyłu artykułach; potraktowawszy mnie jako mizantropa-impresjonistę, des Esseintes'a zaś oceniwszy jako maniaka i skomplikowanego durnia, wychowankowie École Normale, tacy jak p. Lemaître, oburzyli się, że nie pochwalił wcale Wergiliusza, i oświadczyli tonem magistralnym, że dekadenci języka łacińskiego w Średniowieczu byli tylko „ględziarzami i kretynami”. Inni przedsiębiorcy od krytyki raczyli mnie zawiadomić, że wyszłaby mi na korzyść kuracja ostrymi prysznicami w zamkniętym zakładzie wodolecznicznym; i z kolei wmieszali się odczyciarze. W Salle des Capucines archont Sarcey

wrzeszczał jak opętany: „Niech mnie powiesz, jeśli rozumiem choć jedno słowo z tej powieści!” Na koniec, dla kompletu, poważne periodyki, takie jak „Revue des Deux Mondes”, wydelegowały swojego lidera, pana Brunetière, żeby porównał moją powieść z wodewilami Waflarda i Fulgencjusza.

W tym bałaganie jeden jedyny pisarz widział jasno, Barbey d'Aurevilly, który zresztą nie znał mnie wcale. W artykule w „Constitutionnelu”, datowanym 28 lipca 1884 roku, a potem włączonym do tomu „Le Roman Contemporain” opublikowanego w roku 1902, napisał: „Po takiej książce autorowi pozostaje już tylko wybrać między lufą pistoletu a stopami krzyża”.

I stało się.

J.-K. Huysmans  
(1903)



---

## Wprowadzenie

---

Z niektórych portretów zachowanych na zamku Lourps wynikało, że w dawnych czasach ród Floressas des Esseintes składał się z atletycznych żołdaków, odpychających rębajłów. Ciasno zamknięci w starych ramach, które przegradzali szerokością bar swoich, trwożyli szklistymi oczyma, wąsami niczym jatagany, piersią bombiasto wypiętą, wypełniającą olbrzymie skorupy pancerza.

Ale ci byli antenatami; brakowało portretów ich potomności; istniała luka w łańcuchu twarzy tego szczerpu; ogniwem pośrednim było tylko jedno płótno, służące za szew między przeszłością a terażniejszością: twarz tajemnicza i szczwana, pociągła jak rzadko, o rysach martwych, policzkach upstrzonych przecinkami rózu, o włosach wypomadowanych i okolonych perłami, o szyi żylastej i uszmińkowanej, wyrastającej spomiędzy rurek sztywnej krezy.

W tym wizerunku jednego z najpoufalszych przyjaciół diuka d'Épernon i markiza d'O przejawiały się już skazy temperamentu zubożałego, w którym limfa brała górę nad krwią.

Upadek tego starego rodu postępował z wszelką pewnością systematycznie; niewieścienie męzczyzn coraz jawniej dawało znać o sobie; i jak gdyby pragnąc wspomóc czas w jego dziele, od dwóch stuleci des Esseintes'owie wstępowali w związki małżeńskie



między sobą, a w tych kuzynowskich mariażach przepaszczali resztkę żywotności.

Z tego rodu, niegdyś tak licznego, że zajmował prawie wszystkie terytoria Ile-de-France i Brie, przetrwała jedna tylko latorośl, diuk Jan, trzydziestoletni cherlak, anemiczny i nerwowy, o zapadłych policzkach, oku zimnej stalowej niebieskości, nozdrzach rozdętych, lecz o nosie przy tym prostym i cienkim, o rękach suchych i wiotkich.

Szczególny przejaw atawizmu: ostatni z rodu przypominał antenata-mignona, miał jak i on spiczastą bródkę niepospolicie jasną, a wyraz twarzy dwuznaczny, w którym zaradność mieszała się ze znużeniem.

Dzieciństwo miał ponure. Zagrożone skrofulami, nękanie uporczywą malarią zdołało jednak dzięki wiejskiemu powietrzu i troskliwej opiece uporać się z nawałnościami pokwitania, po czym mięśnie, zyskując przewagę, pokonały słabość i gnuśność wynikłą z blednicy, proces rośnięcia doprowadziwszy do całkowitego rozkwitu.

Matka, kobieta wysoka i chuda, małomówna i bezbarwna, umarła z wycieńczenia; następnie oszczędził ojciec, zabrany jakąś nieokreśloną chorobą; des Esseintes osiągnął podówczas siedemnasty rok życia.

Zachował po rodzicach tylko wspomnienia podbarwione lękiem, bez wdzięczności, bez uczuć serdecznych. Ojca, który zazwyczaj przebywał w Paryżu, nie znał prawie; matkę pamiętał jako osobę nieruchawą i leżącą w zaciemnionej komnacie zamku Lourps. Małżonkowie widywali się rzadko, Jan wspominał ich jałowe spotkania; rodzice siedzieli naprzeciw siebie przy okrągłym stoliczku, jedynym sprzęcie oświetlonym lampą o szerokiej umbrelli, opuszczonej bardzo nisko, światła bowiem i hałasy przyprawiały zawsze diuszę o ataki nerwowe; w mroku zamieniali za ledwie pa-

rę słów, potem diuk odchodził obojętnie i czym prędzej wskakiwał do pierwszego nadarzającego się pociągu.

U jezuitów, którym powierzono edukację Jana, chłopiec wiódł życie łatwiejsze i przyjemniejsze. Zdziwiwszy ojców swą inteligencją, od pierwszej chwili był ich beniaminkiem; ale, mimo usilnych starań, w studia systematyczne wdroić go nie zdołali; w niektórych pracach zajadły, przedwcześnie opanował język łaciński, natomiast absolutnie był niezdolny wyjaśnić choćby dwa słowa greckie, nie zdradzał żadnego talentu do języków nowożytnych i okazywał się kompletnym tępakiem, kiedy próbowano go nauczyć podstaw historii naturalnej.

Rodzina nie zajmowała się nim zbytnio; niekiedy ojciec odwiedzał go w konwikcie: „Dzień dobry, dobranoc, bądź grzeczny, ucz się pilnie”. Latem na wakacje wyjeżdżał do zamku w Lourps; swoją obecnością nie wytrącał matki z jej dumań; nie dostrzegała go prawie albo wpatrywała się w niego przez kilka sekund z uśmiechem niemal bolesnym i znowu wsiąkała w sztuczną noc, którą gęste zasłony w oknach spowijały pokój.

Służba była zrzędna i stara. Pozostawiony sam sobie, chłopiec w dni deszczowe grzebał w książkach, a w słoneczne popołudnia wałęsał się po wsi.

Wielką mu było radością schodzić w dolinę, docierać do Jutigny, siola wyrosłego u podnóża pagórków; było to małe skupisko chałup ustrojonych w słomiane czapy, na których kępami plenił się rojnik i rozpścięrał mech. Kładł się na łące w cieniu wysokich stogów, słuchając głuchego terkotu młynów wodnych i wciągając w płuca chłodne tchnienia Voulzie. Niekiedy wyprawiał się aż na torfowiska, aż do zielono-czarnej wioski Longueville, albo wdrapywał się na stoki



omięcione wiatrem, skąd widać było obszar ogromny. Tu z jednej strony miał pod stopami dolinę Sekwany, umykającą jak okiem sięgnąć i pomieszana z błękitem nieba zamkniętego w oddali; z drugiej, bardzo wysoko, na horyzoncie, widział kościoły i wieże Provins, które wydawały się drżeć w słońcu, wśród złocistej kurzawy powietrza.

Czytał albo marzył, aż do zmroku sycił się samotnością; a że nie zmieniał przedmiotu medytacji, umysł jego skondensował się i dojrzały pojęcia, przedtem jeszcze nie określone. Po każdym wakacjach wracał do swoich nauczycieli rozsądniejszy i bardziej uparty; zmiany te nie uchodziły ich uwagi: przenikliwi i szczwani, nawykli za sprawą swojego rzemiosła do jak najgłębszego sondowania dusz, nie pomylili się nic a nic co do tej inteligencji bystrej, lecz krnąbrnej; pojęli, iż nigdy ów elew nie przysporzy chwały ich zgromadzeniu, a że rodzinę miał bogatą i, jak się zdawało, obojętną wobec jego przyszłości, zrezygnowali, nie czekając, z pokierowania go ku którejś z intratnych karier naukowych; chociaż chętnie dysputował z nimi na temat wszelkich doktryn teologicznych, które pasjonowały go swoimi subtelnościami i sofizmatami, ani powstało im w głowach, żeby przeznaczyć mu zakon, mimo bowiem ich wysiłków jego wiara pozostawała charława; koniec końców, powodowani przezornością i obawiając się niespodzianek, pozwolili mu poświęcać się tym studiom, w których znajdował upodobanie, i zaniebysząc inne, nie chcieli bowiem zrażać sobie tego niezależnego umysłu szykanami godnymi belfrów świeckich.

Żył więc tak, absolutnie szczęśliwie, nie odczuwając na dobrą sprawę ojcowskiego jarzma księży; studiował nadal piśmiennictwo łacińskie i francuskie, jak sam tylko zechciał, a chociaż teologia nie figurowała bynaj-

mniej w programie jego klasy, uzupełnił terminowanie w owej nauce, którą rozpoczął był na zamku Lourps, dzięki księgozbiorowi, jaki przekazał mu w spadku wujeczny pradziadek, Dom Prosper, niegdyś przeor kanoników regularnych z Saint-Ruf.

Nadszedł jednak moment, kiedy należało opuścić kolegium jezuitów; diuk Jan osiągnął pełnoletność, stawał się panem swojej fortuny; jego kuzyn i opiekun zarazem, hrabia de Montchevrel, zdał mu rachunki. Ich wzajemne kontakty trwały krótko, nie mógł bowiem istnieć żaden punkt styczności między tymi dwoma ludźmi, z których jeden był stary, a drugi młody. Powodowany ciekawością, bezczynnością, grzecznością, des Esseintes odwiedzał tę rodzinę w jej pałacu na ulicy de la Chaise i kilkakrotnie padł ofiarą przygnębiających wieczorów, kiedy krewniaczki, stare jak świat, rozprawiały o patentach szlacheckich, księżycach heraldycznych i przebrzmiałej etykietce.

Bardziej jeszcze niż te sędziwe wdowy, mężczyźni zgromadzeni wokół wista okazywali się istotami skostniałymi na zawsze i żadnymi; tutaj to potomkowie dawnych rycerzy, ostatnie gałęzie szczepów feudalnych, pojawili się des Esseintes'owi w postaci starców zakatarzonych i maniaków międlących przenuadne dyskursy, stuletnie frazesy. Wydawało się, że — podobnie jak w ściętej gałęzce paproci — jedynie kwiat lilii pozostał odcisnięty w rozmięklej magmie tych starczych czaszek.

Niewysłowiona pogarda zdjęła młodzieńca dla tych mumij pogrzebanych w grobowcach stylu pompadour o rokokowych boazeriach, dla tych posępnych dziadków żyjących z okiem wciąż wlepionym w jakiś mglisty Chanaan, w jakąś wymaginowaną Palestynę.

Po kilku nasiadówkach w owym gronie postanowił,



nie zważając na inwitacje i wyrzuty, nie przekroczyć więcej tych progów.

Jał wtedy zadawać się z młodymi ludźmi w swoim wieku i ze swojej sfery.

Jedni, wychowani jak on w szkołach klasztornych, zachowali specjalne znamię tej edukacji. Bywali na nabożeństwach, na Wielkanoc przystępowali do komunii, obracali się w kręgach katolickich, swoje wypady do dziwek zatajali niby zbrodnię, spuszczać oczy. W większości byli paniczkami nieinteligentnymi i utemperowanymi, zwycięskimi durniami, którzy chociaż znużyli cierpliwość profesorów, usatysfakcjonowali jednak ich wolę dostarczania społeczeństwu osobników uległych i nabożnych.

Inni, wychowankowie kolegów państwowych lub liceów, byli mniej obłudni i swobodniejsi, lecz nie bardziej interesujący ani mniej ciasni. Byli hulakami, amatorami operetek i wyścigów, grywali w lancknehta i bakarata, tracili majątki zakładając się o konie, o karty, o wszelkie uciechy drogie pustogłowom. Po roku doświadczeń diuk Jan znużył się do imentu ową kompanią, której rozpusta wydała mu się łatwa, niewybredna, pozbawiona gorączkowego ceremoniału i najwyższej ekscytacji, w jaką ma wprawiać krew i nerwy.

Opuścił ich, nie od razu jednak, i zbliżył się do literatów z nadzieją, że jego myśl powinna znaleźć z nimi więcej powinowactw i poczuć się wygodniej. Nowe złudzenie; wzburzyły go sądy tych ludzi, zawistne i ciasne, ich rozmowy banalne jak mamrotanie pacierzy, ich obrzydliwe dysputy, w których oceniali wartość dzieła po liczbie wydań i zysku ze sprzedaży. W tymże czasie dostrzegł wolnomyślicieli, doktrynerów mieszczaństwa, ludzi, którzy domagali się wszelkich swobód, żeby zdławić obce im poglądy, pazer-

nych i bezwstydnym purytanom, pod względem edukacji niższych w jego oczach od szewca z rogu.

Wzrosła jego wzgarda dla ludzkości; pojął, że większość ludzi składa się z blagierów i durniów. Tak więc utracił wszelką nadzieję, by odkryć u kogoś z bliźnich te same dążności i te same odrazy, wszelką nadzieję, by stowarzyszyć się z umysłem, który jak jego umysł znalazłby upodobanie w erudycyjnych starociach, wszelką nadzieję, by sprzyjać się z umysłem dociekliwym i subtelnym — takim jak umysł jego — pisarza lub miłośnika literatury.

Zdenerwowany, niekontent, oburzony na bagatelność myśli wymienianych i otrzymywanych, stawał się jak owi ludzie, o których powiada Nicole: obolały był na całym ciele; doszedł do tego, że stale, niczym odarty ze skóry, reagował cierpieniem na brednie patriotyczne i społeczne, jakie każdego rana wyczytywał w gazetach, i zżymał się wyjaskrawiając w oczach własnych sukcesy, które u wszechpotężnej publiki zawsze i pomimo wszystko święcą dzieła pisane bez myśli i stylu.

I marzyła mu się już wyrafinowana Tebaida na komfortowej pustyni, arka nieruchoma i ciepła, w której schroniłby się z dala od nieustającego potopu głupoty ludzkiej.

Jedyna namiętność, kobieta, mogłaby w nim ułagodzić tę ogólną i dokuczliwą wzgardę, lecz i kobiety przejadły mu się również. Kosztował uczt cielesnych z apetytem kapryśnika hołdującego dziwacznym smakiem, nękanego głodami, od których podniebienie tępieje i obojętnieje rychło; w czasach, kiedy zadawał się ze szlagonami, uczestniczył w owych obfitych bibkach, gdy przy deserze pijane kobiety rozmamłują się i głowami walą w stół; zwiedził też kulisy, zaznajomił się z aktorkami i śpiewaczkami, doświadczył, poza



wrodzoną głupotą kobiet, rozszalałej próżności błaznic; a potem utrzymywał dziwki już sławne i przysparzał fortuny owym agencjom, które za opłatą dostarczają wątpliwych rozkoszy; na koniec obżarty, znużony tym niezmiennym luksusem, tymi jednakowymi pieszczotami, dał nura w doły społeczne, spodziewając się, iż mocą kontrastu podkarmi tam swoje żądze, i myśląc, że podnieci uśpione zmysły ekscytującymi brudami nędzy.

Czegokolwiek by popróbował, gnębiła go przemożna nuda. Zawziął się, odwołał do zgubnych karesów mistrzyń, ale wtedy podupadł na zdrowiu i pogorszył się stan jego nerwów; pojawiała się już bolesność w karku, ręka zaś nie drżała, jeśli chwycił jakieś przedmioty ciężkie, podrygiwała natomiast i opadała, kiedy trzymał coś lekkiego, na przykład kieliszek.

Przeraziła go diagnoza lekarzy. Czas już przekreślić to życie, wyrzec się manewrów, od których marniały jego siły. Ustatkował się na czas jakiś; wkrótce jednak rozjurzony mózdek znów uderzył na alarm. Podobny owym smarkulom, które pod naporem dojrzewania łakną potraw nadpsutych lub obrzydliwych, diuk Jan począł najpierw marzyć o amorach frymuśnych i zбочonych, a potem praktykować je; wtedy nastąpił koniec; jak gdyby usatysfakcjonowane, że wyczerpały wszystko, jak gdyby przetrącone w krzyżach, zmysły zapadły w letarg, zbliżała się impotencja.

Znalazł się znów na drodze wytrzeźwiałej, samotny i rzygliwie znużony, błagając o kres, którego osiągnąć nie mógł, hamowany tchórzostwem swojego ciała.

Umocniły się jego projekty, żeby przyczaić się gdzieś z dala od świata, zaszyć się w pustelni, zagłuszyć turkoczający hałas bezlitosnego życia — niby chorego, dla którego wyściela się ulicę słomą.

Był zresztą czas na decyzję; zatrwożył się obliczy-

wszy swoje zasoby; szaleństwa i hulanki pożarły większą część jego schedy, reszta zaś, ulokowana w ziemi, przynosiła odsetki wprost śmieszne.

Postanowił sprzedać zamek Lourps, dokąd już nie jeździł i gdzie nie pozostawił żadnych wspomnień serdecznych, żadnej tęsknoty; zlikwidował również inne włości, nabył obligacje państwowe i tym sposobem zgromadził roczny dochód w wysokości pięćdziesięciu tysięcy liwrow, a ponadto zarezerwował sobie okrągłą sumkę na umeblowanie i zakup domeczku, gdzie zamierzał zatonać w spokojności definitywnej.

Przeszukując okolice Paryża, odkrył rudereę przeznaczoną na sprzedaż, na krańcach Fontenay-aux-Roses, w miejscu ustronnym, bez sąsiadów, nie opodal fortu; spełniły się jego marzenia: w tych okolicach, niezbyt jeszcze spustoszonych przez paryżan, będzie jak w azylu; dodały mu ducha trudności komunikacyjne: śmieszna kolejka była gdzieś na końcu miasta, małe tramwaiki kursowały tam i z powrotem jak im się podobało. Dumając o nowej egzystencji, jaką zamierzał sobie zorganizować, des Esseintes odczuwał wesołość tym żywszą, że widział się teraz na brzegu, w punkcie, dokąd fale Paryża dotrzeć już nie mogły, a jednak na tyle od stolicy bliskim, iż owo sąsiedztwo utwierdzało jego samotność. Bo i rzeczywiście, skoro wystarcza nam niemożność udania się tam, dokąd udać się zdejmie nas ochota, są szanse, że jeśli nie zagroźmy sobie całkiem drogi, nie będą nam się naprzykrzać żadne ciągoty towarzyskie, żadna nostalgia.

Kazał mularzom odremontować dom, który nabył, po czym nagle, pewnego dnia, nie uwiadamiając nikogo o swoich projektach, wyzbył się mebli, odprawił służbę i zniknął nie zostawiwszy stróżowi adresu.



## I

Minęły przeszło dwa miesiące, nim des Esseintes zdołał zatonać w milczącej spokojności swojego domu w Fontenay; robiąc wszelkiego rodzaju zakupy, musiał jeszcze promenować po Paryżu, przemierzać miasto od krańca do krańca.

Do iluż jednak uciekał się niestrudzonych poszukiwań, w iluż pogrążał się medytacjach, zanim swoje mieszkanie powierzył tapicerom!

Od dawna już rozeznawał się wybornie w szczerości i fortelach odcieni. Niegdyś, kiedy jeszcze przyjmował u siebie kobiety, skomponował był buduar: wśród mebelków rzeźbionych w złotawym japońskim kamforowcu, pod czymś podobnym atlasowemu namiotowi, zabarwionemu różem indyjskim, ciała nabierały z wolna sztucznych kolorów dzięki światłom przesiewanym przez tkaninę.

Pokój ten, wypełniony echami luster przesyłających sobie wzajem ze ścian odbicia nie kończących się amfilad różowych buduarów, słynął wśród dziwek, które lubiły nurzać swoją nagość w tej kąpieli ciepłego szkarłatu, aromatyzowanej wonią mięty, jaką wydziełało drzewo mebli.

Ale wyjąwszy nawet dobrodziejstwa tej uszminkowanej aury, zdającej się nasycać świeżą krwią owe ciała zwiotczące, podniszczone nadużyciem blanszu i bezsennych nocy, diuk Jan smakował na własny

rachunek, pogrążony w tej rozleniwiającej monotonii, radości szczególne, rozkosze, które doprowadzało do szczytu i aktywizowało w pewnym sensie wspomnienie minionych cierpień, zmarłych utrapień.

Tak więc powodowany nienawiścią, wzdardą dla swojego dzieciństwa, zawiesił pod sufitem buduaru srebrną drucianą klateczkę, gdzie świerszcz uwięziony wyśpiewywał jak ongi w popiołach kominków zamku Lourps; kiedy słuchał tych zawołań, tyle razy słyszanych we wszystkie wieczory nienaturalne i nieme, jakie spędzał u swojej matki, tłoczyły się przed nim obrazy młodości przeżytej w opuszczeniu, obolałej i zdławionej, a wtedy wśród podrygów kobiety, którą pieścił machinalnie i której śmiech lub słowa przerywały tę wizję i sprowadzały go raptownie w rzeczywistość, do buduaru, na ziemię, tumult się wznosił w duszy diuka Jana, potrzeba zemsty za wszczepiane mu smutki, zaciekłość, aby bezceństwami zbrukać wspomnienia rodzinne, furiacka żądza, by barłóżyć się na poduszkach ciała, wyczerpać aż do ostatniej kropli najgwałtowniejsze i najostrzejsze szaleństwa cielesne.

Innym znów razem, kiedy nacierał na niego spleen i kiedy w jesienne dni deszczowe oblegał go wstręt do ulicy, do własnego domu, do nieba z żółtego błocaka, do obłoków z szutru, chronił się w owej kryjówce, poruszał lekko klatką i patrzył, jak odbijała się w nieskończoność wśród gry zwierciadeł, póki jego upojone oko nie dostrzegło, że klatka zastyga w bezruchu, ale za to cały buduar chwieje się i wiruje wypełniając dom różowym walcem.

Potem, w czasach, kiedy wyróżniać się uznawał za konieczne, des Esseintes stworzył serię umeblowań przepysznie dziwacznych, a salon podzielił na szereg nisz o różnorakich obiciach, nisz, które mogły łączyć się z sobą na zasadzie subtelnej analogii, nieokreślonej



zgody barw radosnych albo posepnych, delikatnych lub jaskrawych, kojarzyć się z charakterem jego ulubionych dzieł łacińskich czy francuskich. Sadowił się w takiej niszy, której dekoracja wydawała mu się najstosowniejsza do substancji dzieła, jakie wiedziony chwilowym kaprysem czytać zamierzał.

Na koniec rozkazał urządzić wysoką salę, przeznaczoną do przyjmowania dostawców; wchodzili, zasiadali rzędem w kościelnych stallach, a wtedy on wstępował na ambonę i z jej wyżyn wygłaszał kazanie na temat dandyzmu, wzywając uroczyście swoich krawców i szewców, żeby stosowali się jak najabsolutniej do rozmaitych jego brewe w materii kroju — i grożąc ekskomuniką pieniężną, jeśli nie będą wypełniać szczegółowo wskazań zawartych w jego monitoriach i bullach.

Zyskał reputację ekscentryka, miary zaś dopełnił jeszcze swoimi strojami: odziewał się w białe aksamitne garnitury i kamizelki ze złotogłowiu, koszuli pod szyją nie zapinał, zastępując krawat bukietem fiołków parmeńskich wetkniętym w ów dekolt, literatów zaś spraszał na słynne obiady, spośród których między innymi jeden zwłaszcza, wzorowany na XVIII wieku, zdobył rozgłos, kiedy diuk Jan, pragnąc uczcić jakąś najbliższą i nieudaną miłośćkę, wykoncypował ucztę żałobną.

W jadalni obitej kirem, otwartej na ogród posesji przynależny, który zmienił nagle wygląd, aleje bowiem zalegał pył węglowy, niewielki basen wypełniony atramentem okalała teraz cembrowina z bazaltu i wszędzie pojawiły się kępy cyprysów i pinii, podano obiad na czarnym obrusie przystrojonym koszami fiołków i skabioz, oświetlonym kandelabrami, gdzie paliły się zielone płomienie, i świecznikami, gdzie jarzyły się świece.

Kiedy ukryta orkiestra wygrywała marsze żałobne, biesiadnikom usługiwały nagie Murzynki w srebrnych pantofelkach i pończochach usianych łzami.

Na talerzach obwiedzionych czernią jedli zupełną żółwiową, żytne chlebki rosyjskie, dojrzałe tureckie oliwki, kawior, ikrę cierniogłowów, wędzone kiszki frankfurckie, dziczyznę w sosach koloru lukrecji albo szuwaksu, esencję truflową, kremy przybrązowane czekoladą, puddingi, brzoskwinie, marmoladę z winogron i gruszek, morwy i czereśnie; pili w ciemnych kieliszkach wino z Limagne i z Rousillon, z Tenedos, z Val de Peñas i z Porto; po kawie z orzechówką kosztowali rozmaitych piw, kwasu i porterów.

Kartoniki, takie, jakimi zawiadamia się o pogrzebach, zwołały biesiadników na tę ucztę męskości chwilowo zmarłej.

Lecz owe ekstrawagancje, którymi tak chlubił się niegdyś, same z siebie niszczały; dziś naszała go wzdarda dla tych ostentacyj dziecinnych i przestarzałych, dla tych anormalnych ubiorów, dla tych cudaczkich upiększeń mieszkania. Zamyślał po prostu skomponować sobie dla własnej przyjemności już, a nie dla podziwu znajomych, siedzibę komfortową, ale taką, która byłaby przystrojona w sposób rzadki, ukształcić sobie locum ciekawe i spokojne, dostosowane do potrzeb jego przyszłej samotności.

Kiedy architekt przygotował i urządził dom w Fontenay zgodnie z jego pragnieniami i projektami, kiedy pozostała już tylko decyzja, jak umeblować go i przyozdobić, diuk Jan znów poświęcił wiele czasu na przegląd barw i odcieni.

Pragnął bowiem takich kolorów, których wyraz potwierdzałby się w sztucznym świetle lamp; nie zależało mu na tym właściwie, jakie byłyby w blaskach dnia, szorstkie czy mdłe, żyjąc bowiem jedynie nocą, mnie-



mał, że wtedy człowiek jest bardziej u siebie, bardziej samotny, i że umysł doznaje bodźców i pulsuje rzeczywiście tylko w styczności z czymś, co sąsiaduje z mrokiem; ale znajdował także szczególną radość w pokoju rześście oświetlonym, w pokoju jedynym, który czuwał wśród kamienic zaciemnionych i śpiących, swoistą radość, może z drobną przymieszką próżności, satysfakcję całkiem osobliwą, jakiej zaznają ludzie pracujący do późnych godzin, kiedy podnosząc zasłony w oknach stwierdzają, że wokół nich wszystko jest wygaszone, wszystko jest nieme, wszystko jest umarłe.

Systematycznie przesiał odcienie, jeden po drugim.

Błękit skłania się przy świecach ku fałszywej zieleni; jeśli jest ciemny jak indygo lub kobalt, staje się czarny; jeśli jest jasny, obraca się w szarość; jeśli jest czysty i łagodny jak turkus, mętnieje i zimnieje.

Nie może więc być mowy, żeby uczynić błękit dominującą nutą pokoju, chyba że wyśle się go do towarzystwa i z pomocą innej barwie.

Z drugiej strony szarości stalowe posepnieją jeszcze bardziej i stają się ciężkie; szarości perłowe tracą swój lazur i przekształcają się w brudną biel: brązy zasypiają i zimnieją; co do ciemnych zieleni, takich jak zielenie cesarskie albo mirtowe, zachowują się tak samo jak prymitywne błękity, zlewając się z czerwiami; pozostawały więc zielenie bledsze, takie jak zielenie pawia, cynobry i laki, ale światło wypędza z nich błękit, zatrzymując już tylko żółtość, która z kolei zachowuje już tylko ton fałszywy, smak zmętniały.

Nie było też co myśleć o barwach łososiowych, kukurydzianych i różowościach, których zniewieściałość koliduje z myślami o samotnictwie; nie było wreszcie co dumać o fiolecie, które ubożeją; tylko czerwień wypływa na wierzch, wieczorami, i to jaka czerwień! czerwień śluzowata, paskudny osad wina; wy-

dawało mu się zresztą całkiem zbędne odwoływać się do tej barwy, skoro jeśli wprowadzić do niej pewną dawkę santoniny, ujrzymy fiolecie, łatwo więc zmienić odcień tapet nie dotykając ich nawet.

Kiedy zatem odrzucić te kolory, pozostaną nam tylko trzy: czerwony, pomarańczowy, żółty.

Ponad wszystkie diuk Jan przynosił pomarańczowy, potwierdzając w ten sposób własnym przykładem prawdziwość teorii, matematycznie ścisłej niemal, jak sam oświadczał, to znaczy: istnieje harmonia między naturą zmysłową jednostki naprawdę artystycznej a kolorem, który jej oczy widzą na modłę specjalniejszą i żywszą.

A że lekceważył w istocie ogół ludzki, którego prymitywne siatkówki nie postrzegają kadencji właściwej każdemu z kolorów ani tajemniczego uroku przyćmień ich i niuansów; a że lekceważył również owe oczy mieszczańskie niewrażliwe na patos i zwycięstwo barw silnych i wibrujących; a że utrzymywał już podówczas stosunki towarzyskie tylko z ludźmi o wyrafinowanych źrenicach, wyćwiczonych przez literaturę i sztukę, wydawało mu się pewne, iż oko tego z nich, który marzy o ideale, domaga się iluzji, pożąda opon zachodu, rozkoszuje się na ogół błękitem i jego pochodnymi, takimi jak lilaróż, liliowość, szarość perłowa, pod warunkiem jednak, żeby te barwy zachowywały subtelność i nie przekraczały granic, gdzie rozwiewa się ich osobowość i przekształcają się w czyste fiolety albo wyraziste szarości.

Przeciwnie zaś ludzie o naturze huzarskiej, krwiści, dorodni sangwinicy, krzepcy samcy, co gardząc prelujami i stopniowaniem rzucają się i tracą natychmiast głowę — ci w większości objawiają zamiłowanie do jaskrawych żółci i czerwieni, do hałaśliwych cymbałów szkarłatu i chromu, które oślepiają ich i upajają.



Na koniec, oczy ludzi osłabionych i nerwowych, których apetyt zmysłowy szuka potraw upikantnionych zgliwieniem i przestałą marynatą, oczy ludzi rozekscytowanych i wychudłych miłują, prawie bez wyjątku, ów kolor podniecający i niezdrowy, pełen zmyślonych wspaniałości i jadowitych rozgorączkowań: barwę pomarańczową.

Wybór des Esseintes'a nie mógł więc budzić najmniejszych wątpliwości; ale niezaprzeczone przeszkody pojawiały się jeszcze. O ile bowiem kolory czerwony i żółty uwspaniałają się w świetle, nie zawsze tak bywa z ich kompozycją, barwą pomarańczową, którą ponosi temperament, a wtedy przeobraża się ona w czerwień nasturcji, czerwień ognistą.

Studiując przy świecach wszelkie odcienie oranżu, odkrył taki, który nie powinien był się zwarzyć ani przymiotami swymi zawieść jego oczekowań; po tych doświadczeniach wstępnych postarał się, o ile tylko było to możliwe, nie używać w swoim gabinecie tkanin i kobierców wschodnich, które teraz, kiedy wzbogaceni kupcy nabywali je w magazynach nowości, stały się tak obrzydliwe i pospolite.

Koniec końców postanowił oprawić swoje ściany, jak oprawia się książki, w safian gruboziarnisty i w skórę z Cap, glansowaną przy pomocy ciężkich stalowych płyt, pod potężną prasą.

Kiedy już lamperie były przyozdobione, kazał pomalować listwy i górne plinty na kolor indygo, ciemny, lakierowany, podobny temu, jakim powoźnicy pociągają z zewnątrz ścianki karet, a sufit nieco wklęsły, również obciągnięty safianem, otwarł, niby ogromne owalne okno, oprawione w pomarańczową skórę, tworząc krąg firmamentu jedwabny, jasniebieski, ze wzbijającymi się pod sam szczyt na wyprężonych skrzydłach srebrnymi serafinami, niegdyś wyhaftowa-

nymi przez bractwo kolońskich tkaczy na starodawnej kapie kościelnej.

Wszystko to, tak rozmieszczone, wieczorem pogodziło się, utemperowało, ustatkowało: boazerie unieruchomiły swój błękit wspierany i podgrzewany jak gdyby barwami pomarańczowymi, które z kolei zachowały równowagę wolną od fałszów, podtrzymywane i w pewnym sensie rozjarzane natarczywym tchnieniem błękitów.

Co do mebli, des Esseintes nie musiał fatygować się długotrwałym szperaniem — jedyny luksus tego pokoju miał polegać na książkach i kwiatach rzadkich; poprzestał, odłożywszy inne upiększenia na później, na kilku obrazach i kilku rysunkach, a że ściany pozostały nagie, większą ich część zasłonił hebanowymi półkami i szafkami bibliotecznymi, posadzkę wymościł skórami dzikich zwierząt i futrem niebieskich lisów, masywny stół, po piętnastowiecznym wekslarzu, otoczył głębokimi, uszatyimi fotelami i ustawił przy nim pulpit kościelny, antyk z kutego żelaza, jeden z owych starodawnych pulpitów, na których diakoni rozkładali niegdyś antyfonarze, a który dźwigał obecnie jedno z owych ciężkich in folio „Glossarium mediae et infimae latinitatis” du Cange'a.

Okna, których szyby spękane, niebieskawe, usiane dnami butelek o wypukłościach upstrzonych złotem, zatrzymywały widok pól i przepuszczały jedynie imitację światła, z kolei odziały się w zasłony pozszywane ze starych stuł o złocie przyczerniałym i jak gdyby przydymionym, gasnącym w osnowie radości niemal martwej.

Wreszcie, na kominku, również odzianym w szatę wykrojoną z przepysznego złotogłowiu dalmatyki florenckiej, pomiędzy dwiema monstrancjami z pozłoczonej miedzi w stylu bizantyjskim, pochodzącymi z daw-



nego Abbaye-aux-Bois de Bièvre, cudowny kanon mszalny, oprawny w trzy oddzielne ramki, wyrobione misternie niczym koronka, zawierał pod szkłem skopiowane na autentycznym welinie, prześlicznymi literami mszału ze wspaniałymi iluminacjami, trzy utwory Baudelaire'a: po prawej i lewej stronie sonety noszące tytuły „Śmierć kochanków”, „Wróg”, w środku zaś poemat prozą zatytułowany: „Anywhere out of the world” — „Gdziekolwiek poza światem”.

## II

Sprzedawszy swoje włości, des Esseintes zatrzymał dwoje starych służących, którzy pielęgnując niegdyś jego matkę sprawowali równocześnie funkcje rządców i odźwiernych na zamku Lourps, pustym i nie zamieszkanym od momentu, kiedy został wystawiony na licytację.

Sprowadził do Fontenay to stadło wprawne w zawodzie pielęgniarzów, z punktualnością szpitalną, godzina po godzinie, rozdzielające łyżkami miksturę lub ziółka, nawykłe do surowej ciszy mnichów w klauzurze, do braku styczności ze światem zewnętrznym, w pokojach, których okna i drzwi były na głucho zamknięte.

Mąż miał sprzątać pokoje i zakupywać żywność, żona — gotować. Odstąpił im pierwsze piętro, nakazał chodzić w grubych filcowych papuciach, zarządził, aby drzwi porządnie uszczelniono i naoliwiono, podłogę zaś wymoszczono puszystymi kobiercami, które raz na zawsze stłumiłyby odgłos kroków służby nad jego głową.

Ustalił z obojgiem znaczenie niektórych dzwonek, określił sens ich dźwięku stosownie do liczby uderzeń przeciągłych lub krótkich; wskazał na swoim biurku miejsce, gdzie co miesiąc mieli kłaść książkę rachunkową podczas jego snu; urządził się, słowem, w taki sposób, aby bez potrzeby nie widywać ich ani nie mówić do nich.

Niemniej kobieta musiała czasami przechodzić pod domem, zdążając do drwalek, aby więc jej cień, kiedy mijala jego szyby, nie raził, kazał uszyć dla niej pelerynę z tafty flamandzkiej zaopatrzoną w biały czepiec i szeroki kaptur, nasuwany na oczy, czarny, jaki i dziś jeszcze noszą w Gandawie beginki. Kiedy o zmierzchu zarys owego kaptura przesunął się przed nim, diuk Jan, kojarząc to z klasztorem, wspominał wsie nieme i nabożne, zamarłe dzielnice, zamknięte i pogrzebane w zakątkach miast aktywnych i żywotnych.

Wprowadził również niezmiennie godziny posiłków; było to zresztą jadło niezbyt skomplikowane i bardzo skromne, niedyspozycje żołądka wzbraniały mu bowiem potraw urozmaiconych lub ciężkich.

Zimą, o piątej, kiedy zmierzch zapadał, jadł lekkie śniadanie złożone z dwóch jajek na miękko, grzanek i herbaty; potem, około jedenastej, siadał do obiadu; w nocy pił czasami herbatę, kawę lub wino; mniej więcej o piątej rano coś tam przegryzał, nim poszedł do łóżka.

Posiłki te, których skład i kolejność ustalał zawsze z początkiem każdej pory roku, przynoszono mu na stół umieszczony pośrodku małego pokoju, odgrodnego od gabinetu korytarzem wymateracowanym, hermetycznie zamkniętym, nie przepuszczającym ani zapachów, ani szmerów do żadnego z dwóch pokoi, które łączył.

Owa jadalnia przypominała kajutę okrętową dzięki



beczkowatemu sklepieniu z belek, ścianom i podłodze z amerykańskiej sosny, okienku przebitego w boazerii, podobnie jak iluminator w burcie.

Niczym owe szkatułki japońskie, jedne zawarte w drugich, ów pokój był wprowadzony w inny, większy — w jadalnię właściwą, dzieło architekta.

Z dwóch okien owej jadalni jedno było w tej chwili niewidoczne, zasłaniała je bowiem stora opatrzona sprężynowym mechanizmem, którą diuk Jan mógł opuszczać do woli, żeby świeże powietrze przedostawało się tym otworem do sosnowego pudła, krążąc po nim; drugie, widoczne, ponieważ znajdowało się na przeciw iluminatora przebitego w boazerii, było na stałe zamknięte; wielkie bowiem akwarium zajmowało całą przestrzeń pomiędzy iluminatorem a owym rzeczywistym oknem w prawdziwej ścianie. Ażeby oświetlić kajutę, promienie przedostawały się więc przez okno, w którym zwykle szyby zastąpiono jedną szybą lustrzaną, przez wodę i na koniec przez iluminator wprowadzony w burtę.

I tak, jesienią, kiedy samowar dymił na stole, a słońce zniknęło już, woda w akwarium, przed południem szklista i mętna, czerwieniała i prószyła na złotawe ściany rozplamionym odblaskiem żaru.

Czasami, jeśli przypadkiem nie spał i był na nogach, des Esseintes, uruchamiając system rur i przewodów, opróżniał akwarium, napełniał je znów czystą wodą, wpuszczał w nią krople różnobarwnych esencji i tak, według upodobania, napawał się kolorami zielonymi lub modrawymi, tęczującymi albo srebrzystymi, jakimi mienia się prawdziwe rzeki zależnie od barwy nieba, mniej lub bardziej jaskrawego żaru słońca, mniej lub bardziej wyrazistych gróźb deszczu, słowem, wedle pory roku albo stanu aury.

Wyobrażał sobie wtedy, że jest na międzypokładzie

brygu, i z ciekawością wpatrywał się w cudowne mechaniczne ryby, nakręcane niczym zegary, ryby, które przepływały przed świetlikiem burty i zamotywały się w sztucznych wodorostach; albo wdychając zapach smoły, który wdmuchiowano do pokoju, zanim tam wszedł, kontemplował rozwieszane na ścianach kolorowe ryciny, przedstawiające, niby w biurach towarzystw okrętowych czy u Lloyda, parostatki zdążające do Valparaiso i La Platy, studiował poprawne tablice z rozkładami rejsów linii Royal mail steam Packet, kompanii Lopeza i kompanii Valéry'ego, medytował nad opłatami przewozowymi i portami, do których zawiązują statki pocztowe obsługujące linie atlantyckie.

A potem jego oko, znużone wertowaniem tych rozkładów jazdy, odpoczywało spoglądając na chronometry i busole, sekstansy i kompasy, a także mapy rozrzucone na stole, nad którym pysznił się jeden jedyny tom, oprawny w skórę morsa, „Przygody Arthura Gordona Pyma”, specjalnie dlań wydrukowane na papierze prążkowanym, bezdrzewnym, ręcznie czerpanym, ze znakiem wodnym wyobrażającym mewę.

Mogło spocząć wreszcie na wędkach, na sieciach ubrązowanych garbnikiem, na zwojach żagli zrudziałych, na maleńkiej kotwicy z korka, pomalowanej na czarno, a wszystko to tworzyło bezładny stos obok drzwi wiodących do kuchni przez korytarz tak wymateracowany, podobnie jak korytarz między jadalnią i gabinetem, aby wchłaniał wszelkie zapachy i wszelkie hałasy.

Prokurował sobie tym sposobem, nigdy nie ruszając się z domu, wrażenia nagłe, migawkowe niemal, dalekich podróży, ową zaś rozkoszą — wynikłą ze zmiany miejsca, która w sumie istnieje tylko we wspomnieniach i nie istnieje prawie nigdy w teraźniejszości, w minucie, kiedy się pojawia — diuk Jan napawał



się w pełni, wygodnie, bez fatygi, bez kłopotów, w owej kajucie, gdzie celowy nieład, wygląd tymczasowy i urządzenie, jak gdyby przejściowe, harmonizowały wcale dokładnie z jego tam wizytami, z ograniczonym czasem posiłków i kontrastowały absolutnie z gabinetem do pracy, pokojem, gdzie nic nigdy nie miało się zmienić, uporządkowanym, dobrze rozplanowanym, praktycznie przystosowanym do niezłomnych nawyków domatora.

Ruch wydawał mu się zresztą zbędny, uważał, że wyobraźnia łatwo zdoła zastąpić wulgarną rzeczywistość faktów. Jego zdaniem było możliwe zaspokajanie żądze o reputacji najtrudniejszych do nasycenia w życiu normalnym, a to za pomocą lekkich forteli, zgrabnych falsyfikatów, jakie można czynić celem naszych pożądań. Tak więc jest całkiem oczywiste, że każdy smakosz delectuje się dziś w renomowanych restauracjach znakomitością ich piwnic, popijając szlachetne wina fabrykowane z paskudnych sikaczy, które traktuje się metodą pana Pasteura. Otóż, prawdziwe czy fałszywe, wina te mają jednakowy aromat, jednakowy kolor, jednakowy bukiet, rozkosz więc, jakiej doznajemy smakując w tych likworach zepsutych i podrobionych, jest absolutnie identyczna z rozkoszą, której zakosztowalibyśmy smakując wino naturalne i czyste, nie do znalezienia zresztą na wagę złota nawet.

Przenieśmy tę zradną dewiację, to zręczne kłamstwo, w świat intelektu, a nie będziemy żywić ani cienia wątpliwości, iżbyśmy i tutaj nie zdołali, równie łatwo jak w świecie materialnym, radować się chimerycznymi rozkoszami, podobnymi w każdym calu do prawdziwych; nie będziemy żywić ani cienia wątpliwości, iżbyśmy na przykład zasiadłszy przy kominku nie zdołali odbywać dalekich wypraw, umysł oporny lub

leniwy wspomagając w potrzebie lekturą książki opowiadającej o zamorskich podróżach; nie będziemy też mieć ani cienia wątpliwości, iżbyśmy nie zdołali — nie ruszając się na krok z Paryża — zażywać dobroczynnych wrażeń, jakich dostarczają kąpiele morskie; wystarczyłoby po prostu odwiedzić łaźnię Vigiera, urządzoną na statku pośrodku Sekwany.

Tam kazalibyśmy posolić wodę w wannie, dodając, zgodnie z formułą Codexu, siarczan sodu, wodosolan magnezu i wapno; ze starannie zakręconego pudełka wyjęlibyśmy kłębek sznurka lub nawet kawałek liny, zakupiony specjalnie w wielkim składzie powroźniczym, którego obszerne magazyny czy podziemia wonięją morszczykami i portem; wdychalibyśmy te zapachy, które ów sznurek lub kawałek liny zachował z pewnością; wpatrywalibyśmy się w dokładną fotografię jakiegoś kasyna albo wczytywali się żarliwie w „Guide Joanne” opisujący uroki plaży, na której chcielibyśmy się znaleźć; na koniec poddawalibyśmy się kołysaniu fal, jakie wywołuje w wannie ruch stateczków pasażerskich, które krążąc po rzece ocierają się niemal o ponton łaźni; gdybyście wreszcie wsłuchiwali się w jęk wichru wpadającego pod arkady i w głuchy łoskot omnibusów przejeżdżających o dwa kroki stąd, nad wami, po moście Royal, złudzenie morza byłoby niezaprzeczone, nieodparte, niezawodne.

Wszystko polega na tym, żeby wiedzieć, jak przystąpić do rzeczy: skoncentrować myśl na jednym jedynym punkcie, umieć wyabstrahować się wystarczająco, aby sprowadzić halucynację i móc podstawić marzenie o rzeczywistości pod samą rzeczywistość.

A skądinąd sztuczne efekty wydawały się des Esseintes'owi cechą wyróżniającą geniuszu ludzkiego. Jak powiadał, natura przeżyła się już; obrzydliwą jednostajnością swoich krajobrazów, obłoków i nieba

artificial



znużyła pełną atencji cierpliwość ludzi wyrafinowanych. W gruncie rzeczy, co za tępota specjalisty ograniczającego się do swoich spraw, co za małość sklepikarki handlującej jednymi artykułami z pominięciem drugich, co za monotony magazyn pól i łąk, co za banalna agencja gór i mórz!

Nie ma skądinąd takiego jej wynalazku, spośród uchodzących za nadzwyczaj subtelne i nadzwyczaj wspaniałe, którego geniusz ludzki nie zdołałby stworzyć; dekoracje zalane strumieniami światła elektrycznego wyprodukują każdy las Fontainebleau i każdą pełnię księżyca; hydraulik sfabrykuje każdy wodospad podobny aż do złudzenia; papka kartonowa potrafi imitować każdą skałę; żaden prawdziwy kwiat nie wytrzyma konkurencji z kwiatami na delikatnych tapetach albo kunsztownie wykonanymi z tafty!

Nie ma co wątpić, odwieczna ta nudziara wypompowała już naiwny podziw prawdziwych artystów, nadszedł moment, kiedy należy ją zastąpić, na ile się tylko da, sztuką.

To rzekłszy, zastanówmy się dobrze nad dziełem natury poczytywanym za najmisterniejsze, nad jej tworem, którego piękno jest, w ogólnym mniemaniu, najoryginalniejsze i najdoskonalsze — nad kobietą; ale czy mężczyzna ze swej strony nie wyprodukował, całkiem samodzielnie, istoty żyjącej i sztucznej, która w niczym kobiecie nie ustępuje, a nawet ją przewyższa pod względem piękna plastycznego? Czy znajdziecie tu, na ziemi, istotę poczętą w radościach wszeteceństwa i zrodzoną wśród bólów macicznych, której wzorzec, której fizjonomia byłaby bardziej olśniewająca i wspanialsza aniżeli wygląd dwóch lokomotyw kursujących po torach kolei północnej?

Jedna z nich, panna Crampton, cudowna blondyna o wysokim głosie, talii mocnej i smukłej zarazem,

uwięzionej w jarzącym się miedzianym gorsecie, przeciągająca się miękko i nerwowo jak kotka, blondyna strojna i złocista, co trwoży swoją niezwykłą gracją, kiedy napinając stalowe mięśnie wydziela intensywniej pot ze swoich ciepłych boków, wprawia w ruch olbrzymią rozetę swego delikatnego koła i, tchnąca życiem, rozpoczyna swój pęd na czele ekspresów i pociągów, które wjeżdżają na prom!

Druga, panna Engerth, brunetka monumentalna i posępna, okrzyki wydaje chrapliwe i głuche, przysadzista, biodra ma ściśnięte żeliwnym pancerzem, bestia monstrualna o rozwianej grzywie czarnego dymu, o sześciu kołach niskich i sprzęgniętych ze sobą; miążdżąca to potęgą, od której drży ziemia, kiedy holuje za sobą znojnę, powoli ciężki tren wagonów towarowych!

Nie ma z pewnością — wśród kruchych piękności złotowłosych i wśród majestatycznych piękności czarnowłosych — kobiet, które cechowałyby wysmukłość podobnie delikatna i siła podobnie trwożąca; bez żadnej przesady powiedzieć można: w swoim zakresie człowiek spisał się równie dobrze jak Bóg, w którego wierzy.

Refleksje te nachodziły des Esseintes'a, kiedy wiatr przynosił mu wąty gwizd dziecinnej kolejki, która uwija się między Paryżem a Sceaux; dom jego był położony o jakieś dwadzieścia minut od stacji w Fontenay, ale że stał na wzgórzu, odosobniony, nie docierał tu jazgot ohydnych tłumów, które w niedzielę przemożnie zwabia sąsiedztwo dworców kolejowych.

Samo zaś miasteczko znał zaledwie. Nocami, z okna, wpatrywał się w milczący krajobraz, rozpostarty ku nizinie aż do stóp wzgórza, na którego szczycie wznosiła się baterie lasu Verrières.

W ciemności, na prawo, na lewo, piętrzyły się bezkształtne masy, nad którymi w oddali górowały inne



baterie i fortyfikacje o wysokich stromiznach, w świetle księżycy gwaszowanych, rzekłbyś, srebrem na tle mrocznego nieba.

Zwężona cieniem spływającym z pagórków dolina wydawała się pośrodku upudrowana mączką krochmalową i posmarowana bielą cold-creamu; w ciepłym powietrzu, które mechrało spłowiełe trawy i wydzielało pospolitą woń korzenną, drzewa przez księżyc nartarte kredą stroszyły blade listowie i podwajały swoje pnie, przekreślając czarnymi pręgami gipsowy grunt usiany kopkami kamieni iskrzących się niczym skorpury potłuczonych talerzy.

Des Esseintes gustował, owszem, w tym krajobrazie dzięki jego makijażowi i cechom sztuczności; lecz od owego popołudnia, które spędził we wsi Fontenay szukając domu, za dnia ani razu jeszcze nie przechadzał się po tych drogach; zieleni tych okolic nie ciekawiła go zresztą wcale, nie ofiarowywała mu bowiem nawet owego uroku subtelnego i zboląłego, jakim tchnie rozczulająca i chorowita roślinność, która z wielkim trudem przebija się przez gruzy przedmieść, u podnóża fortów. Ponadto zaś owego dnia dostrzegł w miasteczku obywateli brzuchatych, z bokobrodami, lub obywateli wystrojonych, wąsatych, którzy niczym przenajświętszy sakrament obnosili swoje gęby sędowników czy wojskowych; i od tego spotkania wzmógł się w nim jeszcze bardziej wstręt do twarzy ludzkiej.

Podczas ostatnich miesięcy przemieszkiwania w Paryżu, kiedy wziął rozbrat ze wszystkim, przytłoczony hipochondrią, miażdżony spleenem, wpędził się w taką wrażliwość nerwową, że sam widok niemiłego przedmiotu głęboko zapadał mu w mózg, i trzeba było kilku dni, żeby ów przykry ślad zatarł się choćby trochę; muśnięta na ulicy twarz ludzka stawała się dlań przyczyną najjadowitszych udręk.

Cierpiał rzeczywiście na sam widok tych lub owych twarzy, poczytywał sobie niemal za zniewagę ich miny, dobrotliwe czy szorstkie, ręka świerzbiała go, żeby spoliczkować tego pana, który spacerował przymykając oczy z uczoną miną, albo tamtego, który kołysząc się w biodrach z uśmiechem oglądał się w lustrach, albo wreszcie innego, pod którego czaszką zdawał się kłębić świat rozmyślań, kiedy ze zmarszczonymi brwiami pożerał to zasadnicze nudziarstwo, to znów kronikę drobnych wypadków z gazety.

Węszył głupotę tak zastarzałą, taką odrazę do swoich myśli, taką pogardę dla literatury, dla sztuki, dla tego wszystkiego, co wielbił, wietrzył je zaflancowane, zakotwiczone w tych ciasnych mózgach kupców pochłoniętych wyłącznie szacherkami i pieniądzem, a dostępnych jedynie dla owej podłej rozrywki umysłów miernych, jaką jest polityka, że z wściekłością wracał do domu i zamykał się na dwa spusty ze swoimi książkami.

Nienawidził wreszcie ze wszystkich sił młodych pokoleń, tej warstwy potwornych gburów, odczuwających potrzebę głośnych rozmów i śmiechów w restauracjach i kawiarniach, gburów, co na trotuarach potrącają nas nie przepaszając i wpychają nam, nie tłumacząc się ani nie kłaniając się nawet, kółka wózków dziecinnych między nogi.

### III

Część półek, ściśle przystawionych do ścian gabinetu pomarańczowo-błękitnego, zajmowały wyłącznie książki łacińskie — ale z tych, które umysły, ujarz-



mione żalonymi wykładami międlonymi na Sorbonach, określają mianem rodzajowym: dekadencja.

Bo i rzeczywiście, język łaciński taki, jaki praktykowano podówczas, a który profesorowie wciąż jeszcze zowią uparcie złotym wiekiem, nie wzruszał go wcale. Ów język ograniczony, o zwrotach wyliczonych, niezmiennych prawie, o składni skostniałej, język bez barw i odcieni, ów język wytarty na wszystkich szwach, oczyszczony z wyrażen chropawych, ale częstokroć obrazowych, w jakie obfitowały stulecia poprzednie, mógł w ostateczności wypowiadać majestatyczne frazesy, mętne komunały wybajdurzane przez retorów i poetów, lecz wydzielał taką nieciekawość, taką nudę, że w badaniach lingwistycznych należałoby dotrzeć do stylu francuskiego z czasów Ludwika XIV, by napotkać niemoc równie rozmyślną, uroczystą, nużącą i szarą, z rozmysłu także.

Między innymi słodki Wergiliusz, nazywany przez belfrów łabędziem z Mantui, dlatego zapewne, że nie urodził się w tym mieście, wydawał się diukowi Janowi jednym z najstraszliwszych pedantów, jednym z najposepniejszych nudziarzy, jakich kiedykolwiek wydała starożytność; doprowadzali go do pasji ci pasterze, wymyśli strojnisię, którzy wylewali sobie kolejno na głowy garnki napełnione wierszami sentencjonalnymi i lodowatymi — ten Orfeusz, porównany do słowika zalewającego się łzami, ten Arysteusz, chlipiący z powodu pszczół, ten Eneasz, osobistość niuńkowata i zmienna, która przechadza się, podobna chińskiemu cieniowi, wykonując drewniane gesty za przesłoną rozłazącego się i chropawego poematu. Pogodziłby się na pewno z mdlącymi bredniami, jakie te marionetki wymieniają między sobą, na stronie; pogodziłby się także z bezwstydnymi zapożyczeniami od

Homera, Teokryta, Enniusza, Lukrecjusza, ze zwykłą kradzieżą, którą odkrył Makrobiusz wykazując, że druga pieśń „Eneidy” została skopiowana, niemal słowo w słowo, z poematu Pizandra, pogodziłby się wreszcie z całą nieopisaną pustką tej lawiny pień; ale bardziej zrywał się na fakturę tych heksametrów dźwięczących blachą, opróżnioną blaszanką, rozciągających ilości słów odmierzanych litrem, według niewzruszonego nakazu prozodii belferskiej i oschłej; na osnowę tych wierszy, chropowatych i wypindrzonych, odziały w strój oficjalny i bijących niskie pokłony przed gramatyką, na te wiersze cięte mechanicznie cezurą niewzruszoną, czopowane jeden po drugim, zawsze w ten sam sposób, zderzeniami daktyłów ze spondejami.

Torturowała go ta niezmienna metryka pochodząca z udoskonalonej kuźni Katulla, pozbawiona fantazji, bezlitosna, nafaszerowana słowami zbędnymi, watawana, wypełniająca luki myślowe wyrazami identycznymi i z góry przewidzianymi; ten wynędzniały epitet homerycki wciąż powracający po to, żeby nic nie oznaczyć, niczego nie ukazać, całe to zebracze słownictwo o niuansach bezdźwięcznych i płaskich.

Dodać wypada, że — o ile jego zachwył Wergiliuszem zaliczał się do jak najbardziej umiarkowanych, pociąg zaś do świetlistych ejakulacyj Owidiusza do jak najdyskretniejszych i nigdy niczym nie zdradzanych — nie znał granic niesmak, jaki diuk Jan żywił dla słoniowatych uroków Horacego, dla szczebiotów tego irytującego matola, który, mizdrząc się, sypie naciągniętymi i tłustymi facecjami niby wyranżerowany kłown.

W prozie nie zachwycał go bardziej język Groszka, rozgadany, pełen rozwlekłych metafor i zawiłych dygresyj; jazgot jego apostrof, strumień banałów patrio-



tycznych, emfaza przemówień, ciężka masa stylu mięsistego, soczystego, lecz obracającego się w sadło, pozbawionego więc szpiku i kości, nieznośny żużel długich przysłówków otwierających zdania, niewyczerpane formuły i otyłe okresy, źle powiązane ze sobą sznurkami spójników, na koniec męczące upodobanie w tautologiach — nie urzeżały bynajmniej diuka Jana; lecz i Cezar, wsławiony swoją zwięzłością, nie wprawiał go w większy entuzjizm aniżeli Cyncero, ukazywała się bowiem wtedy przesada odwrotna, oschłość pryka-przemądrzalca, jałowość mentorska, niewiarygodna i niepospolita obstrukcja.

Reasumując, nie znajdował pokarmu ani wśród tych pisarzy, ani wśród owych, którymi rzekomi uczeńcy delectują się przecież: Salustiusz, mniej od innych jednak odbarwiony; Tytus Liwiusz, sentymentalny i pompatyczny; Seneka, opuchły i wyblakły; Swetoniusz, limfatyczny i robakowaty; Tacyt, najbardziej unerwiony w swojej sztucznej zwięzłości, najdrapieżniejszy, najmuskularniejszy z nich wszystkich. W poezji ani Juwenal, mimo kilku wierszy mocnych jak wierzgnięcia, ani Persjusz, mimo swoich tajemniczych napomknięć, nie zagrzewali go wcale. Lekceważąc Tibullusa i Propertiusza, Kwintyliana i obu Pliniuszów, Stacjusa i Marcjalisa z Bilbilis, Terencjusza, a nawet Plautusa, którego gwara, naszpikowana neologizmami, słowami złożonymi i zdrobnieniami, mogła mu się podobać, ale który raził go swoim płaskim komizmem i ordynarnym dowcipem, des Esseintes zaczynał się interesować językiem łacińskim dopiero od Lukana, gdyż była to łacina szerszego oddechu, bardziej już ekspresyjna i mniej wymęczona; usidlala go ta kunsztowna tonacja, ten wiersz przepysznie barwny, wysadzany klejnotami, lecz owa wyłączna troska o formę, te rozdzwonione dźwięczności, te odłamki metalu nie mas-

kowały całkowicie pustki myślowej, wzdęć wodnistych tworzących garby pod skórą „Farsalii”.

Autorem, którego diuk Jan pokochał naprawdę i który sprawił, że ze swoich lektur usunął na zawsze cymbał brzącający Lukana, był Petroniusz.

Petroniusz obserwator wnikliwy, analityk subtelny, malarz cudowny; spokojnie, bezstronnie, wolny od nienawiści opisywał życie codzienne Rzymu, w krótkich a wartkich rozdziałach „Satyriconu” relacjonował obyczaje swoich czasów.

Powściągliwie notując fakty, stwierdzając je w postaci ich ostatecznej, roztałcał obraz drobnej egzystencji ludu, z jej epizodami, bestialstwami, rują.

Tutaj inspektor meblowanych pokoi dopytuje się o nazwiska podróżnych świeżo przybyłych; tu burdel, mężczyźni wałęsają się wokół nagich kobiet, stojących między szyldzikami, a przez nie domknięte drzwi widać obłapiające się pary; tu znowu widać, jak w willach o przepychu bezczelnym, opętanych demencją bogactw i wspaniałości, albo w ubogich oberżach, których mnóstwo w tej książce, z ich rozgrzebanymi wyrkami, zapluskwionych, mrowi się ówczesna społeczność: obmierzli filuci, tacy jak Ascylt lub Eumolp, poszukujący dobrej obrywki; stare strzygi w podkaszanych kieckach, o policzkach uszminkowanych ołowianą bielą i różem akacjowym; szesnastoletni dziubdusie, pulchni i ufryzowani; kobiety miotane atakami hysterii; łowcy spadków, oferujący swoich synów i córki rozpuście testatorów; wszystko to przewija się na tych kartach wśród ulicznych swarów, macanek w łaźniach i bójek niczym z pantomimy.

Cała rzecz opowiedziana stylem o przedziwnej jędrności, kolorycie dokładnym, stylem czerpiącym z wszelkich dialektów, zapożyczającym zwroty od wszelkich języków szlajających się po Rzymie, sty-





lem, który odrzuca wszelkie granice i okowy wieku rzekomo złotego, tak iż każdy przemawia swoim własnym narzeczem: niewykształceni wyzwoleńcy wyrażają się łaciną pospółstwa, gwarą uliczną; cudzoziemcy żargonem barbarzyńskim, z naleciałościami afrykańskimi, syryjskimi, greckimi; pedanci-idioci, jak Agamemnon z owej książki, popisują się retoryką słów sztucznie fabrykowanych. Ludzi tych autor narysował jednym pociągnięciem, jak różbarłozeni wokół stołu wymieniają obrzydliwe uwagi pijackie, wygłaszają starcze maksymy i kretyńskie porzekadła z pyskami zwróconymi ku Trymalchionowi, który dłubiąc wykałaczką w zębach proponuje towarzystwu nocniki, rozprawia o zdrowiu swoich bebeczków i dając upust wiatrom zachęca biesiadników, żeby pofolgowali sobie również.

Ta powieść realistyczna, ów płąt wycięty w żywym ciele Rzymu, bez zamiarów, cokolwiek by się rzekło, reformatorskich czy satyrycznych; bez tendencji do przemyślnego zakończenia lub morału, ta historia bez intryg i bez akcji, wyprowadzająca na scenę przygody dziedziców Sodomy, analizująca z pogodną subtelnością dole i niedole miłosne owych stadeł, odmalowująca językiem wspaniale misternym — ale tak, iż autor nie ukazuje się ani razu, nie puszcza się na żaden komentarz, nie pochwała ani nie potępia czynów i myśli swoich postaci — występki cywilizacji w stadium zmierzchu, cesarstwa nadpękniętego już, przejmowała des Esseintes'a, i diuk Jan dostrzegał w rafinacji stylu, w ostrości notatek, w nieugiętej metodzie szczególne podobieństwa, ciekawe analogie z kilkoma współczesnymi powieściami francuskimi, które mógł jeszcze tolerować.

Z pewnością żałował gorzko, że zaginęły na zawsze dwie książki Petroniusza, „Eustion” i „Albutia”, o któ-

rych wspomina Plancjadus Fulgencjusz; ale tkwiący w nim bibliofil pocieszał erudyte, który nabożnie brał do rąk swój przepyszny in octavo egzemplarz „Satyriconu” datowany w roku 1585 w Leydzie, u wydawcy nazwiskiem J. Dousa.

Począwszy od Petroniusza ów księgozbiór wchodził w II wiek ery chrześcijańskiej, przeskakiwał deklamatora Fronto, który archaizował nieudolnie, stare wyrazy naprawiał i werniksował źle, omijał Aulusa Gelliusza, jego ucznia i przyjaciela — bo choć autor „Nocy attyckich” umysł miał bystry i dociekliwy, jako pisarz grzął w glutowatym błocie — i zatrzymywał się przed Apulejuszem w *editio princeps*, in folio, drukowanej w roku 1469, w Rzymie.

Ów Afrykańczyk radował diuka Jana; w jego „Metamorfozach” język łaciński osiągał pełnię bogactwa; toczył namuły, wody przerozmaite spływające ze wszystkich prowincyj, a wszystkie się mieszały, skłębiały w barwę dziwaczną, egzotyczną, niemal nową; w rzymskim zakątku Afryki manieryzmy, nowe szczegóły życia społeczności łacińskiej znajdowały sposób, aby formować się w neologizmy stwarzane dla potrzeb rozmowy; a ponadto bawił się jowialnością tego niewątpliwego tłuszciocha, jego bujną naturą południowca. Apulejusz pojawiał się niby kompan wesoły a sprośny obok chrześcijańskich apologetów, żyjących w tymże stuleciu: jak nasenny Minucjusz Feliks, pseudo-klasyk, upłynniający w swoim „Oktawiuszu” sosiste emulsyjki Cycerona, a nawet Tertulian, którego zachowywał bardziej może dla wydania Alda, niż dla samego dzieła.

Chociaż w teologii był dość kuty, ataki montanistów na Kościół katolicki, polemiki z gnozą nie interesowały go wcale; aczkolwiek więc ciekawił go styl Tertuliana, styl zwięzły, pełen dwuznaczności,



oparty na imiesłowach, ostry dzięki sprzecznościom, najeżony kalamburami i puentami, urozmaicony terminami zaczerpniętymi z prawoznawstwa i z języka ojców Kościoła greckiego, nie otwierał już teraz „Apologetyki” i „Traktatu o cierpliwości” i najwyżej czytał po kilka stron „De cultu feminarum”, gdzie Tertulian surowo napomina kobiety, żeby nie stroiły się klejnotami i nie odziewały w kosztowne tkaniny, a także zabrania im używania kosmetyków, ponieważ próbują przez to poprawiać i upiększać naturę.

Uśmiechnął się na samą myśl o tych poglądach diametralnie jego poglądom przeciwstawnych; ale rola, jaką odegrał Tertulian na swoim biskupstwie Kartaginy, wydawała mu się tematem do przyjemnych dum; w rzeczywistości bardziej pociągał go człowiek niż dzieło.

Istotnie, żył w czasach burzliwych, wstrząsanych straszliwymi tumultami, za Karakalli, za Makryna, za zdumiewającego arcykapłana Emesy, Elagabala, i przygotowywał spokojnie swoje kazania, swoje pisma dogmatyczne, swoje przemówienia, swoje homilia, a tymczasem Imperium Rzymskie chwiało się w posadach, szaleństwa Azji i brudy pogaństwa płynęły strumieniem, występując z brzegów; z niezmaczenie zimną krwią zalecał abstynencję cielesną, wstrzemięźliwość w posiłkach, skromność ubioru, a tymczasem Elagabal, chodząc po sproszkowanym srebrze i złotym piasku, na skronie nakładał tiarę, stroił się w szaty kapiające od klejnotów, w otoczeniu swoich eunuchów zajmował się damskimi robótkami, kazał tytułować się cesarzową i co noc zmieniał cesarza, którego najbardziej wybierał lubił spośród golibrodów, kuchtów i woźniców cyrkowych.

Zachwycał się tymi antytezami; a potem język łaciński, osiągnąwszy szczyt dojrzałości za Petroniusza,

począł się rozpadać; zajmowała miejsce literatura chrześcijańska, wnosząc wraz z nowymi ideami nowe słowa, składnię dotąd nie używaną, nieznaną czasowniki, przymiotniki o wysubtelnianych treściach, wyrazy abstrakcyjne, rzadkie aż do tej chwili w języku rzymskim, a które Tertulian spopularyzował jako jeden z pierwszych.

Tylko że niepowabny był ów rozkład, któremu po śmierci Tertuliana dalsze fazy nadali święty Cyprian — jego uczeń, Arnobiusz i przyciężki Laktancjusz. Przypominał kruszenie mięs, niekompletne i zleniwiałe; były to nieudolne nawroty do cycerońskich emfaz, pozbawione jeszcze owego specjalnego odorku, jaki w IV wieku, a zwłaszcza podczas następnych stuleci, woń chrystianizmu nada językowi pogańskiemu, skruszałemu już niby dziczyzna, rozpadającemu się równocześnie z próchniejącą cywilizacją starego świata, w tychże czasach, kiedy pod naporem barbarzyńców runę imperia, przegniłe od ropy, którą nagromadziły stulecia.

Jedyny poeta chrześcijański, Komodian z Gazy, reprezentował w bibliotece diuka Jana sztukę III wieku. Jego „Carmen apologeticum”, napisane w roku 259, to zbiór pouczeń splecionych w akrostychy, w ludowe heksametry cezurowane na modłę wiersza heroicznego, komponowane z lekceważeniem metrum i rozdziewów i często wyposażone w rymy takie, jakich łacina kościelna dostarczy później w licznych przykładach.

Te wersy napięte, posępne, zatraćające dzikością, pełne terminów z języka potocznego, słów o pierwotnym sensie wypaczonym, zajmowały diuka Jana, a nawet interesowały bardziej aniżeli styl, ulegały przecięciu i podzieleniu już, historyków — Ammianusa Marcelina i Aureliusza Wiktora, epistolografa Sym-



machusa i Makrobiusza, kompilatora i gramatyka razem; wolał je nawet od owych prawdziwych skandowanych wierszy, od owego języka barwnie nakrapianego i wspaniałego, jakim mówili Klaudian, Rutilius i Auzoniusz.

Ci byli w swoich czasach mistrzami sztuki; umierające Imperium napełniali swoim wołaniem; Auzoniusz, autor „Centonu ślubnego” i „Mozelli”, która poematem była obfitym i ozdobnym; Rutilius pisywał hymny ku chwale Rzymu, anatemy przeciw Żydom i mnichom, zrelacjonował też swoją wyprawę z Italii do Galii, opis, gdzie udało mu się oddać niektóre wrażenia wzrokowe, zacierające się kontury krajobrazów odbitych w wodzie, mirażę oparów, wzloty mgieł spowijających góry.

Klaudian, jak gdyby wcielenie Lukana, panuje nad całym wiekiem IV groźną surmą swoich wierszy; poeta, który wykuwał heksametr donośny i dźwięczny, spośród snopów iskier suchymi uderzeniami wydobywając epitety, dzieło swoje ożywiał potężnym oddechem — i tak osiągnął pewną wielkość. W Cesarstwie Zachodnim, coraz głębiej zapadającym w magmę rzezi, które otaczają je i powtarzają się wciąż, wśród ustawicznych gróźb ze strony barbarzyńców, którzy hurmem napierają teraz na bramy Cesarstwa trzeszczące w zawiasach, wskrzesza antyk, opiewa porwanie Prozerpiny, rozpościera wibrujące barwy, przeciąga ze wszystkimi swoimi zapalonymi pochodniami przez ciemności zagarniające świat.

Pogaństwo odradza się w nim wygrywając swoją ostatnią fanfarę, wznosząc swojego ostatniego wielkiego poetę ponad chrystianizm, który niebawem całkowicie zatopi język i pozostanie już na zawsze jedynym władcą sztuki: pojawia się Paulin, uczeń Auzoniusza; Juwencus, kapłan hiszpański, który parafr-

zuje wierszem cztery Ewangelie; Wiktoryn, autor „Machabeuszów”; Sanctus Burdigalensis, u którego dwaj pasterze, Egon i Buculus, w elegii naśladowanej z Wergiliusza lamentują nad chorobami swoich trzód; i długa seria świętych: Hilary z Poitiers, obrońca symbolu nicejskiego, zwany Atanazym Zachodu; Ambroży, autor niestrawnych homilij, nudny Cycero chrześcijański; Damazy, fabrykant zwięzłych epigramatów; Hieronim, tłumacz Wulgaty, i jego adwersarz Wigilancjusz z Comminges, atakujący kult świętych, nadmiar cudów, posty, i występujący już z argumentacją, którą powtarzać będą stulecia, przeciw ślubom zakonnym i celibatowi księży.

Na koniec wiek V, Augustyn biskup Hippony. Des Esseintes znał go aż nazbyt dobrze — gdyż był najbardziej renomowanym pisarzem Kościoła, twórcą ortodoksji chrześcijańskiej, którego katolicy uważają za wyrocznie, autorytet najwyższy. Toteż nie otwierał go już, chociaż w swoich „Wyznaniach” opiewał on dyzgust do ziemi, a w „Państwie Bożym” z jęklivą dewocją próbował ukoić straszliwą rozpacz doczesną uśmierzającymi obietnicami lepszych losów. W okresie swoich lektur, wyłącznie teologicznych, diuk Jan znużył się nim już, zaznał przesytu jego wróżbami i jeremiadami, teoriami dotyczącymi predestynacji i łaski, walką ze schizmami.

Wołał przerzucić „Psychomachie” Prudencjusza — wynalazcy poematów alegorycznych, które później będą się plenić bez hamulców w wiekach średnich — i dzieła Sydoniusza Apolinarego, skuszony zwłaszcza jego korespondencją naszpikowaną dowcipami, żądłącą, pełną archaizmów i zagadek. Chętnie wracał do panegiryków, gdzie ów biskup dla wzmocnienia swoich dętych hymnów wzywa bóstwa pogańskie — i mimo wszystko odczuwał słabość do tej poezji afektowanej.



i aluzyjnej, fabrykowanej przez sprytnego majstra, co dbały o swoją machinę oliwi jej kółka, a w potrzebie wymyśla nowe, skomplikowane i często zbędne.

Po Sydoniuszu odwiedzał jeszcze panegirystę Mero-baudesa, Seduliusza, autora rymowanych poematów i hymnów abecadłowych, które częściowo przyswoił sobie Kościół dla potrzeb liturgii, Mariusza Wiktoryna, którego mroczny traktat „O zepsuciu obyczajów” rozświetlają tu i ówdzie wersy świecące niczym fosfor; Paulina z Pelli, piewcę drżącego „Eucharisticosu”; Oriencjusza, biskupa z Auch, który w swoich dystychach i „Napomnieniu” gromi swawolę kobiet, utrzymując, że licami swoimi gubią narody.

Nie słabło zainteresowanie des Esseintes'a językiem łacińskim teraz, kiedy ów język, do cna zgniły, zwisał tracąc swoje człony, ociekając ropą, zachowując z trudem w kompletnym rozpaćkaniu swojego ciała tę czy tamtą część jędrną, którą odcinali chrześcijanie, aby zamarynować ją w solance swojego nowego języka.

Nadeszła druga połowa V wieku, przerażający okres ohydnych drgawek, które wstrząsały ziemią. Barbarzyńcy pustoszyli Galie; Rzym, sparaliżowany, złupiony przez Wizygotów, czuł, jak życie w nim zamarza, widział, jak jego najdalsze rubieże, Zachód i Wschód, tocząc krwawe boje słabną z dniem każdym.

Wśród ogólnego rozkładu, wśród morderstw popełnianych kolejno na cesarach, wśród zgiełku rzezi rozszających krwią Europę od krańca do krańca, rozległo się potworne: „Hura!” — tłumiąc krzyki, zagłuszając wołania. Od brzegów Dunaju tysiące ludzi wrosniętych w przysadziste koniki, odzianych w kaftany ze skór szcurzych, tysiące Tatarów olbrzymiogłowych i płaskonosych, o policzkach pooranych bliznami i szramami, żółtaczkowatych, pozbawionych zarostu,

pędzą na łeb na szyję i spowijają wirem ziemię Cesarstwa Wschodniego.

Wszystko niknie w kurzawie galopów, w dymach pożogi. Zapadły ciemności, zadrżały przerażone narody słuchając, jak z łomotem gromów przeciąga straszliwy cyklon. Horda Hunów zmiotła Europę, rzuciła się na Galie i została rozbita na równinach Châlons, zmiażdżona żelazną szarżą Aecjusza. Równina krwią napita falowała niby morze purpury, dwieście tysięcy trupów zagrodziło drogę, złamało pęd tej lawiny, która zboczyła z kursu, ale od piorunowych jej bryzgów miasta Italii, wycinane w pień, spłonęły niczym stogi.

Cesarstwo Zachodnie zawało się od wstrząsów; zgasło jego życie, które wlokło się w agonii, w głupocie, we wszeteczeństwie; a zresztą koniec świata wydawał się bliski; miasta, o których zapomniał Attyła, były dziesiątkowane głodem i zarazą; z kolei więc i łacina wydawała się ginąć, przywalona gruzami świata.

Lata minęły; narzecza barbarzyńskie poczęły nabierać reguł, wychodzić ze swoich łupin, kształtować prawdziwe języki; łacina, którą wśród klęski ocaliły klasztory, nie opuszczała ich murów ani bram kurii; tu i ówdzie zabłysnął jakiś poeta, zleniwiały i zimny: Afrykańczyk Drakoncjusz — „Hexaameronem”, Klaudian Mamert — poezjami liturgicznymi, jak i Awit z Vienny; następnie pojawili się biografowie, tacy jak Ennodiusz, który opowiedział o cudach świętego Epifaniasza, dyplomata bystry i szanowany, rzetelny i czujny duszpasterz; tacy jak Eugipiusz, który nakreślił nam niezrównany żywot świętego Seweryna, tajemniczego pustelnika, pokornego ascety, co pojawił się, niczym anioł miłosierdzia, narodom zdesperowanym, oszalałym od cierpień i trwogi; pisarze, tacy



jak Veranius z Gévaudan, który zredagował rozprawkę o wstrzemięźliwości, tacy jak Aurelian i Fereol, kompilatorzy kanonów kościelnych; historycy, tacy jak Rotherius z Adge, który zasłynął swoimi zaginionymi dziejami Hunów.

Dzieła stuleci następnych przerzedzają się w bibliotece des Esseintes'a. Wiek VI ma jednak jeszcze reprezentantów, a są nimi: Fortunat, biskup Poitiers, którego hymny i „Vexilla regis” wycięte w starym ściernie języka łacińskiego, zaprawione korzennymi aromatami Kościoła, naprzykrzały się czasem diukowi Janowi; stary Boecjusz, Grzegorz z Tours i Jornandes; potem, w VII i VIII stuleciu, stanowiąc jak gdyby nadwyżkę ludowej łaciny kronikarzy, Fredegariuszów i Pawłów Diakonów, i poezyj zawartych w antyfonarzu z Bangor, który diuk Jan otwierał niekiedy, by spojrzeć na hymn alfabetyczny i monorymiczny, śpiewany ku chwale świętego Komgalla, literatura poprzestawała niemal wyłącznie na hagiografiach, na legendzie o świętym Kolumbanie pióra cenobity Jonasza, na legendzie o błogosławionym Kutbercie, zredagowanej przez Bedę Czcigodnego i na notatkach mnicha-anonima z Lindisfarn; a diuk Jan w momentach nudy zadawała się tylko przerzucaniem kart dzieła tych hagiografów, odczytywaniem tych lub owych wyjątków z żywota świętej Rustikuli i świętej Radegondy; pierwszy z nich zrelacjonował Defensor, synodyta z Ligugé, drugi — skromna i naiwna — Baudonivia, zakonnica z Poitiers.

Ale bardziej nęciły go szczególne dzieła literatury łacińskiej-anglosaskiej: była to długa seria enigmatów Tatwine'a, Aldhelma i Euzebiusza, owych dziedziców Symfozjusza, a zwłaszcza enigmaty, które skomponował święty Bonifacy strofami akrostychowanymi, z rozwiązaniem ukrytym w początkowych literach wersów.

Zaciekawienie jego malało pod koniec dwóch rzeczonych stuleci; niezbyt w sumie zachwycony ciężką masą łacinników karolińskich, Alkuinów i Einhardów, kontentował się jako okazem języka IX wieku kronikami Anonima z Saint-Gall, Frekulfa i Reginona, poematem o oblężeniu Paryża, który utkał Abbon le Courbé, „Hortulusem” — poematem dydaktycznym benedyktyna Walafryda Strabo, gdzie rozdział poświęcony chwale dyni, symbolowi płodności, budził w nim wesołość; lubił poemat Ernolda le Noir, sławiący czyny Ludwika Pobożnego, poemat pisany regularnym heksametrem, w stylu surowym, niemal czarnym, łaciną z żelaza hartowanego w klasztornych wodach, ale tak, iż ów twardy metal zawierał tu i ówdzie skazę sentymentu; lubił „De viribus herbarum”, poemat Macera Floridusa, co wprawiał go w szczególną delectację swoimi radami poetyckimi i nader osobliwymi właściwościami, jakie autor przypisuje niektórym ziołom i niektórym kwiatom: kokornak, na przykład, wymieszany z wołowiną i przyłożony do podbrzusza kobiety, spowoduje bez ochyby narodzenie dziecka płci męskiej; napar z wołowego języka rozlany w jadalni rozwesela biesiadników; tłuczony korzeń piwonii leczy raz na zawsze wielką chorobę; okład z kopru na biuście oczyszcza mocz kobiety i podpada opieszale периоды.

Z wyjątkiem kilku tomów specjalnych, nie podlegających klasyfikacji, współczesnych lub nie, opatrzonych datą, niektórych dzieł kabalistycznych, medycznych i botanicznych, wybrakowanych tomów patrologii Migne'a, zawierających poezje chrześcijańskie nie do znalezienia gdzie indziej, a także antologii Wernsdorffa, poświęconej małym poetom łacińskim, z wyjątkiem Mersjusza, podręcznika do erotologii klasycznej Forberga, moechialogii i diakonaliów na



użytek spowiedników, które rzadko otrzepywał z kurzu, biblioteka łacińska diuka Jana zatrzymywała się na progu X stulecia.

Bo i rzeczywiście, co ciekawsze przymioty, skomplikowana naiwność języka chrześcijańskiego zaginęły — one również. Rupieciarnia filozofów i scholiastów, średniowieczna logomachia miała sprawować już niepodzielną władzę. Grubą warstwą gromadziła się sadza kronik i dzieł historycznych, ołowianymi czopami szpuntowano teraz archiwa kościelne, zmarł bełkotliwy wdzięk, niezręczność — tak często urocza — mnichów sporządzających nabożne frykasiki z poetyckich resztek starożytności; zburzono fabryki czasowników o sokach wykrystalizowanych, rzeczowników pachnących kadzidłem, przymiotników dziwacznych, co prymitywnie rzezane w złocie, przypominały barbarzyńskim i czarującym smakiem klejnoty gockie. Przerzywał się ciąg starych edycji, przedmiot czulej dbałości des Esseintes'a — stulecia wykonywały potworny skok, książki piętrzyły się na półkach i lekceważąc interwały czasu parły prosto do języka francuskiego doby dzisiejszej.

## IV

Pod wieczór czyjś powóz zatrzymał się przed domem w Fontenay. Ale że des Esseintes żadnych gości nie przyjmował nigdy, listonosz zaś przypadkiem nawet nie zapuszczał się w te nie zamieszkane strony, bo nie miał dlań nigdy żadnych gazet, periodyków ani listów, słudzy zawahali się, niepewni, czy otworzyć trzeba; a potem, kiedy dzwonek szarpnięty z całej siły obił

się o ścianę, zaryzykowali, uchylili judasza w drzwiach i zoczyli Pana, którego całą pierś, od pasa do kolanierzyka, zasłaniał ogromny złoty puklerz.

Oznajmili o tym diukowi Janowi, który śniadał właśnie.

— Znakomicie, wpuście go — mruknął; przypomniał sobie, że kiedyś, w sprawie jakiejś dostawy, dał swój adres jubilerowi.

Pan skłonił się i położył na sosnowej posadzce jadalni swój puklerz, który zakołysał się i uniósł nieco, wytykając węzowy łeb żółwia, ale zwierzę zaraz wciągnęło go pod skorupę, spłoszone czymś nagle.

Ten żółw zaliczał się do kaprysów, które nachodziły des Esseintes'a na czas jakiś przed wyprowadzką z Paryża. Przypatrywał się pewnego dnia wschodniemu kobiercowi o mieniących się barwach, seledynowej żółtości i fiolecie śliwkowym, i tak, podążając wzrokiem za srebrzystymi błyskami, które przebiegały po wełnianej osnowie, pomyślał: byłoby dobrze umieścić na tym kobiercu coś, co poruszałoby się, coś o ciemnej tonacji, która zaostrzyłaby jeszcze żywość kolorów.

Nawiedzony tym pomysłem błąkał się na ślepy traf po ulicach, znalazł się w Palais-Royal i tu, przed witryną Cheveta, stuknął się w czoło: w basenie grzebał się olbrzymi żółw. Kupił go: a potem puściwszy żółwia na kobierzec siadł przed nim i długo kontemplował gada, mrużąc oczy.

Stanowczo, brunatnawość, tonacja surowej sjeny, jaka barwiła tę skorupę, brudziła odblaski kobierca miast je ożywiać; dominujące błyski srebra teraz iskrzyły się z ledwością, pełzając wraz z zimnymi tonami nie wypolerowanego cynku po brzegach skorupy matowej i twardej.

Diuk Jan ogryzał paznokcie, medytując nad spo-



sobami pogodzenia tych mezaliansów, udaremnienia postanowionego już rozvodu tych tonów; odkrył wreszcie, iż błędny był jego pomysł pierwotny, który polegał na tym, by rozniecić ognie tkaniny umieszczone na niej przedmiot kołyszący się i ciemny; w sumie kobierzec był nadal zbyt wpadający w oko, za mało utemperowany, zbyt nowy. Kolory nie zesłabły dostatecznie i nie nacichły; rzecz w tym, aby odwrócić założenie, uśmiercić tony, powygasać je kontrastem przedmiotu rozjarzonego, który stłamsiłby wszystko wokół siebie, rzucając złote światło na blade srebro. Zagadnienie tak ujęte stawało się łatwiejsze do rozstrzygnięcia. W konsekwencji diuk Jan zdecydował się wyglazurować złotem żółwiowy pancerz.

Specjalista wziął żółwia na pensję; pensjonariusz wróciwszy odeń rozblęsnął słonecznym blaskiem, opromienił kobierzec, którego barwy ugięły się i oddaliły z irradiacjami wizygockich pawęży, nabijanych łuskami przez artystę o barbarzyńskim smaku.

W pierwszej chwili des Esseintes'a zachwycił ten wynik; a potem pomyślał, że ów gigantyczny klejnot to szkic jedynie i że będzie naprawdę kompletny, kiedy wysadzi się go rzadkimi kamieniami.

Wybrał z kolekcji japońskiej rysunek przedstawiający rój kwiatów, które racami wyfruwały z cienkiej łodygi, zaniósł go jubilerowi, nakreślił ował, bukiet ów ujmując jego ramą, i uwiadomił osłupiałego rzemieślnika, że liście i płatki każdego z tych kwiatów mają być wykonane z drogich kamieni i wprawione w materię skorupy żółwia.

Długo medytował nad doborem kamieni; diament spospoliciał, szczególnie od czasu gdy każdy kupiec nosi go na małym palcu; orientalne rubiny spodłały mniej i jarzą się gorącym ogniem, ale przypominają aż nazbyt czerwono-zielone oczy niektórych omnibusów,

latarniami w obu tych kolorach skronie swoje zdo-  
biących; topazy znów, przydymione czy przejrzyste,  
to kamienie tanie, drogie sercu drobnomieszczan, któ-  
rzy lubią zamykać biżuterię w lustrzanych szafach;  
z drugiej strony, chociaż dzięki Kościołowi ametyst  
zachował swój charakter kapłański i uroczy, po-  
ważny, kamień ów sprostył się w krwistych  
uszach i na serdelkowatych paluchach rzeźniczek, któ-  
re za umiarkowaną cenę pragną stroić się w auten-  
tyczne, ciężkie klejnoty; spomiędzy owych kamieni  
szafir jedynie utrzymał swoje ognie, przez głupotę  
przemysłową i pieniężną nie tknięte. Jego iskry, trzesz-  
czące wśród wody krystalicznej i zimnej, zagwaran-  
towały mu w pewnym sensie szlachetność dyskretną  
i wyniosłą, chroniąc go przed wszelkim zbrukaniem.  
Na nieszczęście w pełnym świetle jego chłodne pło-  
mienie przestają się iskrzyć; błękitna woda cofa się  
w samą siebie, wydaje się zasypiać, żeby migocząc  
obudzić się dopiero z brzaskiem.

Stanowczo żaden z tych kamieni nie kontentował  
des Esseintes'a; były zresztą nazbyt cywilizowane  
i nazbyt znane. Przesypywał między palcami mine-  
rały bardziej zdumiewające i osobliwsze i na koniec  
odsiał serię kamieni prawdziwych i sztucznych, któ-  
rych melanz miał stworzyć harmonię fascynującą i za-  
pierającą dech w piersi.

Tym sposobem skomponował bukiet swoich kwia-  
tów: liście były wysadzone kamieniami o zieleni wy-  
datnej i czystej: chryzoberyle zielone jak szparagi;  
chryzolity zielone jak pory; oliwiny zielone jak oliw-  
ki; a kontrastowały one z gałązkami z almandynu  
i z uwarowitu o czerwieni fiołkowej, migoczącymi su-  
cho, podobnie jak drobiny miki w kamieniu, który  
osadza się na dnie beczek od wina.

Do kwiatów odstających od łodygi, oddalonych od



nasady bukietu, zastosował pył błękitny; ale odrzucił stanowczo ów orientalny turkus, używany do broszek i pierścionków, którym, jak i banalną perłą lub obrzydliwym koralem, delectuje się pospólstwo; wybierał wyłącznie turkusy Zachodu, kamienie będące właściwie kopalną kością słoniową, nasyconą substancjami miedziowatymi, a których seledynowy błękit jest przydymiony, nieprzejrzysty, siarczany, jak gdyby podbarwiony żółcią.

Co uczyniwszy, mógł wprawiać płatki kwiatów rozwiniętych pośród bukietu, kwiatów najbardziej ze sobą sąsiadujących, najbliższych pnia, używając minerałów przezroczystych, o blaskach szklących się i niezdrowych, ogniach rozgorączkowanych i cierpkich.

Skomponował je wyłącznie z cejlońskich kocich oczu, cymofanów i szafirynów.

I rzeczywiście, trzy te kamienie jarzyły się roziskrzeniami tajemniczymi i przewrotnymi, boleśnie wydzieranymi z głębin ich mętnej wody.

Kocie oko, zielonawoszare, jest porysowane żyłkami koncentrycznymi, które zdają się poruszać, co moment zmieniać miejsce w zależności od ustawienia światła.

W cymofanie połyski lazuruwej mory przebiegają po mlecznym zabarwieniu, które faluje wewnątrz.

Szafiryn zapala niebieskawe fosforyczne ognie na tle czekoladowym, matowobrunatnym.

Jubiler robił notatki zaznaczając miejsca, gdzie miały być wprawione kamienie. „A czym obrzeżymy skorupę?” — zagadnął des Esseintes'a.

Diuk Jan myślał najpierw o chalcedonach przemieszanych z opalami; ale te kamienie, interesujące wahlnością swoich kolorów, wątpliwościami swoich ogni, aż nazbyt są nieuległe i niewierne; opał znamionuje wrażliwość łącie reumatyczna; gra jego promieni zmie-

nia się stosownie do wilgotności, ciepła lub zimna; chalcedon zaś płonie tylko w wodzie i tylko zmoczony raczy rozpalać swój popielaty żar.

Zdecydował się w końcu na minerały, których odblaski następowały po sobie kolejno: na hiacynt z Compostelli, czerwonomahoniowy; na akwamarynę, zielonomodrą; na rubin z Bali o różowości winnego octu; na rubin z Sudermanii, w odcieniach siwa-wy. Ich słabe migotania wystarczały, by rozświetlić mrok skorupy, i pozostawiały w spokoju rozkwit drogich kamieni, otaczając je delikatną girlandą mdłych ogni.

Des Esseintes popatrywał teraz na żółwia, który przyczał się w kącie jadalni, rozjarzając półmrok.

Czuł się absolutnie szczęśliwy; jego oczy upajały się roziskrzeniami płomiennych kwiatów na złotym tle; odzyskawszy chwilowo apetyt, tak przeciwny jego naturze, maczał grzanki, posmarowane nadzwyczajnym masłem, w filiżance herbaty, nienagannym melanżu Si-a-Fayoun, Mo-you-tann i Khansky, gatunków żółtych, sprowadzanych specjalnie drogą lądową z Chin przez Rosję.

Popijał ów płynny aromat z filiżanki z chińskiej porcelany, zwanej skorupką jaja, tak jest przezroczysta i lekka, i podobnie jak uznawał tylko te prześliczne filiżanki, posługiwał się wyłącznie sztucami z autentycznego wermelu, poniekąd odzłoczonego, gdzie srebro przeziera odrobinę spod sfatygowanej warstwy złota i nadaje im odcień starodawnej słodyczy, do cna ściszony, do cna konający.

Wypiwszy ostatni łyk, wrócił do gabinetu i kazał słudze przynieść żółwia, który jak nie ruszał, tak nie ruszał się z kąta.

Padał śnieg. W świetle lamp lodowe trawy wyrastały za niebieskimi szybami, a szron, podobny do



roztopionego cukru, iskrzył się w dnach butelek cętkując je złotem.

Głęboka cisza spowijała dom odrętwiały w ciemnościach.

Des Esseintes dumiał; kominek naładowany głowniami wypełniał pokój oddechem żaru; uchylił okna.

Niczym wysoka opona wznosiło się przed nim czarne niebo nakrapiane białymi kłaczkami, odwrotność gronostaju.

Zerwał się lodowaty wiatr, przyspieszył oszalały lot śniegu, odwrócił porządek barw.

Zmieniły się heraldyczne opony nieba, stały się prawdziwym gronostajem, białym, z kolei nakrapianym czarno punktami nocy rozproszonymi wśród płatków śniegu.

Zamknął okno; owo nagle, bezpośrednio przejście od skwaru do zimowych szronów przejęło go dreszczem; skulił się przy kominku, a wtedy tknęła go myśl, żeby łyknąć coś ze spirytualiów, na rozgrzewkę.

Poszedł do jadalni, gdzie szafa wmurowana w jedną ze ścian zawierała kolekcję beczuleczek, ustawionych rzędem na maleńkich koziołkach z drzewa sandałowego, a każda z nich miała w podbrzusze wprawiony srebrny kranik.

Nazywał to zgromadzenie baryłek do likworów organami swoich ust.

Wszystkie kraniki można było połączyć prętem, podporządkować je tylko jednemu ruchowi, tak iż dzięki tej aparaturze wystarczyło nacisnąć guzik ukryty w boazerii, aby wszystkie kurki, przekręcone równocześnie, napełniły likworem mikroskopijne kubeczki umieszczone pod nimi.

Wtedy organy były otwarte. Szuflady z etykietkami „flet, róg, celesta” — wyciągnięte i gotowe do ma-

newru. Des Esseintes pił jedną kroplę stąd, drugą stamtąd, wygrywał wewnętrzne symfonie, udawało mu się wywoływać w gardle wrażenia analogiczne z tymi, jakie muzyka wlewa do uszu.

Bo i zresztą każdy gatunek alkoholu odpowiadał zdaniem diuka Jana, jako smak, dźwiękowi danego instrumentu. Wytrawne curaçao na przykład — klarinetowi, którego śpiew jest kruchy i aksamitny; kumel — obojowi, który wydaje brzmienia nosowe; mięta i anyżek — fletowi o głosie cukrowanym i pieprzowym, piskliwym i łagodnym zarazem; kirsch natomiast, aby uzupełnić orkiestrę, dźwięczy wściekłością trąby; dżyn i whisky smagają podniebienie ostrymi odpryskami kornetów pistonowych i trombonów, wódka i marc wybuchają z ogłuszającym zgiełkiem puzonów, a w tymże czasie echem gromu odzywają się cymbały i bęben, kiedy w słuzówkę ust grzmoci z rozmachem rakia z Chios i pistacje!

Jak sądził również, upodobnienie dawało się rozszerzać: kwartety instrumentów smyczkowych mogły koncertować pod stropem podniebienia wraz ze skrzypcami, które wyobrażała stara wódka, przydymiona i rafinowana, ostra i łamliwa; z altówką, naśladowaną przez rum, bardziej krzepki, bardziej huczący, bardziej głuchy; z wiolonczelą, którą imitowała ratafia, wnikliwa i przeciągła, melancholijna i pieściwa; z kontrabasem wytrawnym, tęgim i czarnym jak prawdziwy stary bitter. Dałoby się nawet, gdyby ktoś zechciał, zorganizować kwintet, dołączając instrument piąty, harfę, którą — dzięki prawdopodobnej analogii — naśladowałby wibrujący smak, nuta srebrzysta, wyodrębniona i krucha wytrawnej kminkówki.

Analogie miały jeszcze ciąg dalszy; relacje tonów istniały w muzyce trunków; żeby wymienić tylko jedną nutę: benedyktyńka wyobraża, by tak rzec, ton



nizszy w owych tonach wyższych alkoholi, którym partytury handlowe nadały znak określający chartreuse zieloną.

Teorię w czyn wprowadziwszy, drogą uczonych doświadczeń doszedł do wygrywania na własnym języku milczących melodyj, niemych marszów żałobnych o patetycznych dekoracjach, mógł także słyszeć w swoich ustach to solo miętowe, to znów duet ratafii z rumem.

Udawało mu się nawet przenosić do swoich szczęk prawdziwe kawałki muzyczne, według zamierzeń kompozytora odtwarzając stopniowo jego myśl, efekty i niuanse połączeniami albo sąsiednimi kontrastami likworów, mieszaninami pokrewnymi i wyrafinowanymi.

Bywało, że i sam komponował melodie, wykonywał pastorałki pocziwym cassisem, który w gardle gruchał mu koloraturą, perlistymi tryłami słowika; delikatne cacao-choix służyło nuceniom ulepowałych berżerad w guście „romansu Estelli” lub „Ach, powiem ci, mateńko” z niegdysiejszych czasów.

Tego jednak wieczoru des Esseintes nie kwapił się wcale słuchać smaków muzyki; zadowolił się wydobyciem jednej nuty z klawiatury swoich organów i zabrał ze sobą czareczkę, którą był nappełnił rzetelną irlandzką whisky.

Znów zapadłszy w fotel, jął wachać ów sfermentowany ekstrakt jęczmienia i owsa; wyrazisty zapach kreozotu zasmrodził mu jamę ustną.

Kiedy sączył alkohol, myśl wolno śledziła wrażenie wskrzeszone teraz na podniebieniu, podążając krok w krok za smakiem whisky; niefortunna identyczność zapachów budziła wspomnienia, od dwóch lat już zarte.

Bukiet ów, karbolowaty i cierpki, natrętnie przypo-

mniał diukowi Janowi woń identyczną, która oblepiała mu język, kiedy dentyści gmerali w jego uzębieniu.

Zaduma skierowana tym tropem, rozproszywszy się początkowo na wszystkich dentystach, jakich znał, skupiła się po chwili i zogniskowała w jednym z nich, o którym dziwaczne wspomnienie szczególnie wryło mu się w pamięć.

Było to trzy lata temu; późną nocą chwycił go obrzydliwy ból zębów; chłodził policzek okładami, potykał się o meble, biegał po pokoju jak wariat.

To odezwał się ząb trzonowy, zaplombowany już kiedyś, i tylko szcypce dentysty mogły zaradzić złu. Dygocząc oczekiwał dnia, gotów znieść najsroższą nawet operację, byleby położyła kres jego cierpieniom.

Trzymając się za szczękę, medytował, co robić. Dentyści, którzy go kurowali, byli bogatymi ludźmi interesu, nie przyjmowali nigdy bez uprzedzenia; należało zamawiać u nich wizytę, godzinę spotkania. To niemożliwe, dłużej zwlekać niepodobna — myślał; zdecydował się pójść do pierwszego lepszego, pobiec do ludowego wyrwizęba, do jednego z tych ludzi o żelaznej łapie, którzy, choć nie znają zbędnej skądinąd sztuki leczenia próchnicy i zatykania dziur, umieją z niezrównaną szybkością usuwać i najoporniejsze pieńki; oni otwierają wczesnym rankiem i u nich nie trzeba czekać. Nareszcie wybiła siódma. Wypadł z domu, a że pamiętał znane nazwisko mechanika, mieniącego się dentystą ludowym i zamieszkałego na rogu bulwaru, pognął ulicami gryząc chustkę i tykając łyzy.

Dyszał i pot rosił mu skronie, kiedy stanął przed domem, który wyróżniał się ogromnym szyldem z drzewa pomalowanego na czarno, gdzie nazwisko



„Gatonax” rozpościerało się olbrzymimi szafranowymi literami — i dwiema oszklonymi szafkami, gdzie zęby z papierowej masy, starannie ustawione rzędem, tkwiły w szczękach z różowego wosku, połączonych mechanizmem z mosiężnych sprężynek; zdjął go straszliwy lęk, dreszcz ześliznął mu się po skórze, nastąpiło uspokojenie, tortura ustała, ząb ucichł.

Sterczał ogłupiały na trotuarze; w końcu pokonał lęk, zaczął wspinać się po ciemnych schodach, na trzecie piętro wbiegł przeskakując po kilka stopni. Tu znalazł się u drzwi, gdzie emaliowana tabliczka powtarzała błękitnymi literami nazwisko z szyldu. Pociągnął za dzwonek, po czym zatrwożył się dostrzegłszy rozmazane czerwone plwociny przylepione do stopni, i zawracał już, zdecydowany cierpieć na zęby póki życia, kiedy wrzask przeszył ściany, wypełnił klatkę schodową, diuka Jana przygwoździł strachem do miejsca, a jednocześnie stara kobieta otworzyła drzwi prosząc, żeby wszedł.

Wstyd przewyciężył trwogę; wprowadziła go do jadalni; trzasnęły inne drzwi, przepuszczając straszliwego grenadiera odzianego w czarny surdut i czarne spodnie ze sztywnego sukna; des Esseintes poszedł za nim do drugiego pokoju.

Od tego momentu jego wrażenia zaczynały się gmatwać. Niejasno przypominał sobie, jak naprzeciw okna osunął się na fotel i wybełkotał dotykając palcem zęba: „Był już plombowany; obawiam się, że nic nie da się zrobić”.

Gospodarz natychmiast położył kres tym wyjaśnieniom, wtykając mu w usta paluch wskazujący; potem, mrużąc coś pod wąsem wypomadowanym i mocno podkręconym, wziął ze stołu jakieś narzędzie.

Wtedy rozpoczęła się wielka scena. Des Esseintes, chwyciwszy kurczowo poręczę fotela, uczył w ustach

zimno, potem w oczach zapłonęły mu wszystkie świeczki i, cierpiąc ból niesłychany, jął tupać i ryczeć jak zarzynane zwierzę.

Rozległo się chrupnięcie, ząb kruszył się wyłaząc; wtedy wydało się diukowi Janowi, że coś wyrywa mu głowę, miazdzy czaszkę; stracił rozum, darł się ze wszystkich sił, stawiał wściekły opór dentyście, który znów rzucił się nań, jak gdyby chciał mu wpakować ramię aż na dno brzucha, po czym cofnął się nagle o krok, prostując się oderwał korpus uczeptiony szczęki, pozwolił brutalnie opaść pacjentowi na tyłek, w fotel, i wypełniwszy sobą okno sapał i potrząsał kleszczami z niebieskawym zębem, zdobnym w dyndający czerwony flaczek!

Unicestwiony, des Esseintes narzygał pełną miseczkę krwi, odpędził gestem starą kobietę, która chciała złożyć mu w ofierze zepsuty ząb i już zawijała go w kawałek gazety, zapłacił dwa franki i czmychnął, wzbogacając kolekcję czerwonych plwocin na schodach; znalazł się znów na ulicy, wesół, odmłodzony o dziesięć lat, interesując się najbliższymi drobiazgami.

— Brrr! — otrząsnął się, zasmucony atakiem wspomnień. Wstał, żeby rozproszyć abominacyjny czar tej wizji, i powróciwszy w czas teraźniejszy zatroskał się o zółwia.

Zółw nadal nie poruszał się wcale, pomacał go więc; nie żył. Nawykły zapewne do egzystencji nieruchawej, do skromnego życia pod ubogą skorupą, nie wytrzymał olśniewającego przepychu, jaki mu narzucano, jarzącego się ornatu, w który go wystrojono, klejnotów, którymi wybrukowano jego grzbiet — niby cyborium.



Tak więc, kiedy coraz ostrzej dawała mu się we znaki chęć ucieczki od nienawistnej epoki podłego chamstwa, ze wzmożonym despotyzmem nurtował go wstręt do obrazów z podobiznami ludzi, którzy zarabiają na chleb w Paryżu, w czterech ścianach, lub uganiają się po ulicach za pieniądzem.

Utraciwszy zainteresowanie dla egzystencji współczesnej, zdecydował się nie wpuszczać do swojej celi poczwar odrazy lub żalu, zapragnął więc malarstwa subtelnego, wykwintnego, skąpanego w starodawnych snach, w antycznym zepsuciu, z dala od dzisiejszych obyczajów, z dala od naszych dni.

Chciał delectować umysł i radować oczy kilkoma sugestywnymi dziełami, które, rzuciwszy go w świat nieznany, odkryłyby mu szlak nowych skojarzeń, wstrząsnęły jego systemem nerwowym drogą wyrafinowanej hysterii, skomplikowanych koszmarów, wizyj swobodnych i okrutnych.

Wśród wszystkich malarzów istniał jeden artysta, którym zachwycał się od dawna: Gustaw Moreau.

Kupił dwa jego arcydzieła i nocami marzył przed jednym z nich — obrazem przedstawiającym Salome, a skomponowanym w ten sposób:

Nicznym wielki katedralny ołtarz wznosił się tron pod niezliczonymi stropami, które wystrzelały z filarów, przysadzistych niby kolumny romańskie, emalio- wanych ceglami zdobnymi polichromią, wysadzanych mozaiką, inkrustowanych lazurytem i sardonyksem, w pałacu przypominającym bazylikę o architekturze muzułmańskiej i bizantyjskiej zarazem.

Pośrodku tabernakulum, górującego nad ołtarzem poprzedzonym trzema półkolistymi stopniami, siedział

tetrarcha Herod; na głowie miał tiarę, stopy równo zestawił, ręce złożył na kolanach.

Twarz pożółkłą, spergaminioną, pokrytą wężykami zmarszczek, zniszczyły lata; długa broda unosiła się niczym biały obłok ponad gwiazdami klejnotów, które tworzyły konstelacje na szacie ze złotogłowiu opinającej pierś.

Wokół tej figury nieruchomej, zastygłej w hieratycznej pozie hinduskiego bóstwa, paliły się kadzidła wyrzucając chmury dymów, przez które jak fosforyzujące ślepia zwierząt ziały ogniem drogie kamienie, wprawione w obramowanie tronu; chmura wzbijała się w górę, rozplatała się pod arkadami, gdzie błękitny dym mieszał się ze złocistym pyłem potężnych promieni dnia, które padały z kopuł.

W przewrotnym aromacie perfum, w przegrzanej atmosferze tej świątyni, Salome, z lewą ręką wyciągniętą gestem rozkazującym, z prawą podkurczoną, trzymając na wysokości oblicza wielki lotos, zbliża się wolno na czubkach palców, przy dźwiękach gitary, której struny trąca, przycupnąwszy, jakaś kobieta.

Ze skupieniem w licach, z miną uroczystą, niemal dostojną, rozpoczyna lubieżny taniec, który ma zbudzić uśpione zmysły starego Heroda; jej piersi falują, sutki sterczą, pocierane wirem naszyjników; na wilgotnej skórze iskrzą się poprzyczepiane diamenty; bransolety, pasy, pierścienie plują iskrami; na tryumfalnej szacie wyszywanej perłami, uwzorzonej srebrem, lamowanej złotem, (pancerz, dzieło sztuki złotniczej, gdzie każda łuska to klejnot, zajmuje się płomieniem, zaplata ogniste wężyki, migoce na ciele matowym o karnacji róż herbacianych, przywodząc na myśl owe przepyszne owady, których olśniewające skrzydła są żyłkowane karminem, usiane żółtością ju-



trzenki, cętkowane i przegowane pawią  
ziele.

Skąpiec, który ma szablę w ręku, a bna somambu-  
licze, nie widzi ani rozjuszonego tetrarchy, ani swo-  
jej matki, srogiej Herodiady, dozorującej córkę, ani  
hermafrodyty czy eunucha stojącego u stóp tronu  
z szablą w garści, który twarz ma groźną, zawoalowa-  
ną do połowy, a biust rzezańca zwisa mu niczym bu-  
kłak pod kaftanem w pomarańczowy deseń.

Ów typ Salome, wciąż nawiedzający artystów i poe-  
tów, od lat nie odstępował des Esseintes'a. Ileż razy  
brał do rąk starą Biblię Piotra Variquet, przełożoną  
przez doktorów teologii z uniwersytetu w Lowanium,  
rozczytując się w Ewangelii świętego Mateusza, który  
w zdaniach naiwnych i lakonicznych opowiada o ścię-  
ciu Zwiastuna; ileż razy medytował nad tymi oto  
wersetami:

Gdy tedy obchodzono dzień narodzenia Herodowego, tańco-  
wała córka Herodyjady w pośrodku gości, i podobała się Hero-  
dowi.

Skąd pod przysięgą obiecał jej dać, czegokolwiek żądała.

A ona przedtem będąc naprawiona od matki swojej, rzekła:  
Daj mi tu na misie głowę Jana Chrzciciela.

I zasmucił się król; ale dla przysięgi i dla spółsiedzących kazał  
jej dać.

A posławszy kata, ściał Jana w więzieniu.

I przyniesiono głowę jego na misie, i oddano dziewczęce,  
i odniosła ją matce swojej.

Ale ani święty Mateusz, ani święty Marek, ani świę-  
ty Łukasz, ani inni ewangelisci nie rozwodzą się na  
temat wdzięków tancerki przyprawiających o dreszcz  
rozkoszy, na temat jej zaraźliwego zepsucia. Pozostaje  
w cieniu, błądzi, tajemnicza i omdlała, we mgle odleg-  
łych stuleci, nieuchwytna dla umysłów ścisłych a przy-  
ziemnych, dostępna jedynie umysłom o zachwianej

równowadze, wyostrzonym i jak gdyby wyposażonym  
przez neurozę w dar wizjonerstwa; oporna malarzom  
ciała — Rubensowi, który przebrał ją za flamandzką  
rzeźniczkę; niepojęta dla tych wszystkich pisarzy,  
których umiejętnościom zawsze była obca niepokojąca  
egzaltacja tancerki, wyrafinowana wielkość morder-  
czyni.

W dziele Gustawa Moreau, poczętym w oderwaniu  
od wszelkich danych Testamentu, des Esseintes ujrzał  
wreszcie urzeczywistnioną ową Salome nadludzką  
i przedziwną, o której marzył. Była już nie tylko ba-  
letnicą, która lubieżnymi skrętami bioder wydziera  
starcowi okrzyk żądy i rui, która niweczy energię,  
przełamuje wolę króla falowaniem piersi, drgawkami  
brzucha, dreszczykiem ud; stawała się w pewnym sen-  
sie bóstwem niezniszczalnej Rozpusty, boginią nie-  
śmiertelnej Histerii, Pięknem wyklętym, spomiędzy  
wszelkich przejawów piękna wybranym dla katalepsji,  
która wypręża jej ciało i napina mięśnie; Bestią po-  
tworną, obojętną, nieodpowiedzialną, nieczułą, zatra-  
wającą, podobnie jak antyczna Helena, wszystko, co-  
kolwiek zbliży się do niej, ujrzy ją, dotknie.

Tak pojęta należała do którejs z teogonij dalekiego  
Wschodu; nie wywodziła się już z tradycji biblijnej,  
nie można już było nawet porównać jej do wcielenia  
Babilonu, do królewskiej Nierządnicy z Apokalipsy,  
jak ona ustrojonej w klejnoty i purpurę, jak ona  
uszmiękowanej; drugiej z nich bowiem żadna siła  
fatalna, żadna potęga najwyższa nie pchnęła ku po-  
wabnej ohydzie rozwiązłości.

A zresztą, jak się zdawało, malarz chciał uwydatnić  
swoją wolę ponadczasowości: nie określił więc jej po-  
chodzenia, kraju ani epoki, umieścił swoją Salome w  
tym niezwykłym pałacu, któremu nadał styl zagmatwa-  
ny i przepyszny, odział ją w suknie wspaniałe i chi-

Salome dostępna tylko  
umysłom neurozowanym



meryczne, głowę jej ukoronował kołpakiem kształtu fenickiej wieży, takim, jaki nosi Salamambo, na koniec w dłoń Salome włożył berło Izydy, święty kwiat Indii i Egiptu, wielki lotos.

Des Esseintes zastanawiał się nad sensem tego emblematu. Czy miał owo znaczenie falliczne, jakie przypisują mu pierwotne religie Hindusów; czy zwiastował staremu Herodowi obiatę z dziewictwa, wymianę krwi, upragnioną ranę nieczystą ofiarowaną pod wyraźnym warunkiem morderstwa; czy przedstawiał alegorię płodności, hinduski mit życia, istnienie, które kobieta trzyma w palcach, istnienie wydarte z nich i zmięte rozdygotanymi rękami mężczyzny, ogarniętego szaleństwem, gorączką żądzы cielesnej?

A może również, uzbrajając swoją zagadkową boginię w święty lotos, malarz myślał o tancerce, o kobiecie śmiertelnej, o Naczyniu zbrukanym, źródle wszelkiego grzechu i wszelkich występków; może wspomniał rytuały starożytnego Egiptu, obrzędy pogrzebowe balsamowania, kiedy chemicy i kapłani układają umarłą na jaspisowej ławie, zakrzywionymi igłami wydobywają jej przez nozdrza mózg, wnętrzości wyciągają przez nacięcie zrobione w lewym boku, a potem, zanim pozłocą jej paznokcie i zęby, zanim namaszczą ją roztworami żywic i olejkami, wkładają w części rodne aby je oczyścić, dziewicze płatki boskiego kwiatu.

Jakkolwiek by było, pomimo przemożnej fascynacji emanującej z tego płótna, akwarela pod tytułem „Zjawa” wydawała się jeszcze bardziej niepokojąca.

Tu pałac Heroda wzbijał się wzwyż, niczym Alhambra, na lekkich opalizujących kolumnach wykładanych kwadracikami emalii mauretańskiej, pospawanych jak gdyby betonem ze srebra, jak gdyby cementem ze zło-

ta; arabeski rozpoczynały się rombami z lapis lazuli, przemykały się u podstaw kopuł, gdzie po mozaikach z masy perłowej pełzały tęczujące błyski, ognie pryzmatu.

Morderstwo dokonało się już; kat stał teraz niewzruszony, z rękami wspartymi na głowicy długiego miecza, poplamionego krwią.

Ścięta głowa świętego wyrasta z misy ustawionej na posadzce i spogląda; jest sina, wargi ma bezbarwne, otwarte, purpurowa szyja ocieka łzami. Mozaika okala twarz, z której emanuje aureola, rozpalając się w promienie światła poniżej portyków, oświetlając straszliwe wznoszenie się głowy, rozniecając ogień w szklanych gałkach oczu wlepionych, by tak rzec, wczepionych w tancerkę.

Trwożnym gestem Salome odpycha przerażającą wizję, która przykuwa ją do miejsca, znieruchomiła na czubkach palców; źrenice jej rozszerzają się, dłoń konwulsyjnie zaciska się na szyi.

Jest prawie naga; w szaleńczym wirze tańca rozwinęły się welony, opadły brokaty; ma już na sobie tylko majstersztyki złotnicze i przezroczyście minerały; stanik z gorsecikiem opina jej talię i, niczym wspinała agrafa, jakiś cudowny klejnot poraża błyskami w zagłębieniu piersi; niżej opaska na biodrach zakrywa górę ud, o które obija się gigantyczny wisior, spływający rzeką karbunkułów i szmaragdów; wreszcie na ciele nagim, między stanikiem a opaską, uwypukla się brzuch z zapadliną pępka, którego otwór wydaje się pieczętką wyrzeźbioną w onyksie o tonach mlecznych, o różowościach paznokcia.

Od rozjarzonych promieni tryskających z głowy Zwiastuna rozpalają się wszystkie fasety klejnotów; kamienie ożywają, obrysowują ciało kobiety rozjarzonym konturem; kołą ją w szyję, nogi, ramiona pło-



*Kamienie Kolory*  
mykami szkarłatnymi jak węgle, fioletowymi jak pa-  
lący się gaz, niebieskimi jak zapalony alkohol, bia-  
łymi jak promienie słońca.

Straszliwa głowa płonie i wciąż broczą krwią oble-  
pia ciemnopurpurowymi skrzepami końce zarostu  
i włosów. Widzialna dla jednej tylko Salome, nie ogar-  
nia posepnym spojrzeniem Herodiady, zadumanej nad  
swoją nienawiścią, która wreszcie dopięła celu, ani  
tetrarchy pochylonego nieco do przodu, z rękami  
wspartymi na kolanach, zadyszanego jeszcze, oszala-  
łego od tej nagości kobiecej nasyconej wonią bestii  
wytarzanej w balsamach, odymionej kadzidłami i mir-  
rą.

Niczym stary król, des Esseintes zmiążdżony, uni-  
cestwiony, otumaniały, tkwił przed tą tancerką, mniej  
majestatyczną, mniej wyniosłą, ale bardziej niepo-  
kojącą aniżeli Salome z obrazu olejnego.

W nieczułym i bezlitosnym posągu, w niewinnym  
i niebezpiecznym bożyszczu tlił się erotyzm, groza  
egzystencji ludzkiej; zniknął wielki lotos, rozwiła się  
bogini; okropny koszmar dławiał teraz komediantkę,  
wprawioną w ekstazę wirami tańca, kurtyzanę, która  
skamieniała zahipnotyzowana trwogą.

Tu była naprawdę dziewczką; ulegała swojemu tempe-  
ramentowi kobiety chutliwej i okrutnej; żyła, bardziej  
wyrafinowana i dziksza, obrzydliwsza i bardziej uro-  
cza; energiczniej budziła zapadłe w letarg zmysły  
mężczyzny, usidlała, ujarzmiła tym skuteczniej jego  
wolę swoim wdziękiem wielkiego kwiatu Wenery, co  
wyrósł na świętokradczym podłożu, wyhodowany w  
bezbożnej cieplarni.

Jak powiadał des Esseintes, nigdy jeszcze w żadnych  
czasach akwarela nie zdołała osiągnąć tej świetności  
kolorów; nigdy jeszcze z ubóstwa barw chemicznych  
nie trysnęły na papier podobne ognie kamieni, światła

jakby pochodzące z witrażów uderzanych promienia-  
mi słońca, wspaniałość równie bajeczna, równie ośle-  
piająca tkanin i ciał.

I zatopiony w kontemplacji medytował nad genezą  
tego wielkiego artysty, tego poganina tkniętego mi-  
stycyzmem, tego iluminata, który umiał na tyle oder-  
wać się od ludzi, by w samym środku Paryża patrzeć,  
jak rozjarzają się okrutne wizje, feeryczne apoteozy  
wieków dawnych.

Des Esseintes z trudem rozeznawał się w jego po-  
winowactwach; tu i ówdzie niejasnymi wspomnieniami  
odzywali się Mantegna i Jacopo de Barbari; tu i ówdzie  
zagmatwane obsesje rodem z Leonarda i gorączka ko-  
lorów jak u Delacroix; ale wpływ owych mistrzów po-  
zostawał w sumie niedostrzegalny: prawdą było, że  
Gustaw Moreau nie wywodził się od nikogo. Bez rze-  
czywistych antenatów, bez widoków na potomstwo,  
stanowił w sztuce współczesnej zjawisko jedyne. Wy-  
prawiał się do źródeł etnograficznych, do kolebki róż-  
norodnych mitologii, porównując i rozwikłując krwa-  
we ich zagadki; gromadził i stapiał w niepodzielną  
całość legendy pochodzące z dalekiego Wschodu  
i przekształcane wierzeniami innych ludów, uzasa-  
dniając tym sposobem swoje syntezy architektonicz-  
ne, swoje przepyszne i nieoczekiwane amalgamaty  
tkanin, swoje hieratyczne i złowróźbne alegorie, wy-  
ostrzone jeszcze przenikliwością niespokojną i neura-  
steniczną całkiem współczesną; pozostawał na zaw-  
sze zbolący, nawiedzany symbolami perwersyj i amo-  
rów nadludzkich, haniebnych boskich obłąpień, zim-  
nych i beznadziejnych.

Był w tych dziełach nacechowanych rozpaczą i eru-  
dycją urok szczególny, guślarstwo poruszające do dna  
trzewi, jak w niektórych poematach Baudelaire'a: w  
osłupienie, zadumę, konfuzję wprowadzała ta twórczość,



co przekroczywszy granice malarstwa zapożyczała od sztuki pisania najsubtelniejsze sugestie, od sztuki Limosinów najcudowniejsze odpryski, od sztuki kamieniarzy i grawerów najwykwintniejszą delikatność. Owe dwa wizerunki Salome, dla których zachwył des Esseintes'a nie znał kresu, żyły przed jego oczyma zawieszane na ścianie gabinetu, w wolnej przestrzeni między półkami bibliotecznymi.

Ale nie poprzestał bynajmniej na tych obrazach, inne zakupił również, aby przyozdobić swoją samotność.

Bo chociaż całkiem zrezygnował z pierwszego i jedynego piętra domu, nie wprowadziwszy się tam, sam tylko parter wymagał licznych dzieł, ażeby odziać ściany.

Ów parter miał rozkład następujący:

Gotowalnia łączyła się z sypialnią, obie zajmowały jeden z narożników budynku; z sypialni przechodziło się do biblioteki, a z biblioteki do jadalni tworzącej drugi narożnik.

Pokoje te stanowiły jedną ze ścian szczytowych budynku i ciągnęły się w linii prostej, przebite oknami wychodzącymi na dolinę Aunay.

Przeciwległa fasada kryła cztery pokoje, rozmieszczone dokładnie tak samo jak te, o których wspomnieliśmy wyżej. Tak więc kuchnia znajdowała się w rogu naprzeciw jadalni; obszerny westybul, prowadzący do wnętrza domu, był naprzeciw biblioteki; rodzaj buduaru — naprzeciw sypialni; wygodki zajmowały kąt naprzeciw gotowalni.

Wszystkie te pokoje, odwrócone tyłem do doliny Aunay, miały okna z widokiem na wieżę w Croy i na Châtillon.

A że schody były przyklejone do jednej ze ścian domu, na zewnątrz, kroki służby, od których trzęsły

się stopnie, docierały do des Esseintes'a mniej wyraźnie, bardziej głucho.

Buduar kazał wytapetować jaskrawą czerwienią i na wszystkich ścianach porozwieszać oprawne w hebanowe ramy ryciny Jana Luykena, sztycharza holenderskiego z dawnych czasów, prawie nie znanego we Francji.

Posiadał serię „Prześladowań religijnych” tego artysty o wyobraźni bujnej a ponurej, gwałtownego i pierwotnego: przerażające plansze z wszelkimi torturami, plansze, skąd wył spektakl cierpień ludzkich, ciała opiekane na żarze, czaszki, z których szablami pościano ciemiona, podziurawione gwoźdźmi, ponacinane piłą, jelita wyprute z brzucha i nawinięte na kołowrót, paznokcie powoli wrywane kleszczami, wylupione oczy, powieki na drugą stronę wywrócone szpikulcami, kończyny powyłamywane, pogruchotane ze staraniem, kości obnażone, długo skrobane ostrzami noży.

Dzieła te przesyczone ohydą wyobraźnią, rozsiewające smród spalenizny, ociekające krwią, pełne klątw i okrzyków zgrozy, o dreszcz przyprawiały des Esseintes'a i zatrzymywały go, zdyszanego, w czerwonym gabinecie.

Niezależnie jednak od dreszczu, jakim przejmowały, niezależnie od straszliwych uzdolnień tego człowieka, od niezwykłego życia, pulsującego w jego postaciach, widz odkrywał w zdumiewających rojowiskach tłumy, w falach plebsu traktowanych rylcem niemniej niż u Callota zręcznym, ale z mocą, jakiej nigdy nie uzyskał ów zabawny bazgroła, ciekawe rekonstrukcje społeczeństw i epok: architekturę, ubiory, obyczaje panujące w czasach Machabeuszów albo w Rzymie podczas prześladowania chrześcijan, w Hiszpanii pod rządami Inkwizycji, we Francji w średniowieczu, w



okresie Nocy Świętego Bartłomieja i dragonad; odkrywał to wszystko, zaobserwowane z drobiazgową dokładnością, zanotowane z najgłębszą wiedzą.

Sztychy te były kopalnią wiadomości; godzinami wpatrywałeś się w nie bez znużenia; intensywnie pobudzające do refleksji, wspomagały des Esseintes'a w zabijaniu dni opornych lekturze.

Życiorys Luykena miał dlań powab dodatkowy; wyjaśniał zresztą halucynacje tego dzieła. Żarliwy kalwin, zatwardziały sekciarz, oszalały na punkcie kantat i modłów, komponując poematy religijne sporządzał do nich ilustracje, pisywał rymowane parafrazy psalmów, zatapiał się w lekturze Biblii i wynurzał się z niej w ekstazie: półprzytomny, z mózgiem nękanym krwawą tematyką, z wargami, które wykrzywiały przekleństwa Reformacji, jej pieśni grozy i gniewu.

Ponadto gardził światem, swoje dobra rozdawał biednym, żył kawałkiem chleba; na koniec wsiadł do łodzi ze starą, sfanatyzowaną przezeń służką; płynęli na los szczęścia i dokądkolwiek przybiła łódź, głosił tam Ewangelię; starał się nie jadać już wcale, zwariował prawie i prawie zdziczał.

W sąsiednim pomieszczeniu, większym, w westybulu odzianym boazerią z cedrowego drzewa barwy pudełka od cygar, piętrzyły się inne ryciny, inne dziwaczne rysunki.

„Komedia śmierci” Bresdina: w nieprawdopodobnym krajobrazie najeżonym drzewami, zagajnikami, chaszczami naśladowującymi kształty demenów i widm, pełnym ptaków o szurzych łebkach i ogonach z jarzyn, wśród zaścielających ziemię czaszek, żeber i kręgosłupów sterczą wierzby sękaty i spękane, a na nich siedzą szkielety wymachując piszczelami; czereda ta intonuje hymn zwycięstwa, a tymczasem

Chrystus umyka w jabłkowite niebo, pustelnik medytuje w grocie, obejmując głowę rękami, nędzarka kona wyczerpany niedostatkiem, wycieńczony głodem, wyciągnięty na grzbiecie, stopy przysunawszy do brzegu kałuży.

„Dobry Samarytanin” tegoż artysty, olbrzymi rysunek piórkiem, litografowany: przedziwny gąszcz palm, jarzębin, dębów rosnących wspólnie, z pogardą dla pór roku i klimatów, wybujałość dziewiczej puszczy, zatłoczonej małpami, puchaczami, sowami, pogarbionej od starych pni zniekształconych niczym korzenie mandragory, las wiekowy, magiczny, przeorany w środku przesieką, u której kresu, za wielbłądem, grupą Samarytanina i rannego, widać rzekę, a dalej miasto feeryczne wdziera się na horyzont wstępując w niebo osobliwe, nakrapiane ptactwem, zwałnione falami, jak gdyby nabrzmiące od masywnych chmur.

Rzekłbyś, rysunek prymitywa, jakiegoś nie sformowanego jeszcze Albrechta Dürera, rysunek, który skomponował mózg odymiony przez opium; ale chociaż lubił subtelność szczegółów, a także imponujący rozmach tej planszy, des Esseintes zatrzymywał się ze szczególną uwagą przed innymi ramami zdobiacymi pokój.

Nosiły podpis: Odilon Redon.

Zamykały w swoich bagietkach z niewyprawionej gruszy, obrzeżonych cienko złotem, zjawy niepojęte: głowa w stylu merowińskim wetknięta do czarki; brodaty mężczyzna, mający w sobie coś z bonzy i mówcy wiecowego zarazem, ostukuje palcami pocisk kolosalnej armaty; przerażający pajak z twarzą ludzką wprawioną w środek tułowia; następnie rysunki węglem zapuszczające się jeszcze dalej w grozę snów dręczonych uderzeniami krwi do mózgu. Tutaj ogromna kostka do gry, w której mruga smutna powieka;



*malarstwo chorobliwe*  
tam pejzaże suche, jałowe, zwapniałe rozłogi, falisto-  
ści terenu, wypryski wulkaniczne, które zaczepiają  
o zbuntowane obłoki, o niebo będące zsiniałą zastoiną;  
bywały nawet tematy jak gdyby zapożyczane z kosz-  
maru nauki, nawracające do czasów prehistorycznych;  
monstrualna flora pleniła się na głazach; wszędzie ska-  
ły narzutowe, błota lodowcowe, postacie małopokształ-  
tne, których wydatne szczęki, sterczące łuki brwiowe,  
cofnięte czoło i spłaszczone ciemię przypominały fi-  
zys praojców, głowę człowieka z wczesnego czwarto-  
rzędu, kiedy był jeszcze roślinożerny i nie znał mowy  
artykułowanej, człowieka — współczesnego mamu-  
towi, szerokopyskiemu nosorożcowi i niedźwiedziowi  
jaskiniowemu. Tych rysunków nie dałoby się porów-  
nać z niczym; w większości wybiegały daleko poza  
granice malarstwa, wprowadzały fantastykę nową  
i nader specjalną, fantastykę choroby i maligny.

Bo i rzeczywiście niektóre z tych twarzy pożeranych  
olbrzymimi oczyma, oczyma szalonymi, niektóre z tych  
ciał powiększonych nad miarę lub zdeformowanych,  
widzianych niby przez wypukłość karafki, wywoływa-  
ły w umyśle des Esseintes'a wspomnienia malarii,  
wspomnienia, które przetrwały jednak jako płomienne  
noce: straszliwe wizje z czasów dzieciństwa.

Przed tymi rysunkami, podobnymi „Przysłowiom”  
Goyi, zdejmował go nieokreślony niepokój; jak gdyby  
zbudzony z lektur Edgara Poe, którego miraż halucy-  
nacyjne Odilon Redon zdawał się transponować sztuką  
odmienną, diuk Jan przecierał oczy i wpatrywał się  
w promieniejące oblicze, co wśród tych rozdygotanych  
plansz wznosiło się pogodne i spokojne: oblicze Me-  
lancholii, siedzącej pod kręgiem słońca, na skałach, w  
pozie posepnej i pełnej przygnębienia.

Mroki się rozpraszały niby za dotknięciem różdżki  
czarodziejskiej; uroczy smutek, rozpacz jak gdyby znu-

zona wsączała się w jego myśl, i długo medytował  
przed tym dziełem, co punktami gwaszy, rozsianymi  
na tle tłustej kredki, wydobywało poświęcę zielono-  
wodną i bladozłotą spośród nieprzerwanej czerni tych  
szkiców węglem i rycin.

Prócz owej serii Redona, zdobiącej prawie w cało-  
ści ściany westybulu, powiesił w sypialni chaotyczny  
szkic El Greca: Chrystus o szczególnych odcieniach,  
przeszarżowany w rysunku, okrutny w kolorycie, pe-  
łen znarowionej energii; obraz drugiej manieri tego  
malarza, z okresu, kiedy szarpał go lęk przed podo-  
bieństwem do Tycjana.

Ów obraz ponury, w tonacjach woskowych i trupio-  
zielonych, odpowiadał poglądom des Esseintes'a doty-  
czącym umeblowania.

Były według niego tylko dwie modły urządzenia sy-  
pialni: albo uczynić z niej podniecającą alkowę, albo  
skomponować miejsce samotności i wypoczynku, azyl  
dla dumań, rodzaj kaplicy.

W pierwszym przypadku styl Ludwika XV paso-  
wał ludziom subtelnym, wyczerpanym zwłaszcza ekscy-  
tacjami mózgu; w istocie bowiem tylko wiek XVIII  
umiał spowić kobietę atmosferą grzeszną, wyginając  
meble w kształt jej wdzięków, rozfalowaniami, pokrę-  
tościami drzewa i miedzi naśladowując skurcze kobie-  
cych rozkoszy i woluty kobiecych spazmów, dekora-  
cją żywą i jasną upikantniając cukrowane rozleniwie-  
nie blondynki, tapetami o tonach słodkawych, wodni-  
stych, bezbarwnych prawie, łagodząc słony smak bru-  
netki.

Taki pokój miał niegdyś w swoim paryskim miesz-  
kaniu: było tam lakierowane obszerne łóżko, białe, do-  
datkowe źródło podnieceń dla starego zdeprawowa-  
nego lubieżnika, który rzy na widok fałszywej czy-  
stości, obłudnej pruderii podlotków Greuze'a, sztucznej



Supplina  
dziewiczości łóżka przeznaczonego dla sprośnych igraszek, zatraćającego dzieckiem i dziewczątkiem.

W drugim przypadku — teraz, kiedy chciał zerwać z drażniącymi wspomnieniami przeszłości, taki jedynie koncept był do przyjęcia — należało przeobrazić pokój w celę klasztorną; tu jednak piętrzyły się trudności, diuk Jan nie chciał bowiem zaakceptować surowej brzydoty, właściwej tym przybytkom pokuty i modłów.

Tam i z powrotem zagadnienie od wszystkich stron rozpatrując, wniósł, że cel, który pragnął osiągnąć, winien streszczać się w następującym projekcie: z pomocą wesołych przedmiotów urządzić rzecz smutną, a raczej — pozostawiając pokojowi ogólne cechy brzydoty — nadać całości tak pomyślanej pewne znamię elegancji i dystynkcji; odwrócić optykę teatralną, gdzie paskudne szmaty odgrywają rolę tkanin luksusowych i cennych; uzyskać efekt absolutnie przeciwny: posługując się wspaniałymi tkaninami wywołać wrażenie łachmanów; słowem, urządzić celę kartuza, która wyglądałaby na autentyk, nie będąc nim oczywiście.

Obrał taki oto tryb postępowania: ażeby uzyskać imitację tynku o barwie ochry — żółtość administracyjna i klerykalna — kazał obciągnąć ściany szafrowym jedwabiem; ażeby odtworzyć podmurowanie koloru czekoladowego, zwykle w podobnych izbach, użył desek pomalowanych na fiolet umocniony amarantem. Efekt był urzekający i mógł przypominać, tylko z daleka jednak, niemną sztywność wzorca, któremu dochowywał wierności, choć go przekształcał; z kolei sufit, wymoszczony kremową bielą, mógł naśladować gips, ale bez jego krzykliwych odbłyśków; udało mu się nieźle skopiować zimną posadzkę celi, dzięki kobiercowi w czerwone kwadraty, lecz o miejscach

wypełzłych, jak gdyby wydeptanych w wełnie sandałami i wytartych szuraniem butów.

Wstawił do tego pokoju żelazne łóżeczko, falsyfikat łóżka anachorety, sfabrykowane ze starego żelaza, kutego i wypolerowanego, zdobne w głowach i w nogach gęstymi ornamentami: rozwinięte tulipany wplecione w winorośl, a wzięte z poręczy przepysznych schodów starego pałacu.

Stolik nocny zastąpił pradawnym klęcznikiem, w którego wnętrzu zmieścił się urynał, a pulpit udźwignął gruby mszał; pod ścianą naprzeciw ulokował kościelne stalle z szerokim ażurowym baldachimem, przystrojonym mizerykordiami rzeźbionymi w litym drzewie, lichtarze zaś w owych stallach zaopatrzył świecami z pszczelego wosku, które zakupił w specjalnej firmie, pracującej tylko dla potrzeb religii, głosił bowiem szczerą niechęć do lamp naftowych, łukowych, gazowych, do świec stearynowych i wszelkiego nowoczesnego oświetlenia, tak jaskrawego i tak ordynarnego.

Rankiem, w łóżku, z głową na poduszce, popatrywał, nim zasnął, na swojego El Greca, którego okrutny koloryt macerował z lekka wesołość żółtej tkaniny, przywołując ją do poważniejszego tonu — a wtedy wyobrażał sobie łącno, że mieszka o sto mil od Paryża, z dala od świata, zaszyty w głębinach jakiegoś klasztoru.

Wszelka iluzja przychodziła mu w sumie bez trudu, skoro wiódł żywot analogiczny niemal z egzystencją mnichów. Tak więc, otaczając się zaletami klauzury, nie zaznawał niemal stron jej przykrych, do których zalicza się żołdacka dyscyplina, brak obsługi, brud, mieszane towarzystwo, monotonna beczynność. Podobnie jak swoją celę uczynił pokojem komfortowym i ciepłym, tak życie swoje uczynił normalnym,



przyjemnym, nader dostatnim, pracowitym i wolnym.

Niczym pustelnik dojrzał był do samotnictwa, a wyczerpany do cna życiem, nie oczekiwał odeń już nic; niby mnicha również przytłaczało diuka Jana prze-  
możne znużenie, pragnął pogrążyć się w medytacjach, chciał wziąć ostateczny rozbrat z ludźmi świeckimi, którzy byli według niego przyziemnie praktyczni i głupi.

W ogólności zatem, choć nie pociągał go bynajmniej stan łaski, odczuwał niekłamaną sympatię dla tych ludzi pozamykanych w klasztorach, prześladowanych przez nienawidzące ich społeczeństwo, które nie wybacza im ani słusznej wzgardy, jaką je darzą, ani niezłomnej woli, ażeby upartym milczeniem okupywać wzmagającą się wciąż rozwiążłość towarzyskich rozmów, groteskowych lub idiotycznych.

## VI

Des Esseintes zapadł w obszerny uszaty fotel, stopy wsparł o złoczone gruszki kozłów kominka, pantofle przypiekał mu żar bierwion, które trzaskając prażyły jak gdyby smagnięciami żywych płomieni, wyrzucanych wściekłym oddechem dmuchawki, odłożył na stół czytane właśnie in quarto, przeciągnął się, zapalił papierosa, po czym rozmarzył się rozkosznie, puściwszy się w galop śladem wspomnień, zatartym już od miesięcy i znów nagle wyraźnym dzięki nazwisku, co zbudziło się, bez uzasadnień zresztą, w jego pamięci.

Ujrzał z zadziwiającą jasnością konfuzję swojego kolegi, pana d'Aigurande, który na zebraniu zaprzy-  
sięgłych kawalerów musiał wyznać, że kończy już przygotowania do ślubu. Wszyscy zachnęli się, odma-

lowali mu obrzydliwości spania we wspólnej pościeli; nic nie pomogło: stracił głowę, wierzył w inteligencję swojej przyszłej żony i utrzymywał, że dostrzegł był u niej wyjątkowe zalety, co się tyczy oddania i tkliwości.

Spośród całej kompanii jeden tylko des Esseintes podtrzymał go w tej decyzji, dowiedziawszy się, że narzeczona pragnie zamieszkać na rogu nowego bulwaru, w najświeższej mody apartamentach o kształcie rotundy.

Przekonany o bezlitosnej potędze drobnych niedoli, bardziej niż wielkie wyniszczających dobrze zahartowane charaktery, i w oparciu o fakt, iż d'Aigurande majątku żadnego nie posiadał, a posag oblubienicy równał się prawie zeru, diuk Jan odkrył w tej zwykłej zachciance nieskończoną perspektywę pociesznych nie-  
szczęść.

I rzeczywiście d'Aigurande zakupił meble skonstruowane kolisto: konsole puste od tyłu, tworzące półokrąg, łukowate karnisze do firanek, dywany krajane w półksiężycy, wszystko to zrobione na zamówienie. Wydał dwa razy tyle, co inni, a potem, kiedy jego żona nie mając pieniędzy na toalety sprzykrzyła sobie rotundę i przeprowadziła się do mieszkania czworokątnego, tańszego, nie pasował tam i nie mógł stanąć żaden mebel. Meble-zawalidrogi stały się z wolna przyczyną nie kończących się kłopotów; harmonia, wspólnym pożyciem i tak już nadwreżona, kruszyła się z tygodnia na tydzień; oboje wciąż byli podminowani: jedno wyrzucało drugiemu, że nie sposób przesiadywać w salonie, gdzie konsole i kanapy nie dotykają do ścian i chwieją się, ilekroć ktoś otrze się o nie, mimo zaklinowań. Brakło zasobów na przeróbki, prawie zresztą niemożliwe. Wszystko stało się powodem kwasów i waśni, wszystko, począwszy od



szuflad, które telepały się w meblach nie stojących pewnie, aż do koszykowego sługi, która wykorzystując roztargnienie skłóconych państwa rabowała kasę; słowem, życie stało im się nie do zniesienia; on wesoślił się poza domem; ona, wśród forteli wiarołomstwa, starała się zapomnieć o swoim życiu, zadeszczonym i płaskim. Za obopólną zgodą unieważnili kontrakt i wystąpili o separację.

„Mój plan kampanii był trafny” — pomyślał wtedy des Esseintes odczuwając zadowolenie stratega, któremu udały się manewry przewidziane na długą metę.

Dumając obecnie przy kominku nad rozbiciem tego stadła, któremu dobrymi radami dopomógł był się skojarzyć, wrzucił nową naręcz drzewa w palenisko i pędem powrócił do swoich marzeń.

Cisnęły się teraz nowe wspomnienia, należące do tegoż porządku idej.

Przed paroma laty, wieczorem, spotkał na ulicy Rivoli smarkacza, lat może szesnastu, bledziutkiego i szczwanego, powabnego niby dziewczyna. Ssał pracowicie papierosa, którego bibułka pękała dziurawiona ośmiu ciemnego tytoniu. Klnąc pocierał o udo zapałki kuchenne, ale żadnej nie miał się płomyk; zużył wszystkie. Spostrzegłszy wtedy des Esseintes'a, który go obserwował, podszedł doń i, przykładając rękę do daszka czapki, grzecznie poprosił o ogień. Des Esseintes poczęstował go aromatycznym papierosem z orientального tytoniu, wdał się z nim w rozmowę i zachęcił chłopca, żeby opowiedział mu swoją historię.

Zaliczała się do najprostszych. Nazywał się August Langlois, pracował u fabrykanta kartonowych pudełek, stracił matkę, miał ojca, który bijął go na kwaśne jabłko.

Des Esseintes słuchał zamyślony. „Chodź napić się czegoś” — powiedział. Zaprowadził go do kawiarni,

kazał podać poncz szatańsko mocny. Chłopiec pił nie odzywając się słowem. „Wiesz co — powiedział nagle des Esseintes — może byś się tak dziś zabawił? Funduję”. I zabrał chłopaka do pani Laury, damy hodującej przy ulicy Mosnier, na trzecim piętrze, asortyment kwiaciarek w rzędzie pokoi czerwonych, zdobnych w okrągłe lustra, umeblowanych kanapami i bidetami.

Tutaj August oszołomiony do cna, miętosząc czapkę, ujrzał batalion kobiet z umalowanymi ustami, które otwały się jak na komendę:

— Toć to szczeniak! Patrz, jaki milusi!

— Słuchaj, chłopczyku, za małyś jeszcze! — dodała rosła brunetka o wyłupiastych oczach, orlonosa, która u pani Laury pełniła niezbędną funkcję pięknej Żydówki.

Rozsiadłszy się niemal jak u siebie w domu, des Esseintes gawędził szeptem z pryncypałą.

— Nie bójże się, głuptaku — zwrócił się do chłopca. — No, wybierz sobie coś, ja płacę. — I łagodnie popchnął smarkacza, który upadł na sofę między dwie kobiety. Na znak pani obie zsunęły się nieco, spowijając Augustowi kolana peniurami, podtykając mu pod nos ramiona przypudrowane szronem oszołamiącym i ciepłym, a chłopak znieruchomiał, jego policzki nabiegły krwią, w ustach miał suchość, spod przymkniętych powiek zapuszczał z ciekawością zurawie ku podbrzusiom dziewczyn.

Wanda, piękna Żydówka, pocałowała go i jęła obsypywać dobrymi radami, zalecając posłuszeństwo rodzicom, a tymczasem jej dłonie błędziły z wolna po ciele chłopca, który mienił się na twarzy, omdlewał, odrzuciwszy w tył głowę.

— A więc dziś nie przyszedłeś w swojej sprawie — rzekła pani Laura do des Esseintes'a. — Ale gdzieś,



*działania perwersyjne*  
u diabła, znalazł tego prawiczka? — podjęła, kiedy August zniknął, uprowadzony przez piękną Żydówkę.

— Na ulicy, moja droga.

— A przecież nie jesteś podchmielony — mruknęła stara dama. I po namyśle dodała z macierzyńskim uśmiechem: — Rozumiem, teraz trzeba ci młodych, ty łajdaku, a niech cię!...

Des Esseintes wzruszył ramionami:

— Nie trafiłaś, ech! Ależ skąd — zachnął się — prawda polega na tym, że staram się po prostu przysposobić mordercę. Posłuchaj tylko moich wywodów. Ten chłopak jest niewinny i osiągnął już wiek, kiedy krew kipi; mógłby uganiać się za dziewczątkami ze swojej dzielnicy, pozostawać uczciwym bawiąc się doskonale, mieć, w sumie, swoją część monotonnego szczęścia przeznaczanego dla ubogich. Ja zaś wprowadzę go w sam środek luksusu, którego istnienia nawet nie podejrzewał i który będzie musiał wryć się w jego pamięć; ofiarowując mu co dwa tygodnie taką gratkę, wdrożę go w uciechy niedostępne dla jego kieszeni; przypuśćmy, że trzeba będzie trzech miesięcy, żeby stały mu się absolutnie konieczne, a nie ryzykuję, by przesycił się nimi w dawkach, jakie mu wyznaczam; no cóż, mijają trzy miesiące, a ja kasuję skromną pensyjkę, którą wpłacę ci z góry za mój dobry uczynek, a wtedy on zacznie kraść, żeby móc składać tutaj wizyty: sto razy coś zmaluje, żeby tarzając się na tej sofie, pod tymi gazowymi kinkietami. Ale rzecz tak oto swój szczyt i kres osiągnie: nasz mały przyjaciel zadźga, mam nadzieję, jakiegoś pana, który zjawi się nie w porę, kiedy on będzie włamywał się do jego sekretery; a wtedy i ja swój cel osiągnę: przyczynię się, w miarę moich możliwości, do stworzenia ladaco, jeszcze jednego wroga tej ohydnej społeczności, która ściąga z nas haracz.

Kobiety pootwierały szeroko oczy.

— A, jesteś już? — podjął na widok Augusta, który czerwony i zasromany wracał do salonu, kryjąc się za plecami pięknej Żydówki. — No to chodź, kochaneczku, późno już, ukłoń się pięknie tym damom.

Na schodach wyjaśnił mu, że co dwa tygodnie, do sakiewki nie sięgając, będzie mógł odwiedzać panią Laurę; a potem, już na ulicy, na trotuarze, wpatrując się w ogłupiałego chłopca:

— Nie zobaczymy się więcej — rzekł — wracaj czym prędzej do domu, bo twojego ojca ręka świerzbi z bezczynności, ale zapamiętaj tę maksymę quasi-ewangeliczną: czyn innym to, czego nie chcesz, żeby czyniono tobie, a zajdziesz daleko. Dobranoc. A zwłaszcza nie okaz się niewdzięcznikiem i daj mi możliwie jak najwcześniej znać o sobie za pośrednictwem kronik sądowych w gazetach.

— Mały Judasz! — mruczał teraz des Esseintes podsycając ogień w kominku — i powiedziec, że nigdy nie widział jego nazwiska w notatkach dziennikarskich! Co prawda, gry ostrej prowadzić nie miałem sposobu, nie mogłem przewidzieć niektórych trafień ani im zapobiec, takich jak złodziejstwo mamy Laury, która mogła zainkasować pieniądze, ale nie dać w zamian towaru; jak feblik jednej z tych dziewczyn do Augusta, który po trzech miesiącach konsumował, być może, za darmo; a nawet jak wszeteczne figlasy pięknej Żydówki, które mogły spłoszyć chłopczykę zbyt krewkiego i za młodego, by poddawać się leniwym wstępom i piorunującym finałom tych sztuczek. Chyba że później miał nieporozumienia ze sprawiedliwością, gdyż od czasu jak osiadłem w Fontenay, gazet już nie czytam i jestem jak tabaka w rogu.

Wstał i parę razy okrzyknął pokój.

„A jednak byłaby to szkoda — pomyślał — dzia-



lając bowiem w ten sposób urzeczywistniłbym przypowieść, alegorię laicką, która mając na celu ni mniej, ni więcej tylko przeobrażanie wszystkich ludzi w takich Langlois, zamiast wyłupiać ostatecznie i przez miłosierdzie oczy biedakom, gwałtem otwiera im je szeroko, ażeby dostrzegli wokół siebie losy innych, niezasłużone i łaskawsze, uciechy wytrawniejsze i pikantniejsze, a zatem bardziej pożądane i droższe.

I faktem jest — medytował dalej des Esseintes — faktem jest, że ból, jako wynik edukacji, rozszerza się i zaostrza, w miarę jak rodzą się idee: im usilniej staralibyśmy się okrzesywać umysły i wysubtelniać system nerwowy biedaków, tym piękniej rozwijałaby się w nich zaródź, tak wściekle żywotna, cierpień moralnych i nienawiści".

Lampy kopciły. Uregulował płomień i spojrzął na zegarek. Trzecia nad ranem. Zapalił papierosa i znów pogrążył się w przerywanej dumaniami lekturze starożytnego poematu łacińskiego „De laude castitatis”, który za rządów Gondebalda napisał był Avitus, biskup metropolitalny Vienny.

## VII

Od tej nocy, kiedy bez wyraźnego powodu przywołał melancholijne wspomnienie Augusta Langlois, przeżywał na nowo całą swoją egzystencję.

Nie był zdolny teraz pojąć ani słowa z tomów, które wertował; oczy diuka Jana nie czytały już; wydawało mu się, iż jego umysł, nasycony literaturą i sztuką, przestał je chłonać.

Żył z samego siebie, karmił się własną substancją,

podobny odrętwiałym zwierzętom, które w norach zaszywają się na zimę; samotność niby narkotyk oddziaływała na jego mózg. Rozbudzała go najpierw i naprężała, obecnie zaś sprowadzała odurzenie nawiedzane mglistymi majakami; unicestwiała jego plany, łamała zażyczenia, przewodziła korowodowi snów, którym poddawał się biernie, nie próbując nawet uciekać od nich.

Beładny stos lektur, medytacyj artystycznych, który od momentu swojej izolacji wznosił niby tamę, aby powstrzymać nurt dawnych wspomnień, został nagle porwany i fala napierając telepała terażniejszością i przyszłością, zatapiała wszystko pod rozlewiskiem przeszłości, wypełniała umysł diuka Jana bezmiernym obszarem smutku, z pływającymi po nim jak śmieszne wraki nieciekawymi epizodami jego życia, absurdalnymi nicostkami.

Książka wysuwała mu się z ręki i spadała na kolana; kapitulował, przepelniony niesmakiem i niepokojami, obserwując defiladę lat swojego zmarłego życia; wirowały, mrowiły się teraz wokół obrazu pani Laury i Augusta, wbitego między te fluktuacje niczym twardy kołek, niczym fakt wyrazisty. Ależ to były czasy! Okres wieczornych przyjęć w wielkim świecie, wyścigów, gier w karty, amorów zamawianych z góry, podawanych punktualnie z uderzeniem północy, w różowym buduarze! Wspominał twarze, gesty, słowa bardziej niż błahe, lecz oblegające go z natarczywością wulgarnych kupletów, od których nucenia powstrzymać się nie możemy, ale które zanikają w końcu, nagle, bez naszej wiedzy.

Był to krótki okres; urządziwszy sobie sjęstę pamięci, znów zagłębił się w łacińskich studiach, aby pozacierać nawet ślady owych nawrotów.

Mechanizm poszedł w ruch: druga faza nastąpiła



Wypis m. Marcina Dzieciństwo  
niemal bezpośrednio po pierwszej, faza wspomnień z dzieciństwa, a zwłaszcza z lat spędzonych u ojców.

Te były bardziej oddalone i mniej mgliste, wyryte w sposób wyraźniejszy i pewniejszy; gęsty park, długie aleje, rabaty, ławki, wszelkie szczegóły materialne wyrosły w pokoju diuka Jana.

Potem ogrody wypełniły się, usłyszał, jak pokrzykują uczniowie, jak śmieją się ojcowie biorący udział w rekreacjach, ujrzał, jak grają w piłkę, w sutannach podkasanych i ściśniętych między kolanami, to znów słyszał, jak w cieniu drzew gawędzą z młodzieniaszkami, po koleżeńsku, niby z rówieśnikami, nie dmąc się i nie pozując.

Wspomniął owo jarzmo ojcowskie, tak niechętnie karom, iż miast zadawać w razie nie wyuczonej lekcji pięćset czy tysiąc wierszy na pamięć, kontentowano się „poprawką”, w czasie gdy inni się bawili; częściej jeszcze ojcowie uciekali się do zwykłych reprimend, roztaczali nad chłopcami nadzór czujny, lecz łagodny, starali się umilać im życie, każdej środy wypuszczali ich na przechadzkę — dokądkolwiek elew pójść zechciał; nie pominęli żadnego z pomniejszych świąt, nie obchodzonych uroczyście przez Kościół, żeby zwykłe posiłki urozmaicać ciastkami i winem, dbali, żeby wycieczki na wieś łączyć z małymi ucztami; oto jak rozumieli jarzmo ojcowskie: nie ogłupiać ucznia, lecz dyskutować z nim, traktować go zawczasu jak dorosłego, nie szcędząc mu jednak nigdy przymileń, jakimi otacza się rozpieszczonego bębna.

Tym sposobem wywierali w końcu rzeczywisty wpływ na chłopca, urabiali w pewnej mierze hodowane przez siebie inteligencje, nadawali im pewien kierunek i wszczepiali specjalne idee, zapewniali rozrost swoich pojęć metodą wkrętną i jezuskowatą, nie znającą przerw, usiłowali bowiem podążać w życiu

za swoimi elewami, wspierać ich w karierze, a ponadto wysyłali do nich serdeczne listy, takie, w jakich mistrzem był dominikanin Lacordaire, pisujący do swoich dawnych uczniów z Sorrèze.

Des Esseintes zdawał sobie sprawę z operacji, której został poddany — jak mniemał — bez rezultatu; jego charakter stający okoniem wobec rad, drobiazgowy, dociekliwy, skłonny do dysput, oparł się modelunkowi dyscypliną ojców, ujarzmieniu właściwymi im naukami; przejście diuka Jana przez świat legitymistyczny, nietolerancyjny i ciasny, rozmowy z nieinteligentnymi klerykałami i tępymi księżułami, którzy swoją niezręcznością rozrywali zasłonę tak uczenie utkaną przez jezuitów, jeszcze bardziej umocniły w nim ducha niezależności, wzmogły nieufność do każdej wiary.

W sumie poczytywał się za wyzwolonego z wszelkich więzi, z wszelkich ograniczeń; zachował po prostu — w przeciwieństwie do wszystkich ludzi wychowanych w liceach i kolegiach świeckich — jak najlepsze wspomnienie o swoim konwikcie i nauczycielach i tak teraz oto medytując nad sobą jął się zastanawiać, czy ów posiew, aż do dziś rzucany w jałową ziemię, nie zaczyna wschodzić.

Bo i rzeczywiście, kilka dni temu znalazł się w nieopisanym stanie ducha. Myślał przez sekundę, że zmierza instynktownie ku religii; wprawdzie za najbłahszym rozumowaniem ów pociąg do wiary ulatniał się, ale mimo wszystko nie opuszczała go głęboka konfuzja.

A przecież dobrze wiedział, sondując samego siebie, że nigdy nie spłynie nań duch pokory i pokuty prawdziwie chrześcijański; wiedział bez cienia wątpliwości, że nigdy nie zazna owego momentu łaski, o którym powiada Lacordaire, „kiedy ostatni promień światła



wnika w duszę i we wspólnym ognisku wiąże prawdy rozproszone w niej dotąd"; obca mu była owa potrzeba umartwienia i modłów, bez której, według większości duchowieństwa, żadne nawrócenie nie jest możliwe; nie czuł żadnej potrzeby, by błagać jakiegoś Boga, którego miłosierdzie wydawało mu się znikomo prawdopodobne; a jednak dzięki sympatii, jaką zachował dla dawnych nauczycieli, zdarzało się, że ich prace i teorie zaciekawiały diuka Jana; owe niezrównane akcenty przekonania, owe żarliwe głosy ludzi wyższej inteligencji wracały doń i przywodziły go do zwątpień o własnym umyśle i siłach. Żył wśród samotności, bez nowych pokarmów, bez świeżych wrażeń, bez odnowy myśli, bez owej wymiany bodźców napływających z zewnątrz, których źródłem są stosunki z ludźmi, wspólna z nimi egzystencja; a że upierał się przy tej izolacji przeciwnej naturze, wszelkie zagadnienia, o których zapomniał mieszkając w Paryżu, występowały teraz na nowo niby drażniące problemy.

Lektura jego ulubionych dzieł łacińskich, bez wyjątku prawie koncyptowanych przez biskupów i mnichów, po części zdeterminowała zapewne ów kryzys. Spo- wity atmosferą klasztorną i aromatem kadzidła, głowę zamęczającymi, rozjątrzył sobie nerwy, a drogą kojarzenia myśli owe książki stłumiły w końcu wspomnienia późniejszej młodości, aby wydobyć na światło wspomnienia młodości wczesnej, spędzonej u ojców.

„Nie ma mowy o tym — dumał des Esseintes usiłując przywołać się do porządku — żebym w Fontenay ulegał nadal wpływowi pierwiastka jezuickiego; od dziecka całkiem bezwiednie nosiłem w sobie ów zaczyn, który wtedy nie fermentował jeszcze; gustowałem zawsze w przedmiotach liturgicznych, to zaś może stanowić tutaj dowód”.

Ale starał się też udowodnić sobie coś wręcz przeciwnego, nierad, że nie jest już absolutnym władcą u siebie; sprokurował sobie motywy; musiałby koniecznie zwrócić się w stronę kapłaństwa, skoro Kościół jedynie przygarnął sztukę, ów zagubiony kształt stuleci; zakonserwował, nawet w podłych nowoczesnych reprodukcjach, kontur wyrobów złotniczych, ocalił wdzięk kielichów smukłych jak petunie, cyboryów o czystej linii; urok niegdysiejszych wzorów przekazał nawet naczyniom aluminiowym, fałszowanej emalii, barwionym szkłom. Na ogół większość cennych przedmiotów, sklasyfikowanych w muzeum Cluny, które cudem uszły obrzydliwemu zdżyczeniu sankiulotów, pochodzi ze starych francuskich opactw; Kościół również uchronił w średniowieczu przed barbarzyństwem filozofię, historię i literaturę, Kościół także ocalił sztuki plastyczne, przywiódł aż do naszych dni owe cudowne wzory tkanin i klejnotów, które fabrykanci dewocjonaliów paskudzą jak mogą, nie mogąc jednak zepsuć formy pierwotnej, prześlicznej. Nie było zatem nic nadzwyczajnego w tym, że polował na te antyczne bibeloty i że, jak wielu zbieraczy, powyłuskiwał owe relikwie bądź u antykwariuszów paryskich, bądź u wiejskich handlarzy starzyzną.

Daremnie jednak odwoływał się do wszystkich tych racyj, nie udawało mu się przekonać całkowicie samego siebie. Z pewnością, w istocie swojej diuk Jan z uporem uważał religię za przepyszną legendę tylko, za wspaniałe jedynie oszustwo, a przecież wbrew wszelkim argumentom, jakie wysuwał, jego sceptycyzm zaczynał się kruszyć.

Oczywiście, ów dziwaczny fakt istniał: był teraz mniej pewny niż w dzieciństwie diuka Jana, kiedy troskliwość jezuitów oddziaływała bezpośrednio, a ich nauki w sposób nieunikniony; kiedy był w ich rękach,



należał do nich ciałem i duszą, bez więzi rodzinnej, bez wpływów z zewnątrz, które mogłyby budzić reakcję przeciw ojcom. Wszczepili mu również pewne upodobanie w cudowności, które z wolna i tajemnie rozgałęziało się w jego duszy, a dziś rozwijało się w samotni, oddziałując jednak na umysł cichy, internowany, który odbywał przechadzki po ciasnym manieżu ustalonych pojęć.

Kiedy tak badał pracę swojej myśli, starając się połączyć jej nici, odkryć źródła jej i przyczyny, przyszedł do przekonania, że jego postęпки z czasów życia światowego wywodziły się z edukacji, jaką był otrzymał. Tak więc jego skłonność do sztuczności, potrzeba ekscentryczności, nie wynikała w sumie z nie pogłębionych studiów, z wyrafinowań pozaziemskich, ze spekulacji quasi-teologicznych; były w gruncie rzeczy uniesieniami, zrywami ku ideałowi, ku nieznanemu światu, ku dalekiemu błogostanowi, tak pożądanemu jak błogostan, który obiecuje nam Pismo.

Zahamował ostro, przerwał tok refleksyj.

— No, no — mruknął poirytowany — bardziej mnie to wzięło, niżbym sądził; oto debatuję z samym sobą, niczym kazuista.

Zadumał się na dłużej, nurtowany głuchym lękiem; oczywiście, jeśli teorie Lacordaire'a są słuszne, może nie obawiać się niczego, gdyż magiczny cios nawrócenia nie spada nigdy znieścacka; żeby wywołać eksplozję, należy długo i systematycznie podminowywać teren; o ile jednak powieściopisarze mówią o piorunującej miłości, niektórzy teologowie mówią również o spiorunowaniu wiarą; nikt zatem nie mógł być pewny, że nie zostanie nią porażony, jeśli przyjąć, że jest to teza prawdziwa. Nie ma więc już co analizować samego siebie ani roztrząsać przesłanek, ani szukać środ-

Wiarą

ków zaradczych; psychologia mistycyzmu nie istnieje. I tak jest, bo tak jest, ot i wszystko.

„Ech, głupieję — pomyślał des Esseintes. — Lęk przed chorobą wywoła w końcu samą chorobę, jeśli tak pójdzie dalej”.

Udało mu się otrząsnąć trochę z tych nalotów; wspomnienia nacichły, pojawiły się jednak inne chorobowe symptomy; nawiedzały go teraz same już tylko tematy dyskusyj; park, lekcje, jezuici oddalili się; abstrakcje zawładnęły bez reszty diukiem Janem; rozmyślał wbrew sobie o sprzecznych interpretacjach dogmatów, o zapomnianych apostazjach, które w swoim dziele, poświęconym soborom, notuje ojciec Labbe. Przypominały mu się szczątki schizm, odłamki herezji, które na długie stulecia rozdzieliły Kościół zachodni i wschodni. Tu Nestoriusz zaprzecza Najświętszej Panie tytułu Matki Bożej, ponieważ w tajemnicy Wcieleńia nie Boga, lecz twór ludzki nosiła pod żebrem; tam Eutyches oświadcza, że wizerunek Chrystusa nie mógł przypominać wizerunku innych ludzi, skoro Boskość obrawszy siedzibę w Jego ciele zmieniła tym samym radykalnie kształt owego ciała; tam znów inni rezonerzy utrzymują, że Zbawiciel w ogóle nie miał ciała i że wyraz ten księgi święte rozumieją na pewno w sensie przenośnym; a tymczasem Tertulian formułuje swój aksjomat quasi-materialistyczny: „Bezcielesne jest tylko to, co nie istnieje; wszystko, cokolwiek istnieje, ma właściwe sobie ciało”; wreszcie, stare zagadnienie przez tyle lat roztrząsane: czy Chrystus przybity był do krzyża Sam, czy też Trójca, jedna w trzech osobach, cierpiała w trojkiej hipostazie na kalwaryjskim narzędziu kaźni? — problemy te oblegały go, piliły; i machinalnie, jak gdyby to była wyuczona niegdyś lekcja, diuk Jan sam sobie ją zadawać pytania i udzielać odpowiedzi.

czy rozmyślanie o Bogu  
nie jest bliżej wiary?  
czy do czegoś potrzebny wiary?



Tak więc na parę dni mózg rozmrowił mu się paradosami i sofizmatami: fruwanina włosów dzielonych na czworo, splot reguł, równie skomplikowanych jak paragrafy kodeksu, podatnych wszystkim kruczkom i wszelkim grom słów, kończących się jurysprudencją niebiańską, jedną z najsubtelniejszych i najdziwaczniejszych; po czym zatarła się z kolei strona abstrakcyjna i miejsce jej zajęła strona plastyczna, pod wpływem Gustawów Moreau rozwieszonych na ścianach.

Wtzie - m...  
Ujrzał, jak przeciąga długa procesja prałatów: archimandryci, patriarchowie wznoszą złociste ramiona i błogosławią klęczący tłum albo pogrążeni w lekturze czy modlitwie kiwają siwymi brodami; ujrzał, jak w mrocznych kryptach znikają korowody milczących pokutników, widział, jak wznoszą się olbrzymie katedry, gdzie biali mnisi grzmią z ambon. Podobnie jak posmakowawszy odrobinę opium de Quincey na dźwięk jednego tylko pojęcia: „Consul Romanus” przypominał sobie całe stronice Tytusa Liwiusza, widział zbliżający się uroczysty orszak konsulów albo wymarsz armii rzymskiej w pompatycznym ordynku, tak diuk Jan, jeśli przyszło mu na myśl któreś z pojęć teologicznych, dyszał, obserwował falujące rzesze albo zjawy biskupie, odcinające się na rozjarzonym tle bazylik; wizje te więziły go swoim urokiem, przenosiły się ze stulecia w stulecie, aż do nowoczesnych ceremonij religijnych, spowijając des Esseintes'a nieskończonością muzyki smętnej i tkliwej.

Tutaj nie miał już co mędrkować, ulegać dysputom; było to nieokreślone wrażenie szacunku i trwogi; zmysł artystyczny ujarzmiły sceny tak znakomicie wykalkulowane przez katolików; na te wspomnienia dygotały mu nerwy, po czym nagły bunt, błyskawiczny zwrot i rodziły się w nim pomysły potworne, po-

mysły dotyczące owych świętokradztw przewidzianych w instrukcjach dla spowiedników: nadużycie wody święconej i świętych olejów. Naprzeciw Boga Wszemmocnego wyrastał teraz rywal pełen sił, Demon, i ohydna wielkość zdawała się wynikać absolutnie ze zbrodni popełnionej w kościele: oto któryś z wiernych zajądło, w przystępie straszliwej wesołości, uciechy iście sadycznej, bluźni, rzeczy czczone obrzuca obelgami, zohydza do cna; rodzą się szaleństwa magii, czarnych mszy, sabatów, groza opętań i egzorcyzmów; i tak diuk Jan jął się zastanawiać, czy nie dopuszcza się świętokradztwa posiadając przedmioty niegdyś konsekrowane: mszały kościelne, ornaty, kielichy i cyboria; na samą myśl o tym stanie grzeszkowatym zdejmował go rodzaj pychy, i doznawał ulgi; wyłuskiwał zeń radości świętokradcze, odnosiły się one jednak do świętokradztw wątpliwych, a w każdym razie mało ważnych, skoro kochał te przedmioty i nie wypaczał ich przeznaczenia; kołysał się więc myślami przezornymi a tchórzliwymi, ostrożność duszy wzbraniała mu bowiem występków jawnych, odejmowała brawurę konieczną, by popełniać grzechy straszliwe, zamierzone, rzeczywiste.

Z wolna rozwiały się w końcu te sofizmaciki. Diuk Jan ujrzał, w pewnym sensie z wyżyn swojego umysłu, panoramę Kościoła, jego dziedziczny wpływ na ludzkość, datujący się od stuleci; wyobraził sobie Kościół zdesperowany i wspaniały, głoszący człowiekowi grozę życia, niełaskawość losu; nakazujący cierpliwość, skruchę, ducha poświęceń; Kościół, który próbuje opatrywać rany i wskazuje na krwawiące rany Chrystusa; umacnia przywileje Boże, strapionym przyrzeka lepszą część raję; nawołuje twór ludzki, by składał Bogu, niby w całopalnej ofierze, swoje frasunki, doznane zniewagi, swoje nieszczęścia i swoje zgryzo-



ty. Kościół stawał się naprawdę przekonywający: był macierzyński dla nędzarzy, litościwy dla uciśnionych, groźny dla ciemnych i despotów.

Tutaj des Esseintes odzyskiwał grunt pod nogami. Satisfakcjonowała go ta deklaracja praw społecznego brudu, ale tym samym buntował się przeciw nieokreślonej nadziei na życie przyszłe. Schopenhauer był dokładniejszy; chociaż jego doktryna i doktryna Kościoła wywodziły się ze wspólnego stanowiska, Schopenhauer również brał za fundament nieprawość i bezceństwo świata, on również wraz z „Naśladowaniem Jezusa Chrystusa” wznosił ów bolesny okrzyk: „To doprawdy nędza żyć na ziemi!” On również głosił nicość istnienia, zalety samotności, przestrzegał ludzkość, że cokolwiek by uczyniła, w którąkolwiek zwróciła się stronę, pozostanie nieszczęśliwa: biedna z przyczyny cierpienia, które rodzą się z prywatności; bogata, lecz proporcjonalnie do niezwykłej nudy, jaką płodzi dostatek; ale nie zachwalał żadnego uniwersalnego leku, niczym nie mydlił oczu, aby zaradzić nieuniknionemu złu.

Nie częstował was oburzającą doktryną grzechu pierwotnego; nie pokusił się, by wam dowieść, że ten właśnie Bóg jest bogiem wspaniale dobrym — ten, który chroni gałganów, wspomaga głupców, gnębi dzieciństwo, ogłupia starość, karze niewinnych; nie wysławiał dobrodziejstwa Opatrzności, która wymyśliła tę ohydę bezużyteczną, niepojętą, niesprawiedliwą, idiotyczną: ból fizyczny; daleki od prób uzasadnienia — jak czyni to Kościół — konieczności cierpienia i ciężkich doświadczeń, wołał w swoim rozpieklonym miłosierdziu: „Jeśli Bóg stworzył ten świat, wolałbym nie być tym Bogiem; nędzny los świata rozdzierałby mi serce”.

Ach, on jeden tkwił w prawdzie! Czym były wszel-

kie ewangeliczne farmakopeje w porównaniu z jego traktatami higieny duchowej? Nie zamierzał niczego leczyć, nie proponował chorym żadnej rekompensaty, żadnej nadziei; ale jego teoria Pesymizmu była w sumie wielką pocieszycielką umysłów wybranych, dusz znakomitych; ukazując społeczeństwo takim, jakie jest, kładła nacisk na wrodzoną głupotę kobiet, sygnalizowała utarte drogi, ratowała przed rozczarowaniami i pouczała, byśmy ograniczali w miarę wszelkich możliwości nasze nadzieje, a nawet nie podejmowali ich wcale, jeśli czujemy się na siłach, i uważali się w końcu za szczęśliwych, jeśli w nieoczekiwanych momentach nie wałęsają się nam na głowę ogromne dachówki.

Podążająca szlakiem „Naśladowania”, owa teoria docierała również do tego samego miejsca, ale nie błądząc po tajemniczych labiryntach i nieprawdopodobnych drogach: do rezygnacji i bierności.

O ile jednak owa rezygnacja, wywodząca się po prostu ze stwierdzenia opłakanego stanu rzeczy i z niemożności wprowadzenia w nim jakichkolwiek zmian, była dostępna dla bogatych duchem, o tyle trudniej była uchwytna dla ubogich, których rewindykacje i gniew łącznie koła dobroczynna religia.

Refleksje te odejmowały des Esseintes'owi tłoczony ciężar; aforyzmy wielkiego Niemca uspokajały dygot jego myśli, a tymczasem punkty styczne obu tych doktryn wspomagały się wzajem, oddziałując na pamięć: toteż nie mógł zapomnieć owego katolicyzmu, tak poetyckiego i tak dojmującego, w którym był się kąpał i którego substancję chłonał niegdyś wszystkimi porami.

Owe nawroty do wierzeń, owe przecucia wiary dręczyły diuka Jana zwłaszcza od momentu, kiedy zdrowie jego zaczynało się psuć; zbiegły się z zaburzeniami nerwowymi, które pojawiły się znowu.



Od dzieciństwa niemal torturowały go niewyłumaczone idiosynkrazje, dreszcze, które mroziły mu kręgosłup i od których zgrzytał zębami, kiedy na przykład służąca wyzymała przy nim moką bieliznę; objawy te nigdy nie znikły i dziś jeszcze cierpiał naprawdę, słysząc, jak ktoś rozdziera przy nim tkaninę, skrobie paznokciem kawałek kredy, mnie w palcach skrawek mory.

Wybryki kawalerskiego życia, nadmierne nateżenia mózgu pogłębiły szczególnie jego wrodzoną neurozę, rozwodniły krew i tak już osłabłą rodu des Esseintes'ów; w Paryżu musiał kurować hydroterapią ustawiczne drżenie palców, straszliwe bóle, newralgie, które rozdzierały mu twarz na dwoje, dźgały nieutrudzenie skroń, sypały piasek pod powieki, wywoływały nudności ustępujące tylko wtedy, gdy położył się na wznak w ciemnym pokoju.

Przypadłości te znikły stopniowo dzięki życiu bardziej uregulowanemu, spokojniejszemu; teraz narzucały się znów, odmieniając formę, wędrując po całym ciele; bóle opuszczały czaszkę i przechodziły do brzucha wzdętego, twardego, rozpalonym żelazem dźgały trzewia przy wysiłkach bezskutecznych i pilących; potem kaszel nerwowy, chrypliwy, suchy rozpoczynał się zawsze o jednej i tej samej godzinie, trwał zawsze przez jedną i tę samą ilość minut, budził go, dusił w łóżku; na koniec diuk Jan utracił apetyt, bąble gazowe kwaśne i ciepłe, suche ognie nurtowały mu żołądek; rozpierało go to, dławiło, po każdej próbie posiłku nie mógł wytrzymać w zapiętych spodniach, obcisłej kamizelce.

Wyrzekł się alkoholi, kawy, herbaty, ograniczył się do nabiału, zastosował zimne prysznice, faszerował się asafetydą, walerianą, chininą; spróbował nawet wyjść z domu, przespacerować się trochę po polach, ale na-

stąpiły dni deszczowe, które czynią je martwymi i pustymi; zmuszał się do marszu, do ćwiczeń gimnastycznych; chwytając się ostatniej deski ratunku zrezygnował na czas pewien z lektury, ale żarty nudą zdecydował się wreszcie zapelnąć czymś swoje próżniacze życie, urzeczywistnić projekt, który wciąż odkładał przez lenistwo, przez nienawiść do fatygi, od czasu jak zamieszkał w Fontenay.

Niezdolny już do nowych upojeń magiami stylu, do ekscytacji rozkosznymi gusłami rzadkich epitetów, które zachowując całkowitą ścisłość otwierają przecież wyobraźni wtajemniczonych nieskończone zaświaty, postanowił wykończyć umeblowanie domu; sprokurować sobie cenne kwiaty cieplarniane i w ten sposób obdarzyć się zajęciem materialnym, które rozrwałoby go, odprężyło mu nerwy, a mózgowi dało wypoczynek, i spodziewał się także, iż widok osobliwych i wspaniałych odcieni będzie dlań pewnym odszkodowaniem za chimeryczne i realne kolory stylu, zapomniane lub tracone przezeń chwilowo wskutek diety literackiej.

## VIII

Szalał zawsze za kwiatami, lecz owa namiętność, która początkowo — kiedy diuk Jan przebywał w Jutigny — obejmowała kwiaty w ogólności, bez różnic rodzajów czy gatunków, wyklarowała się w końcu, skupiwszy się na jednej tylko kaście.

Od dawna już gardził roślinami wulgarnymi, rozkwitłymi na straganach targów paryskich, w zwilżanych doniczkach, pod zielonymi płachtami lub czerwonymi parasolami.



W tymże czasie, kiedy wysubtelniły się jego gusty literackie i zainteresowania sztuką, sympatyzując już tylko z działami skrupulatnie odsianymi, wydestylowanymi przez umysły niespokojne i wykwiłtne, w tymże również czasie, kiedy utwierdziło się w nim znużenie ideami ogólnie znanymi, afekt diuka Jana do kwiatów zrzucił z siebie wszelki osad, wszelkie naloty, odcedził się i w pewnym sensie wyrektyfikował.

Porównywał chętnie sklep ogrodniczy do mikrokosmosu zapełnionego przedstawicielami wszelkich kategorii społeczeństwa: kwiaty biedne i prostackie, kwiaty z obskurnych klitek, które we właściwym sobie środowisku są tylko na parapetach mansard, tkwiąc korzeniami w blaszankach po mleku i w starych glinianych garnczkach — na przykład lewkonie; kwiaty pretensjonalne, konwencjonalne, głupie, których miejsce jest tylko w porcelanowych manszetach, malowanych przez panienki — na przykład róże; wreszcie kwiaty wysokiej ekstrakcji, takie jak orchidee, delikatne i urocze, drżące i przewrażliwione; kwiaty egzotyczne, wygnane do Paryża, trzymane w ciepłe, w szklanych pałacach; księżne królestwa roślin, żyjące na uboczu, nie mające już nic wspólnego z kwiatami ulicy i florą mieszczańską.

W sumie jednak odczuwał pewną serdeczność, pewną litość dla kwiatów chamskich, znużonych wyziewami ścieków i zlewów w biednych dzielnicach; nie znosił natomiast bukietów zharmonizowanych ze złotokremowymi salonami w nowych kamienicach; rezerwował wreszcie, dla całkowitej radości swoich oczu, rośliny dystygowane, rzadkie, przybyłe z daleka, hodowane z przemyślną troską pod sztucznymi zwrotnikami, w dozowanych podmuchach pieców.

Ale wybór ów, definitywnie ustalony, co się tyczyło kwiatów cieplarnianych, zmodyfikował się sam z siebie pod wpływem pojęć ogólnych diuka Jana i niezmiennych już poglądów, jakie powziął był na wszelkie sprawy; dawniej, w Paryżu, jego naturalna skłonność do sztuczności przywiodła go do poniechania prawdziwych kwiatów dla ich konterfektu, wykonanego wiernie dzięki cudom kauczuku i nici, perkaliny i tafty, bibulek i aksamitów.

Tak więc był właścicielem przepięknej kolekcji tropikalnych roślin, wyrabianych palcami wytrawnych artystów, zgodnie w każdym szczególe z naturą, artystów stwarzających je na nowo, którzy brali kwiat w załączku, nadawali mu potem dojrzałość, imitowali go aż do zwiędnięcia; udawało im się notować najnieśkończeńszą ilość odcieni, cechy najbardziej ulotne kwiatnych przebudzeń i spoczynków; obserwowali układ płatków podrywanych wiatrem albo zmiętych deszczem; na kielichy poranne rzucali krople rosy z gumy arabskiej; kształtowali kwiaty w pełnym rozkwicie, kiedy szypułki uginają się pod ciężarem soków albo gdy wyschnięta łodyga wystrzela w górę, kielich rogowacieje, marnieją płatki i opadają liście.

Owa zadziwiająca sztuka urzekała go długo; ale teraz marzył o kombinacjach innej flory.

Po kwiatkach sztucznych, małpujących prawdziwe, zapragnął kwiatów naturalnych, imitujących kwiaty fałszywe.

Tam pokierował kroki; nie musiał wcale szukać dłużej, chodzić daleko, gdyż dom jego stał w samym środku krainy wielkich ogrodników. Odwiedził więc po prostu cieplarnie przy alei Châtillon i w dolinie Aunay, wrócił utrudzony, z pustą sakiewką, zachwycony szaleństwami roślinności, które był zobaczył,



i myślał już jedynie o zakupionych gatunkach, a wspomnienia kompozycji kwiatnych nie dawały mu chwili spokoju.

Po dwóch dniach nadjechały wozy.

Ze spisem w ręku des Esseintes wyczytywał, sprawdzał swe zakupy, jeden po drugim.

Ogrodnicy wyładowali z wozów kolekcję *Caladium*, które na baniastych łodygach wspierały liście włochate i olbrzymie, kształtu serc; chociaż wszystkie te rośliny łączyło pewne podobieństwo rodzinne, nie powtarzała się żadna.

Były wśród nich nadzwyczajne: różowawe, takie jak *Virginalis*, które zdawały się wykrojone z ceraty, z gumowanej angielskiej tafty; białe jak śnieg, na przykład *Albana*, która zdawała się wycięta z przezroczystej opłucnej wołu albo z pęcherza wieprzowego o przejrzystości przymglonej; te lub owe, *Madame Mame* zwłaszcza, imitowały cynk, parodiowały kawałki wytłaczanego metalu, zabarwione zielenią malachitową, przybrudzone kroplami farby olejnej, cętkowane minią i blejwajsem; inne znów, jak *Bosfor*, dawały złudzenie kalikotu nakrochmalonego, z garbkami szkarłatu i zieleni mirtowej; jeszcze inne, jak *Jutrzenka Północy*, rozpościerały liście barwy surowego mięsa, pręgowane purpurowymi zębrowaniami, fioletowymi włókienkami, liście nabrzmiące, ociekające kiepskim winem i krwią.

*Albana* i *Aurora* wyobrażały dwie skrajne cechy temperamentu, apopleksję i blednicę tej rośliny.

Ogrodnicy wnieśli jeszcze następne odmiany; tym razem udawały one sztuczną skórę, pooraną imitacjami żył; a większość, jak gdyby zżarta syfilisem i trądem, prezentowała tkanę sinawą w marmurkowate czerwone plamki i w parchaty deseń; inne miały ja-skraworóżową tonację świeżych blizn albo brunatność

zasychających strupów; inne pieniały się fermentem oparzeń, jątrzyły od przypaleń; inne jeszcze ukazywały naskórek włochaty, poświdrowany wrzodami, urozmaicony rakowatymi naroślami; jeszcze inne, okutane jak gdyby w bandaż, oblepiało czarne rtęciowe sadło i zielona maść z belladony, a były naćkane pyłkami kurzu, tęczącymi żółto drobinami pudru jodoformowego.

Kwiaty te, zgromadzone, uderzyły des Esseintes'a jeszcze większą potwornością, kiedy bowiem zadziwiły go po raz pierwszy, były pomieszane z innymi, w szpitalu jakby, rozrzucone po szklonych salach cieplarni.

— Do licha! — mruknął rozentuzjasmowany.

Następna roślina, kształtem podobna do *Caladium*, *Alocasia metallica*, wprowadziła go w nowe uniesienie. Była powleczone warstwą brązu zielonawego, po którym ślizgały się srebrne odbłyски: arcydzieło sztuczności; powiedziałbyś, że zdun wyciął ostrze lancy z kawałka rury od pieca.

Potem ogrodnicy wyładowali kepe romboidalnych liści, koloru zielonobutelkowego; ze środka każdego wyrastał pręt, u którego szczytu podrygiwał as kierowy, lakierowany niczym pieprz turecki; i jak gdyby na kpinę ze wszystkich znanych gatunków roślin, ów as, intensywnie szkarłatny, wypuszczał ze środka ogon mięsisty, mechaty, biało-żółty; były zaś te ogony rozmaite: jedne wystoperczały się prosto, drugie skręcały się grajcarkowato u nasady serca, przypominając ogon świński.

Było to *Anthurium*, z rodziny obrazkowatych, roślina, którą Francja niedawno sprowadziła z Kolumbii; zaliczało się do gatunku, skąd pochodzi również *Amorphophallus*, roślina kochinchińska, o liściach łopatkowatych i długich, czarnych łodygach pokiereszowa-



nych szramami, podobnych nadwerężonemu członkowi Murzyna.

Des Esseintes nie posiadał się z radości.

Wyładowywano następne potwory: *Echinopsis* wyłaniała spomiędzy waciatych kompresów kwiat o różowości nieskromnego kikuta; *Nidularium*, rozwierając pęk szabel, ziało strzępiastym wnętrzem; *Tillandsia Lindenii* wyciągała wyszczerbione drapaki barwy moszczu winnego; *Cypripedium*, którego kontury zawile, niezborne, wymyślił uczony wariat. Roślina ta przypominała papucę albo koszyczek, nad którym sterczał język ludzki, naprężony, poddarty, prezentujący się od spodu, taki, jaki wyobrażają plansze w książkach poświęconych chorobom gardła i jamy ustnej; dwa skrzydełka, czerwone niczym jagoda jujuby, zapożyczone, powiedziałbyś, z dziecinnego wiatraczka, uzupełniały tę dziwną budowlę, złożoną ze spodu języka barwy szaroczerwonej i z połyskliwej torebki, której wewnątrz ociekało śluzowatym klejem.

Nie mógł oderwać oczu od tej nieprawdopodobnej orchidei rodem z Indyj; ogrodnicy, znudzeni momentami jego zachwyceń, jęli odczytywać głośno nazwy roślin z etykietek powtykanych w doniczki, które wnosili.

Des Esseintes spoglądał wystraszony, słysząc nazwy przykre dla ucha: *Encephalartos horridus*, gigantyczny żelazny karczoch, pomalowany rdzawo, podobne umieszcza się na bramach zamkowych, aby nikt wdrapać się nie mógł; *Cocos micania*, rodzaj palmy ząbkowanej i kruchej, zewsząd okolonej wysokimi liśćmi przypominającymi pagaje i wiosła; *Zamia Lehmani*, kolosalny ananas, wspaniale kopiasty, posadzony w leśnej ziemi, z czubem nastyrmanym brodatymi oszczepami i groźnymi strzałami; *Cibotium spectabile*, przewyższając pobratymców szaleństwem budowy, rzu-

cało wyzwanie snom: spośród palmowatego listowia wystrzelał olbrzymi ogon orangutana, ogon kosmaty i brunatny, zakręcony u końca w pastorał biskupi.

W istocie jednak diuk Jan zlekceważył te potworki, czekał bowiem z niecierpliwością na serię roślin, które urzekały go nade wszystko: na gule roślinne — florę mięsożerną, jak antylskie muchołówki o kosmkowatych czeluściach wydzielających sok trawienny, wyposażonych w haczykowate kolce, które, zaginając się, tworzą kratę nad uwięzionym owadem; jak rosiczka z torfowisk, przystrojona gruczołkowatym kutnerem; jak *Sarracenia* i *Cephalotus*, które rozwierają zachłanne różki, zdolne pożerać i trawić prawdziwe mięso; jak wreszcie *Nepentes* — dzbanecznik, którego fantazyjność przekracza znane granice form najdziwniejszych.

Nie mógł się nacieszyć obracając raz po raz w rękach doniczkę, gdzie kołysała się ta ekstrawagancja flory. Naśladowała kauczuk liściem, jak u niego wydłużonym, o zieleni metalicznej i ciemnej, ale ów liść wypuszczał z końca zieloną nić, pępownię, najpierw obwisłą, dalej podgiętą i dźwigającą urnę zieloną, marmurowaną fioletem, rodzaj niemieckiej fajki albo gniazdo cudacznego ptaka, które huśtało się leniwie, ukazując wewnątrz wymoszczone włosiem.

— Zaradna roślinka — mruknął des Esseintes.

Musiał sobie przerwać ową radość, ogrodnicy bowiem, spiesząc się już do domu, opróżniali dna wozów i ustawiali w nieładzie begonie pękate i krocienie czarne, jakby z blachy, nakrapiane czerwienią ołowianą.

Wtedy spostrzegł, że jeszcze jedna nazwa pozostała na liście: *Cattleya* z Nowej Granady; wskazano mu skrzydlaty dzwoneczek barwy anemicznie liliowej, lilaróż prawie zgaszony; podszedł, zbliżył nos i odsko-



czył; kwiat wydzielał woń lakierowanej sosny, pudełka z zabawkami, przypominał koszmar noworoczny.

Pomyślał, że byłby dobrze zrobił nie ufając mu; pożałował niemal, że przyjął między bezwonne rośliny, które już posiadał, tę orchideę pachnącą najprzykrzejszymi ze wspomnień.

Nareszcie sam. Spojrzał na tę powódź roślinności pieniająca się w przedsionku; rośliny mieszały się ze sobą, krzyżowały szpady, krysy, włócznie, układały się w kształt zielonej zbrojowni, nad którą, niczym barbarzyńskie buńczuki, kołysały się kwiaty o barwach twardych i oślepiających.

W westybulu prószyl zmierzch; po chwili z ciemnego kąta wypełzło, tuż nad posadzką, światło łagodne i białe.

Dosięgnęło diuka Jana, który dostrzegł, że to *Rhizomorphos* rzucają, oddychając, owe mdłe światełka lampek nocnych.

„Rośliny są jednak zdumiewające” — pomyślał; po czym cofnął się i jednym rzutem oka ogarnął skupisko: osiągnął swój cel; żadna z roślin nie wydawała się rzeczywista; tkaninę, papier, porcelanę, metal — człowiek jak gdyby pożyczył przyrodzie, żeby mogła fabrykować swoje monstra. A kiedy już nie była zdolna imitować dzieła ludzkiego, musiała kopiować błony wewnętrzne zwierząt, zapożyczać jaskrawych barw od ich gnijącego ścierwa, powtarzać wspaniałą ohydę gangren.

„Wszystko jest jedynie syfilisem” — dumał des Esseintes nie odrywając zachwyconych oczu od straszliwych pręgowań *Caladium*, które pieścił promień światła dziennego. I stanęła przed nim nagle wizja ludzkości toczonej pradawnym wirusem. Od początków świata, z ojca na syna, wszelkie stworzenia przekazy-

wały sobie wzajem niezmożoną schedę, wieczystą chorobę, która żarła przodków człowieka, wdrażała się nawet w kości prymatów ekshumowanych ostatnio!

Przebiegała ze stulecia na stulecie, nigdy nie słabnąc; i dziś jeszcze sroży się, utajona w podstępnych cierpieniach, maskując się symptomami migren, waporów i podagry; od czasu do czasu, wydrapując się na powierzchnię, najbardziej lubi atakować ludzi niechlujnych i niedożywionych, wybucha w sztukach złota, zdobi, jak przez ironię, cekinami wschodniej tancerki czoła biedaków, wytrawia im na skórze — szczyt nędzy — symbol pieniądza i dobrobytu!

I oto pojawia się znowu w swojej pierwotnej świetności na kolorowanych listowiacz roślin!

„Co prawda — dumał wciąż des Esseintes, powracając teraz do początku swoich rozważań — co prawda w większości przypadków przyroda sama w sobie nie jest zdolna plócić gatunków aż tak niezdrowych i aż tak przewrotnych; dostarcza surowca, nasion i gleby, dostarcza macicy żywiącej i składników pierwszych roślinom, które człowiek następnie hoduje, modeluje, maluje i rzeźbi wedle swoich upodobań”.

Chociaż tak uparta, głupkowata i ograniczona, poddała się w końcu, a wówczas jej władca mógł już drogą reakcyj chemicznych zmieniać substancję ziemi, wykorzystywać długo dojrzewające kombinacje, krzyżówki z wolna przygotowywane, posługiwać się przemysłną okulizacją, metodycznym szczepieniem; i dziś wyprowadza różnobarwne kwiaty z jednej i tej samej gałęzi, wynajduje dla niej nowe odcienie, modyfikuje do woli odwieczny kształt roślin, ociosuje formy prymitywne, wykańcza szkice, znaczy je swoim stemplem, wyciska na nich pieczęć swojej sztuki.

— Nie ma co mówić — mruknął streszczając te refleksje — za kilka lat człowiek zdoła wprowadzić



selekcję, na którą leniwa przyroda musiałaby strawić stulecia; stanowczo, w obecnej dobie ogrodnicy są jedynymi i prawdziwymi artystami.

Zmęczył się trochę diuk Jan, duszno mu było w tej atmosferze zamkniętych roślin; zbiły go z nóg wyprawy, w jakie wyruszał był od paru dni; zbyt gwałtowny nastąpił przeskok między świeżym powietrzem a ciepłą duchotką mieszkania, między pustelnicznym bezruchem a ruchem wśród otwartej przestrzeni; opuścił westybul i wyciągnął się na łóżku; ale pochłonięty jednym jedynym tematem umysł, choć senny już, jak nakręcona sprężyna nadal rozwijał swój wątek i wkrótce stoczył się w posępne szaleństwa koszmaru.

Znalazł się o zmierzchu na dukcie przecinającym gąszcz leśny; szedł obok kobiety, której nie znał i nie widział nigdy przedtem; była charława, włosy miała konopiaste, twarz buldoga, piegowate policzki, zęby koślawe i wystoperczone spod płaskiego nosa. Czarny rurkowany czepiec, ozdobiony rozetą ze wstążek, dopełniał stroju, który składał się z białego fartucha służącej, długiej chustki skrzyżowanej na piersi i niskich butów pruskiego żołnierza.

Minę miała wędrowną kramarki, powierzchowność — cyrkówki jarmarcznej.

Zastanawiał się, kim jest ta kobieta — czując, że z dawien dawna już weszła, wrosła w jego ścisłą prywatność, w jego życie; daremnie medytował nad jej rodowodem, imieniem, rzemiosłem, racją bytu; żadne wspomnienie nie wyjaśniało mu tego związku niewytłumaczonego, a jednak oczywistego.

Grzebał jeszcze w pamięci, gdy nagle dziwaczna postać ukazała się przed nimi na koniu: kłusowała z minutę, po czym obróciła się w siodle.

Wtedy dech w nim zamarł i groza przygwoździła go do miejsca. Ta twarz mętna, bezpłciowa, była zielona,

wśród rozwydrzonych wiek tkwiły źrenice jasnoniebieskie i zimne. Włosy w wieniec przost; ze złachmanionych rogawców wynerzały się ramiona nadzwyczaj chude, ramiona szkieletu, nagie aż do łokci, rozdygotane gorączką, a kościste golenie klekotały w buciach z cholewami, zbyt obszernych.

Ohydne spojrzenie wlepiało się w des Esseintes'a, przenikało go, mroziło aż do szpiku; jeszcze bardziej oszalała ze strachu, kobieta-buldog przywarła doń, odrzuciwszy w tył głowę na zeszywniałej szyi, zawyla wężąc śmierć.

On zaś pojął natychmiast sens przerażającej wizji. Miał przed oczyma obraz Wielkiej Francy.

Gnany trwogą, półprzytomny, rzucił się w boczną ścieżkę i pędem dotarł do jakiegoś pawilonu, który wznosił się wśród hebanków joruba, na lewo; osunął się na krzesło w jakimś korytarzu.

Po dłuższej chwili, kiedy zaczynał już odzyskiwać oddech, uniósł głowę usłyszawszy szlochanie; kobieta-buldog stała przed nim; żalosna i groteskowa, zalewała się rzewnymi łzami powiadając, że w ucieczce pogubiła zęby — z kieszeni swojego kuchennego fartucha wyciągała gliniane fajki, łamała je i pokruszone, białe rurczki wtykała w dziury dziąseł.

„Coś podobnego! Ależ to głupota — pomyślał des Esseintes — przecież te rurki będą wciąż wypadać” — i rzeczywiście wysypywały się ze szczęki, jedna po drugiej.

W tymże momencie zbliżył się galop koński. Koszmarny strach chwycił des Esseintes'a; nogi ugięły się pod nim; galop stawał się coraz szybszy; diuk Jan zerwał się smagnięty biczem desperacji; przyskoczył do kobiety depczącej teraz po cybuchach fajek, zaklął ją, żeby się uspokoiła i nie wydała ich obojga stukotem butów. Jęła się z nim szamotać; wciągnął ją w



głęb korytarza i przydusił, by stłumić jej wrzaski; nagle spostrzegł drzwi szynczku o zielonych zazdrostkach, drzwi bez klamki, pchnął je, byłby wpadł do środka, ale stanął jak wryty.

Przed nim, na szerokiej polanie, w promieniach księżycy, gromada pajaców białych i olbrzymich wykonywała królicze skoki.

Łzy bezsilności zakręciły mu się w oczach: nigdy, nigdy nie zdoła przekroczyć tego progu. „Zmasakrują mnie” — pomyślał, a jak gdyby na usprawiedliwienie jego lęków pomnażała się wciąż ta zgraja; pajace fikalili kozły, wypełniając teraz nimi cały horyzont, całe niebo, w które trykali głowami i walili nogami na przemian.

Wtedy nacichł tętent konia. Zwierzę było już tu, za okrągłym okienkiem, w korytarzu; odchodząc od zmysłów des Esseintes obejrzał się i zobaczył przez okienko uszy nastawione na sztorc, żółte zęby i chrapy, z których dymiała para cuchnąca fenolem.

Zesłabł do cna, zrezygnował z walki, z ucieczki; zamknął oczy, żeby nie widzieć ohydneho wzroku Francys, który ciążył na nim poprzez ścianę: krzyżował z nią jednak spojrzenie mimo osłony powiek, czuł, jak ten wzrok ześlizguje mu się po spotniałych łądźwiach, po ciele, na którym włos jeżył się w zaciekach zimnego potu. Oczekiwał najgorszego, spodziewał się nawet, że skończy dobity miłosiernym sztychem; minęły wieki, które trwały zapewne minutę; drżąc otworzył oczy. Wszystko się rozwiało, bez przejścia, jak gdyby perspektywa zmieniła się raptem, jak gdyby dzięki trikowi teatralnemu, krajobraz mineralny, okrutny, uciekał w dal, pejzaż sinawy, pustynny, poorany, martwy; światło padało na to miejsce rozpaczy, światło spokojne, białe, podobne migotom fosforu rozpuszczonego w oliwie.

Na ziemi poruszyło się coś, co przeobraziło się w kobietę bardzo bladą, nagą, o nogach opiętych zielonymi jedwabnymi pończochami.

Wpatrywał się w nią z zaciekawieniem; niby skędzierzawione zbyt gorącymi rurkami, włosy jej kręciły się i łamały u końców; uszy nieznamojem zwiślały jak urny *Nepenthes*; odcienie gotowanej cieleciny lśniły w jej rozdętych nozdrzach. Wzrok jej omdlewał, wezwiała go szeptem.

Nie zdążył odpowiedzieć, kobieta bowiem przeobrażała się już; rozplomienione barwy przemykały w jej źrenicach; wargi nasycaly się wściekłą czerwienią — czerwienią *Anthurium*; rozjarzyły się sutki, polakierowane jak dwa purpurowe strąki papryki.

Tknięty intuicją pomyślał: „To Kwiat”; i mania rozumująca przetrwała wśród koszmaru, zboczyła tylko, podobnie jak w ów dzień wegetacji wśród zropiałych jadów.

Wtedy dostrzegł przerażające zaognienie warg i piersi, odkrył na skórze placki brązowe i miedziane — cofnął się więc, wystraszony śmiertelnie; ale, zafascynowany okiem tej kobiety, jął znów zbliżać się z wolna, starał się wbijać obcas w ziemię, by nie posuwać się naprzód, przewracał się, podnosił się jednak i zmierzał ku niej; dotykał już jej prawie, kiedy czarne amorfofallusy wyskoczyły zewsząd i rzuciły się na ten brzuch, który podnosił się i opadał jak morze. Rozsuwał je, odpychał doznając bezgranicznego niesmaku, kiedy łodygi ich, ciepłe i jędrne, mrowiły mu się między palcami; po czym nagle znikły ohydne rośliny i dwoje ramion próbowało opleść diuka Jana; straszliwy lęk szaleńczo rozdzwonił mu serce, oczy bowiem, szkaradne oczy kobiety, nabrały jasnego i zimnego błękitu, stały się groźne. Uczynił nadludzki wysiłek, żeby wyrwać się z jej uścisków, lecz ona przy-



trzymała go przemożnym ruchem, schwyciła, i ujrzał osłupiały, jak pod udami wzniesionymi w górę rozkwita okrutne *Nidularium* i krwawiąc zieje swym otworem spośród szablistych ostrzy.

Ocierał się ciałem o wstrętą ranę tej rośliny; czuł, że już umiera, gdy ocknął się raptownie i, zdyszany, zmrożony, oszalały ze strachu westchnął:

— Ach! Dzięki Bogu to tylko sen.

## IX

Koszmary te powtórzyły się; bał się zasypiać. Całymi godzinami leżał wyciągnięty na łóżku, bądź dręczony uporczywą bezsennością i gorączkowym niepokojem, bądź wydany na pastwę obrzydliwych snów, przerywanych wzdrygnięciami, jak ktoś, kto utracił grunt pod nogami skoziłkowuje ze schodów, stacza się, zatrzymać się nie mogąc, na dno przepaści.

Neuroza, przez kilka dni odrętwiała, znów brała górę, w nowym kształcie okazywała się gwałtowniejsza i zawziętsza.

Przeszkadzały mu teraz kołdry; dusił się pod prześcieradłami, miał mrówki w całym ciele, paliła go krew, pchły kłuły po nogach; do tych symptomów przyłączył się wkrótce tępy ból w szczękach i wrażenie kleszczowatego ucisku w skroniach.

Niepokoje wzrosły; nieszczęściem zbrakło środków, które ujarzmiłyby nieubłaganą chorobę. Bez powodzenia spróbował urządzić w łazience aparaturę wodoleczniczą. Dom stał za wysoko, by doprowadzić tu wodę, trudno było nawet ją zdobyć w dostatecznych ilościach, w miasteczku bowiem wodociągi funkcjo-

nowały skąpo, a w pewnych godzinach nie działały wcale; nie chłostany ostrymi strumieniami, strumieniami cienkimi, które rozplaszczając się i rozpryskując na kręgach stosu pacierzowego mogły, one jedynie, likwidować bezsenność i przywracać spokój, diuk Jan musiał zadowalać się pobieżnymi polewaniami w wannie albo w obszernej miednicy, a kiedy już po prostu ochlapał się zimną wodą, służący wprawiał w ruch włosianą rękawicę, z energią nacierając pana.

Lecz owa imitacja pryszniców nie hamowała bynajmniej postępów neurozy; des Esseintes odczuwał najwyższą parogodziną ulgę, drogo skądinąd opłacaną nowymi atakami, które wracały pędem, gwałtowniejsze i zjadliwsze.

Wpadł w bezgraniczną nudę; szezła radość posiadania ekstrawaganckiej flory; zblazowany był już jej fakturą, jej odcieniami; po czym większość roślin wyginęła, chociaż otaczał je staraniem; kazał powynosić je z pokojów, ale że pobudliwość jego sięgnęła szczytu, irytował się nie widząc ich teraz; oko jego raniła pustka, jaką zostawiły po sobie.

Ażeby rozerwać się i zabić nieskończone godziny, powrócił do swoich tek z rycinami i uporządkował sztychy Goyi; były tam pierwsze odbitki niektórych plansz z cyklu „Caprichos”: odbitki próbne, rozpoznawalne po czerwonym zabarwieniu, które skupował po licytacjach na wagę złota, poprawiły mu humor i tak zatonął w nich podążając za fantazją malarza, urzeczony scenami zdolnymi przyprawić o zawrót głowy — gdzie czarownice jeździły okrakiem na kotach, gdzie kobiety usiłowały wyrwać zęby wisielcom, gdzie roiło się od bandytów, sukubów, demonów i karłów.

Następnie przejrzał wszystkie inne serie jego akwafort i akwatint. „Przysłowia” o grozie tak makabrycz-



nej, obrazy wojny, pełne okrutnej wściekłości, wreszcie planszę zatytułowaną „Garot”: pieścił okiem jej cudowną próbną odbitkę, wytłoczoną na mięsistym papierze, nie klejonym, o widocznym żeberkowaniu.

Usidlala go dzika werwa, drapieżny, szaleńczy talent Goyi; lecz powszechny podziw, jaki zyskały jego dzieła, zniechęcał jednak po trosze diuka Jana i dlatego nie kazał oprawiać ich od lat, w obawie, aby na widok tych rycin pierwszy lepszy dureń nie uznał za konieczne sypnąć bredniami, porwany sztucznym, całkowicie wyuczonym entuzjazmem.

Podobnie było z jego Rembrandtami, które w skrytości oglądał od czasu do czasu; bo i rzeczywiście, tak jak najpiękniejsza melodia pod słońcem staje się wulgarna, nieznośna, z chwilą kiedy zaczyna nucić ją publika i wygrywać katarynka, podobnie dzieło sztuki, które nie pozostaje obojętne dla fałszywych artystów, którego bynajmniej nie kwestionują głupcy, któremu nie wystarcza, że budzi zachwyt wśród nielicznych tylko wybranych, staje się, dlatego właśnie, dla wtajemniczonych skażone, banalne, niemal wstrętne.

Ta prostytutka zachwytów była zresztą jednym z największych utrapień w życiu diuka Jana; niepojęte sukcesy psuły mu raz na zawsze obrazy i książki niegdyś umiłowane; zaznajamiając się z ogólną aprobatą sądu, odkrywał w nich na koniec niedostrzegalne skazy i tak odrzucał to lub owo z arcydzieł, medytując, czy nie tępieje mu węch i czy nie pomylił się aby.

Pozamykał raz jeszcze swoje teki, po czym, zdeorientowany, zapadł w spleen. Ażeby zmienić tok myśli, wziął się do lektur łagodzących; spróbował, pragnąc ostudzić sobie mózg, sztuki psiankowej, a znalazł ją w powieściach Dickensa, tak krzepiących dla re-

konwalescentów i wieczystych skwaszeńców, których sfatygowały dzieła bardziej tężne albo bogatsze w fosfaty.

Ale tomy te nie odniosły pożądanego skutku, wręcz przeciwnie: czyści, zakochani młodzieńcy, heroiny protestanckie, w sukniach zapiętych pod samą szyję, kochali się wśród gwiazd, umieli tylko spuszczać oczy, rumienić się, płakać ze szczęścia i wymieniać uściski rąk. Zaraz też owa przesada w czystości zagnała go w sytuację odwrotną; mocą prawa kontrastu przeskończył z jednego krańca na drugi, przypomniał sobie sceny wibrujące i jurne, zadumał się nad figlikami sta-deł, nad pocałunkami mieszanymi, pocałunkami gołę-bimi, jak określa je pruderia kościelna, kiedy wargi wpijają się w siebie.

Przerwał lekturę i z dala od świętoszkowatej Anglii jął rozsmakowywać się w igraszkach libertyńskich i sprośnych przygrywkach, które gani Kościół; przeżył ostry wstrząs: w jego mózgu i ciele zmartwychwstał popęd płciowy, którego atrofię diuk Jan uznał był za definitywną; samotność podsycala w nim jeszcze rozstrój nerwowy; i znów natarły nań obsesje nie religijne już nawet: zaczęły go kusić uczynki i grzechy przez religię potępiane; obchodziło go już tylko to, co zazwyczaj stanowiło przedmiot jego błagalnych modłów i lęków: cielesność, nieczuła od wielu miesięcy, drgnęła najsampierw, podminowana denerwacją wynikłą z nabożnych lektur, po czym zbudziła się, wśród ataku neurozy zerwała się na równe nogi, a rozjątrzona tym nagłym zwrotem podniosła bunt, wskrzeszając dawne bodźce zmysłowe, i tak pan des Esseintes roztoplał się we wspomnieniu swoich zastarzałych kloak.

Wstał i melancholijnie otworzył wermelowe puzderko z wieczkiem wysadzonym awanturynami.



*cukierki powodujące wspomnienia*  
Było pełne fioletowych cukierków; wziął jeden z nich i obracając go w palcach rozmyślał o szczególnych własnościach tej kandyzowanej łakotki, obsypanej cukrem jak szronem; dawno już temu, kiedy zdeklarowała się jego impotencja i kiedy dumał o kobietach bez goryczy, bez żalości i bez pożądań, kładł jeden z owych bonbonów na języku, czekał, aż się rozpuści — i nagle wyłaniały się z bezmierną słodyczą wspomnienia bardzo zatarte, bardzo rozświetniające, minionych oparów.

W skład owych cukierków, które wynalazł Siraudin i ochrzcił śmieszoną nazwą „Perełek pirenejskich”, wchodziła kropla woni orchidei *Sarcanthus* i kropla esencji kobiecej, skryształizowanej w kostce cukru; wchłaniane przez brodawki jamy ustnej, przywoływały wspomnienie wody zatęchzonej rzadkimi gatunkami octów, pocałunków nader głębokich, do cna przesyconych aromatami.

Uśmiechał się zazwyczaj, wdychając ów zapach miłosny, ów cień pieszczot, który w jego mózgu meblował zakątek nagości, wskrzeszając na sekundę smak ongiś uwielbiany niektórych kobiet; ale dziś cukierki już nie działały z tłumikiem, nie ograniczały się do wskrzeszenia obrazu wszeteczeństw dalekich, w pamięci zatartych raczej; przeciwnie, rozdzierały zasłonę, rzucały mu przed oczy rzeczywistość cielesną, natarczywą i brutalną.

Na czele korowodu metres, któremu smak cukierka pomagał zarysować się mocnym konturem, zatrzymała się jedna z nich, ukazując zęby długie i białe, nos rzeźbiony linią ukośną, skórę atlasową, różowiutką, mysie oczka, włosy złote, krótko przystrzyżone.

Była to miss Urania, Amerykanka o ciele dorodnym, nogach umięśnionych, mięśniach stalowych, ramionach żelaznych.

Występowała w cyrku jako jedna z najbardziej renomowanych akrobatek.

W ciągu długich wieczorów des Esseintes obserwował ją uważnie; początkowo wydawała mu się taka, jaką była: dobrze zbudowana i piękna, dławiających pragnień nie budziła w nim wcale; nie miała w sobie nic, co zalecałoby ją pożądliwości zblazowania; a jednak diuk Jan powracał do cyrku wabiony lichem wieczeniem, pchany sentymentem do określenia trudnym.

W toku tych obserwacji rodziły się z wolna szczególne pomysły; w miarę jak podziwiał coraz bardziej siłę i zwinność cyrkówki, dostrzegał, iż dokonywała się w niej sztuczna przemiana płci; zanikały stopniowo jej urocze małpiarstwa i dziubdziuleństwa samicy, na ich zaś miejscu rozwijały się jurne i potężne wdzięki samca; słowem: najpierw była kobietą, po czym nastąpił okres wahań, kiedy sąsiadowała z *androgynie*, w końcu wydawała się decydować, rektyfikować, stawać się kompletnie mężczyzną.

„W takim razie, skoro chłop na schwał zadurza się w wątlym dziewczątku, ta kłownica winna z naturalnej skłonności pokochać istotę słabą, zdegenerowaną, podobną do mnie, zdechlaka” — pomyślał des Esseintes; przyglądając się sobie, puszczając wodze duchowi porównań, jał ze swej strony odnosić wrażenie, że kobiecieje! i niezłomnie zapragnął osiąść cyrkówkę, ni by blednicowata panienska, która wzdycha do chomowatego Herkulesa o ramionach zdolnych zmiażdżyć ją w uścisku.

Rozegzaltowała go ta zamiana płci z miss Urania. „Jesteśmy przeznaczeni dla siebie” — zapewniał; do tego nagłego zachwyty siłą brutalną, aż dotąd nie cierpianą, przyłączył się na koniec urok bagna, niskiej prostytucji, szczęśliwej, kiedy drogo płaci sutenerowi za jego lajdacką tkliwość.



Zanim jednak zdecydował się uwieść akrobatkę, wejść, jeśli to możliwe, w jądro rzeczywistości, wzmacniał swoje marzenia, wkładając w nieświadome kobiece usta serie swych własnych myśli, odczytywał swoje intencje w niezmiennym i martwym uśmiechu histrionki fikającej kozły na trapezie.

Pewnego pięknego wieczoru postanowił uciec się do pośrednictwa bileterek. Miss Urania uznała za konieczne ustąpić dopiero po wstępnych zalotach; nie mniej okazała się dość łatwa, dotarło bowiem do jej uszu, że des Esseintes jest bogaty i że samo jego nazwisko dopomaga kobietom w karierze.

Ale kiedy tylko spełniły się jego życzenia, diuk Jan doznał rozpaczliwego zawodu. Wyobraził sobie Amerykanekę głupią i bestialską niczym zapaśnik jarmarczny, a tu jej kretynstwo okazało się, nieszczęściem, typowo kobiece. Z pewnością brak jej było edukacji i taktu, rozsądku i dowcipu, a przy stole wykazywała się namiętą zwierzęcą żarłocznością, ale przetrwały w niej wszelkie naiwne sentymenta kobiece; cechowała ją gadatliwość i titipulstwo dziewczuch rozmilowanych w bredni; przepoczwarczanie się pierwiastków kobiecych w męskie nie istniało w jej ciele.

Ponadto cechowała ją w łóżku powściągliwość purytańska, toteż nie popisywała się żadnymi ekscesami siłacza, których pożądał lękając się ich zarazem, nie podlegała perturbacjom jego płci, ku czemu przez moment żywił był nadzieję. Gdyby wysondował dobrze bezprzedmiotowość swoich chuci, może dostrzegłby jednak skłonność do istoty delikatnej i wątlej, o temperamencie krańcowo przeciwnym, ale też odkryłby wówczas szczególny pociąg nie do dziewczątka, lecz do wesołego cherlaka, cudacznego i chudego kłowna.

Des Esseintes nieuchronnie musiał wrócić do swej na chwilę zapomnianej roli mężczyzny; przestał do-

*miss Urania*  
znawać wrażeń kobieciątkowości, słabości, płatnej niby-opieki, a nawet lęku; iluzja nie była już możliwa; miss Urania była metresą pospolitą i w niczym nie uzasadniającą ciekawości mózgowej, jaką wzbu-  
*impotent*  
dziła.

Chociaż powab jej ciała, jędrnego i przepysznej urody, zadziwił na początku i przywiązał des Esseintes'a, diuk Jan postarał się szybko skończyć z tym związkiem, przyspieszył zerwanie, jego przedwczesna impotencja wzmagala się bowiem wskutek lodowatych pieszczot i pruderyjnych przyzwoleń tej kobiety.

A przecież w nie kończącym się orszaku wszeteczeństw ona pierwsza zatrzymała się przed nim; w gruncie rzeczy jednak, jeśli intensywniej wraziła mu się w pamięć aniżeli tłum innych, których powaby mniej były zwodnicze, a rozkosze, jakich dostarczały, mniej skąpe, to dlatego, że zapach jej trącił zwierzęciem jurnym i zdrowym; wspaniałość tego zdrowia była ni mniej, ni więcej tylko na antypodach owej anemii trawionej perfumami, której subtelny odorek diuk Jan odnajdował w delikatnych cukierkach Siraudina.

Tak więc, niczym wonna antyteza, miss Urania narzucała się nieuchronnie jego wspomnieniu, ale natychmiast niemal des Esseintes, niemile dotknięty niespodzianką zapachu naturalnego i pierwotnego, wracał do wyziewów cywilizowanych i nic go już nie powstrzymywało od myśli o innych metresach; tłoczyły się stadem w jego mózgu, nad wszystkimi jednak górowała teraz kobieta, której monstrualność tak ogromnie kontentowała go przez wiele miesięcy.

*2* Drobną i suchą, czarnooką brunetką o włosach wypomadowanych, jak gdyby pędzlem wylakierowanych, z chłopięcym przedziałkiem tuż przy skroni. Poznał ją w kabarecie, gdzie popisywała się brzuchomówstwem. *druga*



Przed publiką osłupiała, zdetonowaną jej występami, rozkazywała odzywać się po kolei tekturowym dzieciom porozmieszczanym tam i sam na krzesłach; gwarzyła z manekinami ożywiając je aż do złudzenia, na sali zaś, wokół żyrandola, brzęczały muchy, szemrały głosy milczących widzów, którzy zdumieni cofali się instynktownie w krzesłach, kiedy ocierał się o nich turkot niewidzialnych pojazdów, pędzących od wejścia na scenę.

Des Esseintes był zafascynowany; zakiełkowała w nim masa pomysłów; przede wszystkim pokwapił się uwieść brzuchomówczynię, bombardując ją banknotami, a podobala mu się choćby mocą samego jej kontrastu z Amerykanką. Brunetka, ociekająca miszkulancjami perfum upajającymi i niezdrowymi, płonęła niczym krater; mimo wszelkich jej sztuczek des Esseintes znużył się w kilka godzin; niemniej wytrwale i uprzejmie dawał się oskubywać, bardziej bowiem niż metresa pociągał go fenomen.

A zresztą dojrzały już plany, jakie był powziął. Zdecydował się urzeczywistniać projekty, aż dotąd nie-realne.

Pewnego wieczoru kazał przynieść małego sfinksa: czarny, marmurowy, leżał w klasycznej pozie, z łapami wyciągniętymi do przodu, z głową sztywno osadzoną; kazał też przynieść chimere z polichromowanej gliny: stwór potrzasał zjeżoną grzywą, dźgał dzikim spojrzeniem, omiatając smugami ogona boki wzdęte jak miechy kowalskie. Umieścił stwory w głębi pokoju, zgasił lampy, na kominku pozostawił żarzące się głównie, których przymroczone światło powiększało przedmioty, niemal zasnute mrokiem.

Ułożywszy się na kanapie obok kobiety, na której nieruchome lico padał blask tłącej się głowni, czekał.

Za pomocą dziwacznych intonacyj, których uczył ją zawczasu, długo i cierpliwie, ożywiła oba potwory nie poruszając wargami, a nawet nie patrząc na nie.

I rozpoczął się wśród nocnej ciszy przepiękny dialog Chimery ze Sfinksem, recytowany na dwa głosy gardłowe i niskie, chrypliwe, a potem wysokie, jak gdyby nadludzkie:

„— Tu, Chimero, zatrzymaj się.

— Nie; nigdy”.

Kołysany przepiękną prozą Flauberta słuchał, drżąc, groźnego duetu — i z karku aż do stóp spłynął po nim dreszcz, kiedy Chimera wyrzekła uroczyste i magiczne słowa:

„Szukam nowych zapachów, kwiatów bujniejszych, rozkoszy, których nikt nie zaznał jeszcze”.

Ach! to do niego przemawiał ów głos tajemniczy jak zakęcie; to jemu opowiadał o swojej gorączkowej pogoni za nieznanym, swoich nienasyconych ideałach, o swojej potrzebie ucieczki od straszliwej rzeczywistości istnienia — i o tym, że warto przekraczać granice myśli, szukać po omacku, nigdy nie zyskując pewności, szukać wśród mgieł, w których toną zaświaty sztuki! Nędza jego własnych wysiłków zdławiła mu serce. Łagodnie przytulał kobietę, w milczeniu przy nim leżącą, chronił się u niej niby niepocieszone dziecko i nie dostrzegał ponurych min aktorki, którą zmuszał do gry, do praktyk zawodowych w domu, w godzinach wypoczynku, z dala od rampy.

Trwał ich romans — wkrótce jednak pogłębił się uwiąd des Esseintes'a; żar mózgu nie roztopiał już lodów ciała: nerwy odmawiały posłuszeństwa woli; zawładnęły nim pochutliwe wariactwa starców. Czując się coraz bardziej chwiejnym u boku tej metre-sy, wezwał na pomoc najskuteczniejszą z pradawnych i kapryśnych swędzonek: strach.



Kiedy trzymał kobietę w ramionach, za drzwiami rozrykiwał się głos pijacki: „Otwierasz czy nie? Dobrze wiem, że barłozysz się z facetem, zaczekaj, zaczekaj no trochę, ty suko!”... i natychmiast — niby libertyn podniecony trwogą, że przyłapią go na gorącym uczynku pod gołym niebem, nad rzeką, w Ogrodzie Tuileryjskim, w wychodeczku lub na ławce — diuk Jan odnajdował chwilowo siły i rzucał się na brzuchomówczynię, której wrzask rozbrzmiewał bez ustanku, a w tej szamotaninie, w tej panice doświadczał niesłychanych radości kogoś, kto zagrożony niebezpieczeństwem przyspiesza swoje gnojowate igraszki, w obawie, aby ich nie przerwano.

Nieszczęściem owe seanse nie mogły odbywać się na dłuższą metę; chociaż wypłacał jej sumy bardziej niż wygórowane, przepędziła go brzuchomówczyni i tegoż jeszcze wieczoru przespała się z byczkiem, którego wymagania były mniej frymuśne, a lędźwie solidniejsze.

Tęsknił za nią i na samo wspomnienie jej sztuczek inne kobiety wydawały mu się bez smaku; zgniłe wdzięki dzieciństwa uznał za mdłe nawet; powziął dla monotonnych, wygibasów miłosnych wzgardę tak wielką, że zdecydował się zrzucić ich jarzmo.

3 Kiedy tak przetrawiając swój dyzgust spacerował samotny po alei Latour Maubourg, podszedł doń nie opodal Inwalidów jakiś młokos i poprosił o wskazanie najkrótszej drogi na ulicę Babylone. Des Esseintes poinformował go, a że również przecinał na ukos esplanadę, podążyli razem.

Chłopiec wbrew spodziewaniu nie umilkł, lecz domagał się szczegółowszych informacji:

— A więc według pana, jeśli skręcę w lewo, droga będzie dłuższa; a zapewniano mnie, że gdybym zboczył w aleję, wcześniej byłbym na miejscu.

Głos był błagalny i nieśmiały, bardzo ściszony i miękki.

Des Esseintes przyjrzał mu się. Chłopak chyba uciekł z konwiktu, odziany był biednie, kusa szewiotowa kurteczka obciskała mu biodra nie sięgając uda, spodnie miał na sobie czarne, opięte, stroju dopełniał wykładany kołnierz, a pod nim obfity fontaż ciemnoniebieski w białe paseczki, tworzący lawaliere. W dłoni trzymał podręcznik oprawny w tekturę, na głowie tkwił brązowy melonik o płaskim rondzie.

Twarz chłopca wprawiała w pomieszenie; lico blade i pociągłe o rysach wcale regularnych, ocienione długimi, czarnymi włosami, rozświetlały duże wilgotne oczy w niebieskawych obwódkach, osadzone blisko nosa nakrapianego złocistością nielicznych piegów, pod którym widniały usta drobne, lecz obrzeżone grubymi wargami z wgłębieniem pośrodku, jak u wiśni.

Dłuższą chwilę obserwowali się wzajemnie, stojąc naprzeciw siebie, po czym chłopak spuścił oczy i podszedł bliżej; otarł się ramieniem o ramię des Esseintes'a, który zwolnił kroku i w zadumie spoglądał na kołyszący się chód młokosa.

I z przypadku tego spotkania zrodziła się nieufna przyjaźń, a przedłużała się z miesiąca na miesiąc; rozmyślając o niej des' Esseintes drżał i dziś jeszcze; nigdy jak dotąd nie puścił się w dzierzawę powabniejszą i bezwzględniejszą; nigdy nie zaznawał podobnych niebezpieczeństw i nigdy również nie czuł się boleśniej kontentowanym.

Spośród wspomnień, jakie oblegały go w samotności, wspomnienie owego wzajemnego afektu zagłuszało inne. Fermentował cały zaczyn zboczenia, jaki tylko przechować może mózg rozekscytowany neurozą; i nurzając się z lubością w tych wspomnieniach, w tej delektacji grzesznej, jak zowie teologia ów nawrót do



zastarzałych sromot, diuk Jan między wizje cielesne mieszał żary duchowe, ostro podsypane dawnymi lekturami kazuistów — Busenbauma, Diany, Liguoriego, Sancheza i innych — którzy traktowali o grzechach przeciw szóstemu i dziewiątemu przykazaniu.

Religia podjurzyła również ideał nieprawych uciech obdarowawszy ideałem pozaludzkim tę duszę, którą skąpała i którą dziedzictwo, datujące się z czasów Henryka III, predysponowało do nich zapewne; obsesje libertyńskie i mistyczne, mieszając się wzajem, nękały jego mózg nadwyrężony upartym pragnieniem ucieczki od pospolitości świata, i tak diuk Jan chciał zapaść, z dala od szacownych obyczajów, w ekstazy prapoczątku, w orgazmy niebiańskie czy przeklęte, jednakowo wyniszczające wskutek utraty fosforu, która stanowi ich wynik.

Obecnie, kiedy budził się z tych marzeń unicestwionny, połamany, niemal umierający, zapalał zaraz świece i lampy, zatapiając się jasnością, w mniemaniu, że mniej wyraźnie aniżeli wśród mroków będzie słyszał głuchy, uporczywy, nieznośny szum tętnic, które w tempie zdwojonym pulsowały mu pod skórą szyi.

## X

W czasie tej osobliwej choroby, która niszczy pokolenia, krew wysysając im do ostatka, ataki przeplatają się z nagłymi polepszeniami; nie mogąc wytłumaczyć sobie przyczyny, pewnego pięknego poranka des Esseintes zbudził się całkiem zdrów; minął kaszel wydzierający trzewia, ustąpiły kliny wbijane młotkiem w kark, pojawiło się natomiast niewysłowione wraże-

nie dobrego samopoczucia, lekkość mózgu, w którym rozjaśniała się myśl, z nieprzejrzystej i maziowatej przeradzając się w lotną i tęczującą niby bańki mydlane o delikatnych odcieniach.

Ów stan trwał kilka dni; po czym raptownie, któregoś popołudnia, zaczęły się halucynacje węchowe.

Pokój zapachniał franژیpanem; diuk Jan sprawdził, czy nie poniewiera się gdzieś otwarty flakon; nie było nigdzie żadnego flakonu; zajrzał do swojej pracowni, do jadalni: zapach snuł się wciąż.

Zadzwoił na sługę.

— Nic nie czujecie? — zapytał.

Stary poniuchał powietrze i oznajmił, że żaden kwiat tu nie pachnie: ponad wszelką wątpliwość neuroza wracała raz jeszcze w postaci nowego złudzenia zmysłów.

Znużony uporem wyimaginowanego aromatu postanowił zanurzyć się w woniach prawdziwych, spodziewając się, iż ta homeopatia nosowa wyleczy go, a przynajmniej pohamuje natręctwa nieznośnego franژیpanu.

Poszedł do łazienki. Tam, obok starodawnej chrzcielnicy, która służyła mu za umywalnię, pod lustrem z polerowanej stali, więzącym, niby w srebrzystej cembrowinie księżycy, wodę zwierciadła zieloną i jak gdyby martwą, na półkach z kości słoniowej piętrzyły się flakony wszelkich rozmiarów i kształtów.

Ustawił je na stole i podzielił na dwie części: w pierwszej były zapachy proste, to znaczy ekstrakty lub olejki, w drugiej — zapachy skomponowane, które oznacza się ogólnym mianem bukietów.

Zasiadł głęboko w fotelu i skupił się.

Od wielu lat był biegły w praktykach wiedzy o węchu; mniemał, że powonienie potrafi doznawać radości równych tym, jakich doświadcza słuch i wzrok, każdy bowiem ze zmysłów staje się podatny, dzięki



naturalnym skłonnościom i uczonej pielęgnacji, na postrzeganie nowych wrażeń, które pomnaża następnie, koordynuje i komponuje z nich ową całość o dziele stanowiącą; nie jest więc w sumie rzeczą specjalnie anormalną, że istnieje sztuka wyzwiania aromatycznych fluidów, skoro w innych swoich dziedzinach sztuka wysyła fale dźwiękowe lub uderza siatkówkę oka różnokolorowymi promieniami; i tylko podobnie jak nikt bez osobliwej intuicji, rozwiniętej dodatkowo studiami, nie zdoła odróżnić obrazu wielkiego mistrza od kiczu, melodii Beethovena od melodii Clapissona — każdemu również, bez uprzednich wtajemniczeń, będzie się mylił bukiet stworzony przez autentycznego artystę z tandetą, którą przemysłowiec sfabrykuje do sprzedaży w sklepikach i na bazarach.

W owej sztuce zapachów jedna cecha zwłaszcza urzekła diuka Jana: była nią nienaturalna precyzja.

W istocie bowiem perfumy prawie nigdy nie wywodzą się od kwiatów, których noszą imiona; artysta, który ośmieliłby się zapożyczyć składniki od samej tylko przyrody, wyprodukowałby jedynie dzieło kundlowate, nieprawdziwe, pozbawione stylu, zważywszy, że olejek wydestylowany z kwiatów mógłby przedstawiać tylko nader odległą i nader wulgarną analogię z wonią kwiatu żywego, rozsiewającego fluidy czerpane bezpośrednio z ziemi.

Z wyjątkiem więc nie dającego się niczym podrobić jaśminu, który nie toleruje żadnych namiastek, żadnych imitacyj, odrzucając najbliższe mu nawet, wszystkie kwiaty są bezbłędnie reprezentowane alianami alkoholów aromatycznych i olejków, co skradłszy modelowi jego osobowość dodają mu ową nicostkę, ów jeden ton więcej: aromacik upajający, znanie rzadkie, stanowiące o dziele sztuki.

Zreasumujmy: w perfumeryjnym rzemiośle artysta

wykańcza zasadniczą woń naturalną, której aromat rzeźbi — jak jubiler oczyszczając wodę szlachetnego kamienia czyni go tym cenniejszym.

Arkana tej sztuki, najbardziej spośród wszystkich zaniedbanej, otwarły się z wolna przed des Esseintes'em, który rozszyfrowywał ów język pełen wariantów, równie sugestywny jak język literatury, ów styl o niesłychanej ścisłości, mimo pozorów płynnych i nieokreślonych.

W tym celu musiał najpierw opracować gramatykę, zrozumieć składnię zapachów, zgłębić rządzące nimi reguły: i tak oswoiwszy się dobrze z owym dialektem, diuk Jan mógł porównywać dzieła mistrzów — Atkinsona i Lubina, Chardina i Violeta, Legranda i Piesse'a, nie mówiąc o innych — rozbierać konstrukcję zawartych tam fraz, wyważać proporcje wyrazów, zaznajamiać się z układem okresów.

Analizując następnie tę gwarę fluidów, doświadczenie musiał podpierać teoriami, aż nazbyt często niepełnymi i banalnymi.

Klasyczna sztuka perfumiarska była rzeczywiście mało zróżnicowana, niemal bezbarwna, na jednaką kształtowana modłę w matrycy pomysłu dawnych chemików; gładziła, nie wydostając się poza przestarzałe alembiki, dopóki nie rozkwitł okres romantyzmu, który odmienił i ją również, odmłodził, uczynił bardziej ciągliwą i bardziej giętką.

Historia jej podążała w trop za dziejami naszego języka. Perfumowany styl Ludwika XIII, skomponowany ze składników drogich tej epoki, jak proszek irysowy, piżmo, cybet, woda mirtowa, znana już wtedy pod nazwą wody anielskiej, z ledwością sprostać mógł wyrażaniu buńczucznych powabów, nieco prymitywnych barw owego czasu, jakie przetrwały w niektórych sonetach Saint-Amanda. Później, wraz z olibanem, mirrą,



woniami mistycznymi mocnymi a surowymi, napuszony blichtr Wielkiego Stulecia, redundancyjne sztuczki krasomówstwa, styl potoczysty, wzniosły, rytmiczny Bossueta i innych mistrzów ambony, stały się niemal do przyjęcia; jeszcze później, za Ludwika XV, dotknięte anemią i wyrafinowane wdzięki społeczności francuskiej znalazły łatwiej wykładnik w ledum i franżypanie, które na swój sposób stworzyły syntezę owej epoki; następnie, po nudzie i tępcie pierwszego cesarstwa, które nadużywało wód kolońskich i preparatów z rozmarynu, przemysł perfumeryjny popędził za Wiktorem Hugo ku krainom słońca; wykoncypował pachnidła orientalne: selamy porażające zapachem korzennym, odkrył nowe intonacje, antytezy, na które nie ośmielił się dotychczas nikt, przesiał i podjął starodawne niuanse, pokombinował je, wysubtelnił i podobierał; na koniec odrzucił zdecydowanie owo rozmyślne zgrzybiałstwo, w które wpędzili go tacy jak Boileau, Andrieux, Baour-Lormian, podli destylatorzy poematów.

Ale od okresu, jaki wyznaczył rok 1830, język ów nie utkwiał biernie w miejscu. Podległszy znów ewolucji, modelował się na proggu stulecia, czynił postępy równoległe z innymi dziedzinami sztuki; i tak, naginając się do życzeń amatorów i artystów, ruszył na chińszczyznę i japońszczyznę; wymyślał więc wonne albumy, naśladował bukiety kwiatowe Takeoki, dzięki aliansom lawendy z goździkiem uzyskiwał zapach koriebliny; dzięki mariażowi paczuli z kamforą — szczególny aromat tuszu chińskiego; komponując goździki z olejkami cytrynowymi i pomarańczowymi stwarzał emanację japońskiej szypułatki.

Des Esseintes studiował, analizował duszę tych fluidów, uprawiał egzegezę owych tekstów; dla własnej przyjemności lubił zabawiać się w psychologa: odkre-

*Znawca zapachów*  
cał, to znów przykręcał kółka maszyny, złożone aromaty rozkładał na elementy, a w toku tych ćwiczeń węch jego nabrał niezawodności prawie nieomyślnej.

I podobnie jak handlarz win rozpoznaje rocznik poniuchawszy jedną tylko kroplę, jak sprzedawca chmielu oszacowuje dokładnie wartość szyszek pochylając nos nad workiem, jak chiński kupiec powąchawszy herbatę może natychmiast wykryć jej proveniencję, powiedzieć, na jakich plantacjach gór Bohea albo w których klasztorach buddyjskich została wyhodowana, określić czas zbioru, a także stopień wyprażenia liści, wpływ, jaki wywarło na nie sąsiedztwo kwiatu śliwy, Aglai, Olejowca wonnego i wszelkich zapachów naturę ich modyfikujących, wzbogacających je o niespodziany blask, w suchawy ich oparek wprowadzających odcień kwiecia dalekiego i świeżego — tak i des Esseintes, wciągnawszy w nozdrza odrobinę aromatu, potrafił rozwodzić się, nie czekając, nad proporcjami mieszaniny, komentować psychologię dozowania, potrafił niemal wymienić nazwisko artysty, który ów melanz napisał i wycisnął na nim znamię swojego własnego stylu.

Oczywiście diuk Jan posiadał komplet produktów stosowanych przez perfumiarzy; miał nawet oryginalny balsam z Mekki, ów balsam tak rzadki i nie wszędzie zbierany w Arabii Skalistej, a którego monopol należy do wielkiego kalifa.

Siedząc teraz w gotowni przy stole, dumiał nad stworzeniem nowego bukietu, i w tejże chwili zdjęły go wątpliwości doskonale znane literatom, którzy po kilkumiesięcznym wypoczynku przygotowują się do rozpoczęcia nowego dzieła.

Niczym Balzac nekany żądzą zaczernienia wielu kartek papieru, żeby wprowadzić się w trans, des Esseintes uznał za konieczne poćwiczyć najpierw rę-



...fabrykule zapachów: Tęsknota, kochanie  
kę kilkoma nieważnymi pracami; pragnąc sfabrykować heliotrop, wyważył w dłoni flakony z migdałem i wanilią, po czym odmieniwszy zamysł postanowił zacząć od groszku pachnącego.

Umykały mu wzory i procedury; zdał się na intuicję. Na ogół w aromacie tego kwiatu dominuje pomarańcza: popróbowował kilku kombinacji i na koniec utrafił w ton, kiedy do pomarańczy dodał tuberozę i różę, wiążąc je kroplą wanilii.

Rozwiała się niepewność; wstrząsnął nim leciutki dreszczyk, diuk Jan był gotów do pracy; skomponował jeszcze herbatę mieszając mimozę z irysem, a wtedy już pewien siebie zdecydował się kroczyć naprzód, uderzyć w akord gromu, którego dumny łoskot obróciłby w proch szeptu przebiegłego franzypanu, co wciąż jeszcze snuły się pod ścianami.

Jał więc manipulować ambłą, piżmem tonkińskim, rozbrzmiewającym straszliwym fortissimo, i paczulą, najbardziej cierpkim spośród zapachów roślinnych, której kwiat w stanie surowym cuchnie rdzą i pleśnią. Cokolwiek by jednak czynił, nie zdołał uchronić się przed obsesją XVIII wieku: krynoliny i falbany zawirowały mu przed oczyma; wspomnienia „Wenus” Bouchera, wyłącznie mięsnej, bezkostnej, wypchanej różową watą, zagościły na ścianach; prześladowały go obrazy z powieści Thémidore’a; prześliczna, podkasana Rosette, w dezabilu utkanym jakby z płomienistych pajęczyn. Rozwścieczony wstał i pragnąc się uwolnić wciągnął w nos z całych sił esencję spikarnardu, przemiłą dla ludzi Wschodu i arcyprzykrą dla Europejczyków z racji nazbyt wydatnego smrodku waleriany. Zamroczyła go gwałtowność wstrząsu: jak gdyby utłuczona młotem znikła misterna plecionka subtelnej woni; wykorzystał ową chwilę wytchnienia, by wymknąć się umarłym stuleciom, przestarzałym

oparom, i wejść, jak czynił to dawniej, w dzieła mniej rygorystyczne lub nowsze.

Lubił niegdyś kołysać się akordami zapachów; stosował chwyt analogiczne do efektów poetyckich, posługiwał się w pewnym sensie wspaniałą kompozycją niektórych wierszy Baudelaire’a, takich jak „Niepoprawny” czy „Balkon”, gdzie ostatni z pięciu wersów tworzących strofę jest echem pierwszego i powraca niby refren, aby zatapiać duszę w nieskończonościach melancholii i tęsknoty.

Zapamiętywał się w dumanach, jakie wywoływały dlań te aromatyczne stances, nagle sprowadzany do źródeł, do wątku medytacji, nawrotami tematu podstawowego, który pojawiał się w umiejętnie rozłożonych interwałach, wśród wonnej orkiestracji poematu.

Pragnąc teraz włóczyć wśród pejzażu pełnego niespodzianek i zmian, rozpoczął frazą donośną, rozległą, która nagle otworzyła wyjście na bezmiar pól.

Posługując się rozpylaczami, nasycił pokój esencją, gdzie ambrozja, lawenda z Mitcham i groszek pachnący komponują się w bukiet, owa zaś esencja, jeśli wydestyluje ją artysta, nie zawiedzie przyznanego jej miana „ekstraktu kwietnej łąki”; skropił następnie tę łąkę nienaganną miksturą tuberozy, kwiatów pomarańczowych i migdałowych, a wtedy narodziły się sztuczne bzy, gdy tymczasem lipy, powiawszy wonią, zasnuły ziemię swoimi bladymi emanacjami, które nasładował ekstrakt londyńskiej *tillii*.

W ową dekorację naszkicowaną kilkoma ogólnymi liniami, którą mrok zamkniętych powiek rozciągał bez granic, bryznął lekkim deszczem esencji ludzkich i quasi-kocich, woniejących spódnicami, zapowiadających kobietę upudrowaną i uszminkowaną, a oto ich lista: *stephanotis, ayapana, opoponax, chypre,*



*champaka, sarcanthus* — i przeciwstawił im lilak w ilości znikomej, a dodał go, by sztuczne, tchnące z nich życie makijażu zabarwić naturalną wonią spotniałych śmiechów, uciech rozigranych pod skwarnym słońcem.

Następnie z pomocą wentylatora wypłoszył fale aromatyczne i zachował tylko wieś, którą jął odświeżać i wzmacniać jej składniki, aby powracać musiała, ni by refren w strofach.

Kobiety rozwiały się z wolna; wieś zionęła pustką; wtedy na zaczarowanym horyzoncie wyrosły fabryki, których gigantyczne kominy płonęły u wierzchołków niczym wazy ponczu.

Diuk Jan wzniecał wachlarzami wiatr, który nasycały wyziewy fabryk, wyziewy produktów chemicznych, ale przez ową zgniliznę powietrza przebijało jeszcze słodkie tchnienie przyrody.

Obracana z kolei w palcach, rozgrzewana tym sposobem gałeczka styraki nader dziwny zapach rozsnuła w pokoju: zapach obrzydliwy i przesłiczny zarazem, zatraćający rozkoszną wonią żonkili, paskudnym fetorem gutaperki i oleju skalnego. Des Esseintes dokładnie wymył ręce, styrakową żywicę schował w hermetycznie zamykanym puzderku; znikły wtedy miraż fabryk. Po czym zaaplikował ożywionym przed chwilą oparom lip i łąk parę kropel *new mown hay*: wśród magicznego krajobrazu, momentalnie z bzów ogołoczonego, wyrosły stogi siana sprowadzając nową porę roku, subtelnymi emanacjami spowijając lato owych zapachów.

W końcu, kiedy nasmakował się już tym spektaklem, wprędce rozproszył egzotyczne wonie, wyczerpał do dna rozpylacze, przyspieszył akcję stężonych olejków, popuścił cugli wszystkim balsamom, a wtedy wśród potwornej duchoty, jaka zapanowała w pokoju,

*zapachy wywołują halucynacje*  
ekspłodowała natura szaleńcza i wysublimowana, wzmagająca rytm oddechu, aromatycznymi alkoholami ogarniętymi maligną nasycającą sztuczny wiatr, natura nieprawdziwa i urocza, całkowicie paradoksalna, kojarząca tropikalne pieprze, korzenne tchnienia chińskiego sandałodrzewu i jamajkańskiej hedosmii z francuskimi zapachami jaśminu, tarniny i werweny, wbrew porom roku i klimatom powodująca rozwój drzew przeróżnej proveniencji, kwiatów o barwach i woniach najbardziej między sobą sprzecznych, tworząca drogą zespożeń i zderzeń wszystkich owych tonów aromat ogólny, nienazwany, nieprzewidziany, dziwaczny, w którym ni by refren uparty przewijała się dekoracyjna fraza wstępna, woń wielkiej łąki z powiewami bzów i lip.

Przeszył go raptem ostry ból; wydawało się diukowi Janowi, że świder wwierca mu się w skronie. Otworzył oczy; znajdował się znowu w gotowalni, siedział przy stole; oszołomiony podszedł z trudem do okna, uchylił je. Podmuch powietrza oczyścił spowijającą go duszną atmosferę; pospacerował trochę wzdłuż i wszerz, żeby wzmocnić nogi, dreptał spoglądając na płaskorzeźby sufitu, gdzie kraby snuły się wśród alg przypudrowanych solą, na ziarnistym tle, złotawym jak piasek na plaży; podobna dekoracja odziewała gzyms obrzeżający ściany obite krepą japońską zielonowodną, nieco marszczoną, imitującą dreszczyk fal rzeki muskanej wiatrem, pośrodku zaś tego nieważkiego nurtu pływał płatek róży, wokół którego wirował obłok maleńkich rybek, i każda z nich była narysowana dwiema kreskami atramentu.

Powieki jego pozostały jednak ciężkie; zaprzestał przemierzać krokami krótki dystans między chrzcielnicą a wanną, wsparł się o balustradkę okna; minęło oszołomienie; pozatykał skrupulatnie flakony, a korzystając ze sposobności uporał się z nieładem panu-



jącym wśród szminek. Nie dotykał ich od czasu, jak osiadł był u Fontenay, i teraz zdziwił się niemal popatrując na tę kolekcję, którą niegdyś odwiedzało tyle kobiet. Piętrzyły się słoiki i fiolki. Tutaj pudełko porcelanowe, z rodu porcelan zielonych, zawierało schnoude, ów cudowny biały krem, co rozsmarowany na policzkach przechodzi, pod wpływem powietrza, w delikatną różowość, a potem w silny rumieniec, tak rzeczywisty, iż wywołuje iluzję naprawdę dokładną skóry krwią podbarwionej; tam laki inkrustowane macicą perłową ukrywały pod wieczkami złoto japońskie i zielen ateńską, barwiczkę ze skrzydeł kantarydy, złota i zielenie przeobrażające się w głęboką purpurę, jeśli tylko je zwilżyć; obok słoików napełnionych masą z orzechów tureckich, haremowym serkis, emulsjami z lilij kaszmirskich, mleczkami z poziomek i z dzikiego bzu — na płec, i obok flakoników napełnionych roztworami tuszu chińskiego i różaną wodą — na oczy, rozpościerały się narzędzia z kości słoniowej, z perłowej masy, ze stali, srebra, pomieszane ze szczoteczkami lucernowymi do masowania dziąseł: szczypczyki, nożyczki, drapadełka, wiszerki, krepony i puszki, plecokrobki, muszki i pilniki.

Obracał w palcach owe utensylia zakupione ongi wskutek nalegań metresy, co miała zwyczaj omdlewać pod działaniem niektórych aromatów i niektórych balsamów: była to kobieta znarowiona i nerwowa, lubiąca macerować sobie sutki w pachnidłach, w sumie jednak doznawała ekstaz rozkosznych i nużących tylko wtedy, jeśli ktoś grzebieniem grabił ją po głowie albo kiedy wśród pieśczoł mogła wachać sadzę, zaprawę mularską zmoczoną deszczem bądź w lecie kurz pocętkowany grubymi kroplami burzy.

Przeżuwał te wspomnienia: oto popołudnie spędzone w Pantin przez lenistwo, przez ciekawość, w to-

warzystwie rzeczonyj kobiety u jednej z jej sióstr, pojawiło się przed nim, poruszając zapadły w niepamięć świat starych pojęć i starodawnych zapachów; kiedy obie kobiety pogdakiwały oglądając swoje suknie, diuk Jan podszedł do okna i przez zakurzone szyby patrzył, jak rozciąga się przed nim ulica pełna błota, i słuchał, jak stukają kostki brukowe pod nieustającymi uderzeniami kaloszy, które taplały się w kałużach.

Scena ta, już odległa, pojawiła się nagle ze szczególną żywością. Pantin było tu, przed nim, wskrzeszone, żyjące w tej zielonej wodzie i jak gdyby umarłe od lodu zaśnutego księżycem; tonął tam nieświadomie wzrok diuka Jana; halucynacja porwała go daleko od Fontenay; równocześnie z ulicą lustro odesłało mu refleksje, jakie owa ulica wzbudziła w nim niegdyś, i pogrążony w zadumie mamrotał wymyślną, melancholijną i krzepiącą antyfonę którą zanotował niegdyś, wróciwszy do Paryża:

— Tak, nadeszła pora wielkich deszczów; oto rzygają ścieki wyśpiewując pod trotuarami, a gnój marynuje się w kałużach, które swoją białą kawą napełniają miski wydrążone w szutrze; gdziekolwiek stąpnie, pokorny przechodzień ma w czym wymoczyć nogi.

Pod nawisami chmur, w rozmiękłym powietrzu, mury domów ociekają czarnym potem, okienka piwniczne fetorują; wzmaga się dyzgust istnienia, a spleen miażdży; kiełkuje posiew świństwa, który każdy ma w duszy; potrzeba brudnych wszeteczeństw nurtuje mężów cnotliwych, a w mózgach mężów godnych zrodzą się wnet żądze galerników godne.

A przecież grzeję się przy sutym ogniu, na stole kosz rozwiniętych kwiatów rozsiewa wonie styrakowca, geranium i wetyweru, które wypełniają pokój.



Wśród listopada, w Pantin, na ulicy Paryskiej wiosna trwa z uporem, ja zaś wyśmiewam się z lękliwych rodzin, które w te pędy zmykają do Cannes lub Antibes, aby schronić się przed nadciągającym zimmem.

Nielaskawa przyroda nie ma nic wspólnego z tym nadzwyczajnym zjawiskiem; przemysłowi jedynie, powiedzieć to trzeba, Pantin zawdzięcza ową sztuczną wiosnę.

W rzeczywistości bowiem są to kwiaty taftowe, osadzone na mosiężnych drutach, tchnienie zaś wiosenne, przeciskające się szparami w oknach wydzielają fabryki sąsiednie: perfumerie Pinauda i Saint-Jamesa.

Dla rzemieślników wyniszczonych ciężką pracą w warsztatach, dla drobnych urzędników nazbyt hojnie obdarzonych potomstwem możliwa jest iluzja odrobiny powietrza dzięki wymienionym przemysłowcom.

Ponadto zaś owa fantastyczna namiastka wsi może dać w wyniku rozsądną kurację; birbanci-suchotnicy, których eksportuje się na Południe, mrą wykończeni brakiem swoich zwykłych rozrywek, zmożeni tęsknotą za paryskimi hulankami. Tutaj, wśród imitacji klimatu wspomaganej ciepłem pieców, odrodzą się wspomnienia rozpustne, miluchne, pełne rozmarzających emanacji kobiecych, które ulatniają się z fabryk. Śmiertelną nudę życia prowincjonalnego przy pomocy tego fortelu lekarz platonicznie zastąpi swojemu pacjentowi atmosferą buduarów paryskich i dziwek. Ażeby kuracja się udała, wystarczy najczęściej wyobraźnia trochę tylko płodna.

— Skoro w obecnej dobie żadna zdrowa substancja już nie istnieje, skoro wino, które pijemy, i skoro wolność, którą nam głoszą, są sfalszowane i śmiechu warte, skoro wreszcie konieczna jest pewna doza dobrej woli, by uwierzyć, iż klasy rządzące zasługują na szacunek, a klasy ujarzmione na ulgę czy litość — konkludował des Essaintes — ani pociesniejszym, ani bardziej szaleńszym nie będzie, jeśli zażądam dla moich bliźnich sumy złudzeń zaledwie równoważnej z sumami, jakie inni moi bliźni ekspensują co dzień w celach idiotycznych: aby imaginować sobie, że miasto Pantin to sztuczna Nicea, surogat Mentony.

— Tak czy inaczej — szepnął, wyrwany owym refleksjom omdleniem całego ciała — wypadnie mi strzec się tych ćwiczeń rozkosznych a wstrętnych, bo zwalają mnie z nóg. — Westchnął: — No cóż, i te uciechy także pomiarkować muszę, podjąć środki ostrożności. — I schronił się w swojej pracowni, mniemając, iż tam łatwiej umknie obsesji zapachów.

Na roścież otwarł okno, uszczęśliwiony kąpał się w świeżym powietrzu; lecz nagle wydało mu się, że podmuch wiatru przynosi esencję bergamoty, z którą sprzymierzają się olejki jaśminu, kasji i woda różana. Chwyciła go zadyszka, zastanowił się, czy naprawdę nie dostał się pod jarzmo któregoś z owych opętań, leczonych w Średniowieczu egzorcyzmami. Zapach zmienił się, przeobraził, nie ustępując bynajmniej. Chybotliwa woń roztworu toluifery, balsamu peruwiańskiego, szafranu, związanych kilkoma kroplami ambry i piżma, nadciągała teraz od miasteczka śpiącego poniżej na zboczu i raptem dokonała się metamorfoza: zrosły się owe rozproszone cząsteczki, a wtedy franzypan, którego składniki diuk, Jan postrzegł był wę-

Zapachy ze świata nie wspólnie  
173  
mego światła na niego  
odkrył co!



chem i zgotował im analizę, buchnął znowu z doliny Fontenay i dotarłszy do fortów zaatakował przemęczone nozdrza, targnął raz jeszcze wycieńczonymi nerwami i rzucił go w taką prostrację, iż des Esseintes osunął się bez zmysłów, umierający niemal, na balustradkę okna.

## XI

lekara / podróż

Przerażeni słudzy pobiegli do Fontenay po lekarza, który ze stanu des Esseintes'a nie pojął nic absolutnie. Wymamrotał kilka terminów medycznych, zbadał puls i obejrzał język pacjenta; spróbował, daremnie jednak, wyciągnąć zeń choć jedno słowo, zapisał środki uspokajające, zalecił odpoczynek i obiecał powrócić na jutro; a kiedy diuk Jan odzyskał tyle sił, by nieuprzejmie pokręcić głową na znak, iż gorliwości sług nie pochwala bynajmniej i chce się pozbyć intruza, doktor odszedł i następnie po całym miasteczku rozpowiadał o cudactwach tego domu, którego wnętrze wprawiło go w osłupienie i zbiło z pantafelku.

Ku wielkiemu zdumieniu obojga służących, którzy nie ośmielali się wytknąć nosa z pokoju kredensowego, ich pan wyzdrowiał w kilka dni; podpatrzyli go, jak bębnił palcami po szybach, z miną zaniepokojoną spoglądając w niebo.

Któregoś popołudnia rozbrzmiały urywane dzwonki: des Esseintes rozkazał sługom spakować kufry na długą podróż.

Kiedy oboje według jego wskazań wybierali rzeczy w drodze użyteczne, diuk Jan przemierzał gorączkowym krokiem kajutę jadalni, studiował godziny w

okrętowym rozkładzie jazdy albo kręcąc się po pracowni wciąż obserwował obłoki, zadowolony i zniecierpliwiony zarazem.

Już od tygodnia pogoda była okropna. Po szarych połaciach nieba rzeki sadzy toczyły bez ustanku bloki chmur, podobne skałom wydartym ziemi.

Chwilami pękała ulewa, zatapiając dolinę potokami wody.

Tego dnia firmament odmienił wygląd. Fale atramentu ulotniły się i wyschły, stopniały wyboje chmur; niebo było jednostajnie płaskie, zasnutę brudnawym bielmem. Bielmo osunęło się z wolna, mglisty deszczyk spowił pola; ulewa nie zwałała się już wodospadami jak w przeddzień, za to niestrudzenie siąpił kapuśniaczek wlażliwy, kłujący, który rozpaściwał aleje i psuł drogi, a ziemię z niebem połączył niezliczonymi nićmi; dzień zmętniał; sinawe światło mżyło nad miasteczkiem przeobrażonym w jezioro błota, klute igłami wody, której krople, niby z żywego srebra, szpikowały breję bajor; wśród rozpaczliwego stanu przyrody więdy wszelkie barwy i tylko dachy lśniły nad wygasłymi szarościami murów.

— Ależ plucha! — westchnął stary sługa układając na krześle odzież, jakiej zażądał jego pan: garnitur zamówiony kiedyś w Londynie. *przynajmniej się do ubioru*

Za całą odpowiedź des Esseintes zatarł ręce i usadowił się przed kolekcją jedwabnych skarpetek, w wachlarz rozpiętych za szybą szafy bibliotecznej; wahał się nad odcieniem, lecz nagle, z uwagi na smutek dnia, posępną bezbarwność jego szat, rozmyślając nad celem, jaki chciał osiągnąć, wybrał parę z jedwabiu barwy zeschniętego liścia, naciągnął ją szybko na nogi, obuł się w kamasze z odcinanymi nosami, sznurowane na haczyki, wdział na siebie garnitur szaromysi w szarokamienną kratkę i w sobolowe ciapki, włożył



na głowę niski melonik, spowił się w makfarlan niebieskolniany, skinął na sługę, który podążył za nim uginając się pod ciężarem kufra, walizy rozciąganej w harmonię, worka z pościelą, pudła na kapelusze, zrolowanego pledu podróznego z laskami i parasolami w środku, i tak dotarł na stację. Tutaj oświadczył słudze, że daty powrotu oznaczyć nie potrafi: wróci za rok, za miesiąc, za tydzień, lecz może i wcześniej; zapowiedział, aby w domu żaden sprzęt nie zmienił miejsca; wręczył mu sumę mniej więcej wystarczającą na strawne dla małżonków pod jego nieobecność, co uczyniwszy wszedł do wagonu pozostawiając starca ogłupiałego, z opuszczonymi rękami i rozdziawioną gębą po drugiej stronie bariery, skąd lada moment miał ruszyć pociąg.

Był sam jeden w przedziale; pola zamazane, brudne, jak gdyby widziane przez szybę akwarium z mętną wodą, znikwały w lot za wagonami, które smagał deszcz. Zapadłszy w zadumę des Esseintes przymknął oczy.

*Samotność - droga rekompensacji*  
I znów owa samotność, tak żarliwie upragniona i zdobyta wreszcie, skończyła się straszliwą chandrą; ta cisza, która jawiła mu się niegdyś niby kompensata za brednie wysłuchiwanie latami, dławiała go teraz ciężarem nie do zniesienia. Któregoś ranka obudził się niespokojny, jak więzień w celi; drżące nerwowo wargi poruszały się usiłując wydać jakiś dźwięk, lzy cisnęły mu się do oczu, dusił się niby ktoś, kto szlochał był godzinami.

Żądza przechadzek, oglądania ludzkich twarzy, rozmów, wmieszania się we wspólne życie trawiła go tak mocno, iż diuk Jan jął przetrzymywać służących, wzywanych za lada pretekstem; konwersacja jednak okazała się niemożliwa, z jednej strony bowiem ci starzy ludzie, przygęci długimi latami milczenia i na-

wykami pielęgniarzy, byli prawie niemi, z drugiej dystans, na jaki trzymał ich zawsze des Esseintes, i teraz usta im zamykał. A zresztą mózgi mając nieruchawe, na stawiane pytania umieli odpowiadać jedynie monosylabami.

*droga przeżycia nowych wrażeń*  
Nie mógł więc oczekiwać od nich żadnej pomocy, żadnej pociechy, ale też powstało nowe zjawisko. Powieści Dickensa, które skonsumował niegdyś dla uspokojenia nerwów, wydały skutki przeciwne tym, jakich się spodziewał po tak higienicznym zabiegu: lektura zaczęła oddziaływać z wolna w kierunku nieoczekiwanym, sprowadzając wizje angielskiej egzystencji, które diuk Jan przeżuwał godzinami; stopniowo w owe fingowane kontemplacje wsączały się obrazy rzeczywistości konkretnej: odbyta podróż, marzenie sprawdzone — gdzie zaszczepiła się chęć przeżycia nowych wrażeń, a tym samym ucieczki od ekscesów umysłu, który oszołamia się, mieląc pustkę.

Ów obrzydliwy czas mgieł i deszczów wspomógł jeszcze te myśli, lekturami przywołując wspomnienia i stawiając diukowi Janowi wciąż przed oczami obraz kraju mżawek i błota; jego zaś chęciom nie pozwalał zmienić punktu wyjścia, zboczyć od źródła.

Nie wytrzymał dłużej i zdecydował się nagle, w jeden dzień. Tak mu się spieszyło, iż uciekł czasowi, pragnąc umknąć teraźniejszości, czuć się popychanym wśród ulicznego zgiełku, w rozgwarze tłumu i stacji kolejowej.

*w podrogu*  
— Oddycham — pomyślał w chwili, kiedy pociąg zwolniejszy swojego walca wjeżdżał pod beczkowate sklepienie dworca w Sceaux, rytmując ostatnie piruety urywanym łoskotem obrotnic.

Znalazłszy się na ulicy, na bulwarze d'Enfer, diuk Jan zawołał dorożkarza, rad, iż jest niewolnikiem swoich waliz i pledów. Obiecując sowity napiwek, do-



gadał się z tym człkiem w orzechowych spodniach i czerwonej kamizeli.

— Najpierw — rozkazał — zatrzymacie się na ulicy Rivoli, przed Galignani's Messenger — zamierzał bowiem kupić przed wyjazdem przewodnik Baedekera lub Murraya po Londynie.

Wehikuł ciężko ruszył z miejsca, rozchlapując kołami kręgi błota; rozpoczęła się nawigacja po szeroko rozlanym bagnie; pod szarym niebem, zdającym wspierać się o dachy domów, mury ociekały od góry do dołu, przelewały się rynny, bruk był powleczony pierniczastą mazią, na której poślizgiwali się przechodnie; na trotuarach, o które zawadzały omnibusy, zatrzymywali się ludzie sprasowani w gromadki, kobiety podkasane aż do kolan, przygarbione pod parasolkami, przyplaszczały się do sklepów, chroniąc się przed bryzgami błocka.

Deszcz siekł ukośnie przez drzwiczki; des Esseintes musiał podnieść szyby prążkowane strumykami wody, krople zaś błota niczym ognie sztuczne wystrzelały promienisto wokół dorożki. Diuk Jan marzył o swojej podróży wsłuchując się w monotony chrzęst worków grochu, jaki nad jego głową wywoływały fale ulewy, zalewające bagaż i dach pojazdu; w Paryżu, podczas tej ohydnej pogody, brał już zaliczkę na Anglię; przed jego oczami rozpościerał się teraz Londyn zadeszczony, gigantyczny, bezkresny, cuchnący nagrzanym żeliwem, nieustannie dymiący mgłami; a potem amfilady doków ciągnęły się jak okiem sięgnąć, pełne żurawi, kołowrotów, skrzyń, rojące się od ludzi, którzy wdrapywali się na wierzchołki masztów, siadali okrakiem na rejach, gdy tymczasem nabrzeża mrowiły się miriadami innych ludzi, co nachyleni, z wypiętymi tyłkami, wpychali beczki do piwnic.

Cały ten ludek uwijał się na brzegu, w ogromnych

składach omywanych parchatymi i cichymi wodami wyimaginowanej Tamizy, w wysokopiennym borze masztów, w lesie belek rozdzierających sinawe obłoki firmamentu — gdy tymczasem jedne pociągi mknęły pełną parą w niebo, a drugie turkotały pod ziemią czkając okropnym wrzaskiem, otworami studzienek wyrzgując kłęby dymu, i na wszystkich ulicach, na wszystkich bulwarach, gdzie wśród wieczystego zmierzchu rozpętywały się potworne i jaskrawe pas kudztwa reklam, między kolumnami ludzi milczących, zaaferowanych, patrzących prosto przed siebie i kulających ramiona, płynęły fale wehikułów.

Des Esseintes drżał rozkosznie czując się wtopionym w ów straszliwy świat kupiectwa, w ową odizolowującą mgłę, w ową nieutrudzoną aktywność, w tryby owej bezlitosnej maszyny miażdżącej miliony biedaków, których filantropowie instygowali, miast pociechy, do recytowania wersetów i wyśpiewywania psalmów.

Potem drynda telepnęła, diuk Jan podskoczył na ławeczce i wizja nagle zgasła. Wyjrzał przez okno; nadeszła noc; latarnie gazowe mrugały, tworząc w gęstej mgle żółtawe obwódki; wstęgi światła pływały w kałużach i zdawały się nawijać na koła pojazdów, które podskakiwały w ogniu ciekłym i brudnym; des Esseintes spróbował rozeznąć się, gdzie jest, dojrzał Carrousel, a wtedy nagle, bez powodu, może po prostu przez wstrząs wywołany upadkiem z wyimaginowanych wyżyn, jego myśl cofnęła się aż do wspomnienia trywialnego przypadku: przypomniał sobie, że kiedy czuwał był nad pakowaniem rzeczy, sługa zaniedbał włożyć szczotki do zębów między konieczne przybory toaletowe; przywołał na pamięć listę zapakowanych przedmiotów; wszystkie zostały ułożone w walizce, irytacja jednak, iż ową szczotkę pominięto, trwała aż

wyobraża sobie Londyn  
178  
będąc w Paryżu

pedantyczny



do chwili, kiedy dorożkarz zatrzymując się przerwał łańcuch owych reminiscencyj i żalów.

Był na ulicy Rivoli przed Galignani's Messenger. W dwóch obszernych witrynach przedzielonych drzwiami, których matowe szyby pokryte były napisami i przysłonięte passe-partout, obramiającym wycinki z gazet i lazurkowe paski telegramów, przelewało się od albumów i książek. Diuk Jan zbliżył się zwabiony widokiem kartonowych obwołut barwy mydlanoniebieskiej i kapuścianozielonej, ze wszech stron gufrowanych, roślinnych deseni srebrnych i złotych, opraw płóciennych w kolorze tabaczkowym, kolorze porów, gęsiego łajna, porzeczek, opraw z obu stron i na grzbiecie wytłaczanych żelazem, w czarne pasemka. Wszystko to miało znamiona antyparyskie, charakter merkantylny, było bardziej niż we Francji wulgarne, a jednak nie tak podle jak nasze oprawy tanich książek; tam i sam, spośród otwartych albumów reprodukcujących sceny humorystyczne du Mauriera i Johna Leecha albo wysyłających przez chromolitografowane równiny rozszalałe kawalkady Caldecotta, przezierało kilka francuskich romansów, mieszając w ten octowaty moszcz odcieni trywialność dobrotliwą i kontentą z siebie.

*biblioteka w Paryżu*

Wyrwał się wreszcie tej kontemplacji, pchnął drzwi, wszedł do przestronnej biblioteki, pełnej ludzi; siedzące tam cudzoziemki rozkładały mapy i dzieliły się uwagami w niezrozumiałych szwargotach. Subiekt przyniósł mu bogatą kolekcję przewodników. Usiadł więc i diuk Jan, przerzucając te książki, których elastyczne okładki gięły się w palcach. Wodził po nich oczami, zatrzymał się na jednej ze stronic bedekera opisującej muzea londyńskie. Ciekawił się szczegółami lakonicznymi i dokładnymi, zawartymi w przewodniku; uwaga jego zбочyła jednak ze starego malarstwa

angielskiego na nowe, które intrygowało go bardziej. Zapamiętał te i owe płótna oglądane niegdyś na wystawach międzynarodowych i pomyślał, że zobaczy je może znowu w Londynie: Millais namalował „Czuwanie świętej Agnieszki”, o zieleni srebrzystej, księżycowej; obrazy Watisa w kolorach dziwacznych, upstrzone indygiem i gumigutą, obrazy naszkicowane przez Gustawa Moreau, chorego już, jak gdyby malowane przez niedokrwistego Michała Anioła i retuszowane przez Rafaela tonącego w błękicie; spomiedzy wielu płócien zapamiętał „Oskarżenie Kaina”, „Idę” i kilka „Ew”, skąd, wśród osobliwego i tajemniczego amalgamatu tych trzech mistrzów, brała źródło osobowość, wysubtelniona i prymitywna zarazem, Anglika uczonego i rozmarzonego, dręczonego obsesją okrutnych barw.

Wszystkie te płótna nacierały tłumnie na jego pamięć. Subiekt, zdziwiony owym klientem głęboko zadumanym przy stole, spytał, który z przewodników wybrać zamierza. Diuk Jan nie zaraz oprzytomniał, potem przeprosił, kupił bedekera i wyszedł. Zmroziła go wilgoć; wicher dął z boku, chłostał arkady biczami deszczu. „Tam pojedziecie!” — wydał rozkaz dorożkarzowi, wskazując palcem sklep u końca galerii, na rogu ulic Rivoli i Castiglione, sklep, dzięki swoim białawym szybom, oświetlonym od wewnątrz, podobny gigantycznej lampce nocnej, która płonęła w paskudnym samopoczuciu tej mgły, wśród udreń tej schorwanej aury.

*sklep*

Była to „Bodega”. Des Esseintes zagubił się w obszernej sali przedłużającej się w korytarz, wspartej na żeliwnych filarach, obwarowanej wzdłuż ścian wysokimi beczkami, ustawionymi pionowo na kozłach.

Opasane żelazem, o kałdunach przybranych drewnianymi zębatymi wieszadłkami do fajek — tu je-



dnak we wcięciach wisiały nie fajki, lecz, nóżkami do góry, tulipanowate kielichy — owe beczki z otworami w podbrzuszach, zaopatrzone w fajansowe kurki, beczki zdobne w herby królewskie, pyszniły się tabliczkami opiewającymi gatunek i rocznik, zawartość wnętrza, cenę wina, które można było kupować na baryłki, flaszki albo sączyć z kielichów.

W alejce wiodącej szpalerem beczek, pod płomieniami gazowymi szemrzącymi w palnikach ohydneho kandelabru, pomalowanego na kolor stalowy, między opłotkami krzesel ciągnęły się stoliki — zastawione koszykami pełnymi herbatników Palmersa, ciastek słonych i kruchych, talerzami, na których piętrzyły się cieniutkie plasterki mięsów i sandwicze w mdłych powłokach tające piekielne musztardowe synapizmy — aż do końca piwnicy obwarowanej innymi okseftami: każdy z nich dźwigał na ciemieniu małą baryłeczkę leżącą poziomo, znaczoną napisem, który w dębowej klepce pozostawił żar żelaza.

Skoro tylko des Esseintes zasiadł w tej sali, gdzie drzemały ciężkie wina, owionął go opar alkoholu. Rozejrzał się wokół: tutaj uszeregowane kufy zawierały bogatą kolekcję portweinów cierpkich lub o bukicie owocowym, win barwy mahoni lub amarantu, wyróżniających się pochwalnymi epitetami, takimi jak *old port, light delicate, cockburn's very fine, magnificent old Regina*; tam, wypuczając kolosalne bandziochy, tłoczyły się ogromne kadzie, wypełnione tęgim winem hiszpańskim, xeresem i jego pochodnymi o barwach topazu przydymionego albo przejrzystego, winami *san lucar, pasto, pale dry, oloroso, amontilla*, słodkimi lub wytrawnymi.

W piwnicy było rojno; wsparty łokciami o róg stolika, des Esseintes czekał na szklanek portu zamówioną u dżentelmena odkorkowującego właśnie butelki

z eksplodującą wodą sodową, owalne, podobne kształtem wyolbrzymionym do kapsulek z żelatyny i glutenu, jakich używają farmaceuci, aby zagłuszyć smak niektórych lekarstw.

Wokół diuka Jana mrowili się Anglicy: blade gęby clergymenów od stóp do głów odzianych na czarno, w miękkich kapeluszach, w sznurowanych trzewikach, w niebywale długich surdutach z konstelacjami guziczków na piersi — ludzie to byli gładko wygoleni, w okrągłych okularach, o włosach przylizanych i tłustych; inni: zapijaczony facjaty rzeźników albo mordy buldogów na karkach apoplektycznych i z uszami jak pomidory, rubinowe policzki, oczy nabiegłe krwią i kretyńskie, zarost uformowany w obrozę, jak u niektórych gatunków małp człekokształtnych; dalej, u końca winiarni, tykowały ciemne o konopiastych włosach, brodzie ugarniowanej białymi kłaczkami, jak głab karczocha, rozszyfrowywał przez lupę drobne literki angielskiej gazety; naprzeciw ktoś w stylu amerykańskiego commodore, otyły i przysadzisty, ogorzały na twarzy i z kartoflanym nosem, przysypiał zapatrzone w cygaro, tkwiące w kudłatej dziurze jego ust; z ram porozwieszanych na ścianach wyzierały ogłoszenia win szampańskich: Perriera i Roederera, Heidsiecka i Mumma, a wśród nich twarz mnicha w kapturze, z nazwiskiem wypisanym gotyckimi literami: Dom Pérignon w Reims.

Pewne rozleniwienie spowilo des Esseintes'a w tej atmosferze kordegardy; oszołomiony gadaniną gwarzących Anglików, rozmarzył się i nad purpurą portweinu wypełniającego szklanki jał wyczarowywać postaci Dickensa, które tak lubią popijać to wino, i w imaginacji zaludnił piwnicę nowymi osobistościami: tu widział siwe włosy i krwistą cerę pana Wickfielda; tam — minę flegmatyczną a szczwaną i nieubłagane



*wyobraza sobie, że jest w Londynie*  
spojrzenie pana Tulkingtona, posepnego adwokata z „Samotni”. Na pewno wszyscy odrywali się od pamięci diuka Jana i rozsiadali się w bodedze, przynosząc tu swój żywot i czyny; jego wspomnienia, zaktywizowane niedawnymi lekturami, osiągały niesłychaną dokładność. Miasto powieściopisarza, dom jasno oświetlony, dobrze ogrzany, pieczołowicie obsłużony, szczelnie zamknięty; z butelek nalewa, nie spiesząc się, to mała Dorrit, to znów Dora Copperfield lub siostra Toma Pincha: wszystko to pojawiło mu się niby zaciszna arka żeglująca wśród potopu błota i sadzy. Zaszył się w tym zmyślonym Londynie i szczęśliw, że jest bezpieczny, wsłuchiwał się w żałobne porykiwania holowników płynących Tamizą: za Tuileriami, nie opodal mostu. Opróżnił szklankę; chociaż piwnicę zasnuwały opary, a podgrzewały ją dodatkowo kadzidła fajek i cygar, doświadczał, spadając znowu w rzeczywistość, leciutkich dreszczyków, czas bowiem nastał smrodliwej wilgoci. *o nie nie wychodzi*

Zawołał o szklankę amontillada, lecz to wino wytrawne i złotawe wymiotło uśmierzające przypowiastrki, ślazowate małmazje angielskiego autora, a w ich miejsce wyrosły, jako nielitościwe antidotum, bolesne kataplazmy Edgara Poe; zimny koszmar beczułki amontillada, koszmar człowieka zamurowanego w lochu, obległ diuka Jana; wydało mu się, że pospolite i życzliwe twarze opojów angielskich i amerykańskich odzwierciedlają myśl bezwiedną i okrutną, zamiary instynktowne i wstrętne; a następnie połapał się, że bodega pustoszeje i że zbliża się godzina obiadu; zapłacił, wyrwał się krzesłu i kompletnie oszłamiony dotarł do drzwi. Ulica zionęła mu wilgocią prosto w twarz; zatopione deszczem i miotane wichurą latarnie migotały wachlarzykami płomieni, światła nie dając; opuściwszy się jeszcze niżej, niebo spływało

na brzuchy domów. Des Esseintes popatrywał na arkady ulicy Rivoli, zatopione w mroku i ginące pod wodą, i wydało mu się, że trafił do posepnego tunelu wydrążonego pod Tamizą; kurcze żołądka przywołały go do rzeczywistości; wsiadł w dorożkę, rzucił dorożkarzowi adres tawerny na ulicy d'Amsterdam, nie opodal dworca, spojrzął na zegarek: godzina siódma. Miał akurat tyle czasu, żeby zjeść obiad; pociąg odchodził dopiero o ósmej pięćdziesiąt, diuk Jan jął liczyć na palcach, ile mniej więcej godzin zajmie przeprawa z Dieppe do Newhaven, pomyślał: „Jeśli nie kłamię liczby rozkładu, będę jutro w Londynie punkt wpół do pierwszej”.

Dorożka zatrzymała się przed tawerną, des Esseintes wysiadł znowu i wszedł do długiej sali, bez złocień, brunatnej, na wysokość połowy ciała podzielonej przepierzeniami na serię przegródek podobnych stajennym boksom; w owej sali, rozszerzającej się już od progów, dwie obfite pompy do piwa wznosiły się na kontuarze obok szynek uwędzonych aż do barwy starych skrzypiec, homarów pomalowanych minią, marynowanych makreli obłożonych plasterkami surowej marchwi, cebuli i cytryny, wiązkami lauru i tymianku, obsypanych jałowcem i grubym pieprzem, a pływających w mętym sosie. *tu też towarzystwo Angielki*

Jeden z owych boksów był wolny. Diuk Jan zajął go i przywołał wyfraczonego młodzieńca, który skłonił się, szwargocząc niezrozumiałe słowa. Kiedy kelner układał nakrycie, des Esseintes wpatrywał się w swoich sąsiadów; tak samo jak w bodedze, wyspiarze o fajansowych oczach, minach rozważnych lub aroganckich, cerze szkarłatnej, przeglądali cudzoziemską prasę; jadły obiad jedynie kobiety, bez kawalerów, w swoim damskim towarzystwie: krzepkie Angielki o chłopięcych twarzach, zębach szerokich jak szpachle,



policzkach rumianych jał: jabłka, długorekie i długonogie. Ze szczerym entuzjazmem pałaszowały *rumpsteak-pie*, mięso gorące, duszone w grzybowym sosie i odziane skórką, jak pasztet. *je angielski porstek*

Utraciwszy już od tak dawna apetyt, diuk Jan przyglądał się skonfundowany tym zdrowym dziwom, których żarłoczność podsycała jego głód. Zamówił *oxtail* i jał raczyć się ową zupą z wołowych ogonów, zawieszistą i aksamitną zarazem, tłustą i tęgą; po czym, przestudiowawszy listę ryb, poprosił o haddock, rodzaj wędzonego sztokfiszka, który wydał mu się godzien uwagi, a że widok obżarstwa bliźnich wywołał w nim wilczy głód, zjadł rostbef z kartoflami i wlał w siebie dwie kwarty *ale*, ekscytując się piźmowatym smaczkiem krowiarni, jaki wydziela to piwo delikatne i bladezłote. *ma apetyt*

Głód jego zaznawał satysfakcji; pokosztował niebiesko żyłkowanego sera ze Stilton, łagodnego, lecz i nasyconego goryczką, podziobał ciastko rabarbarowe i dla odmiany ugasił pragnienie porterelem, owym piwem czarnym, w którym czuć syrop lukrecjowy oczyszczony z cukru.

Pocił się; już od lat nie napchał się jak bąk i nie opił; ta zmiana nawyku, ten wybór potraw nie przewidzianych i sytnych, wyrwały żołądek z drzemki. Diuk Jan rozparł się w krześle, zapalił papierosa i zamierzał teraz podelektować się filiżanką kawy rozcieńczonej dżinem.

A deszcz padał i padał; des Esseintes słyszał, jak trzaska w szyby tworzące plafon u końca sali i jak strugami spływa z rynien; nikt nie ruszał się z miejsca; wszyscy, jak i on, cmoktali, nie jedząc, alkohol z kieliszków.

Rozwijały się języki; a że prawie wszyscy ci Angliacy rozmawiając wznosili wzrok do góry, des Esseintes

wywnioskował, iż gawędzą o niepogodzie; nie śmiał się żaden z nich, wszyscy byli odziani w popielaty szewiot w paski jasnożółte i bibulastoróżowe. Ogarnął zachwyconym okiem swój garnitur, którego barwa i krój niczym nie różniły się właściwie od tamtych, i doznał kontentacji, że nie będzie raził w nowym środowisku i że stał się na swój sposób, powierzchownie, autentycznym obywatelem Londynu; po czym drgnął. „A godzina odejścia pociągu? — przypomniał sobie. Spojrzał na zegarek: — Za dziesięć ósma; mogę tu posiedzieć jeszcze z pół godziny” — i znów zadumał się nad powziętym projektem.

W swoim życiu domatora czuł pociąg tylko do dwóch krajów: Holandii i Anglii.

Pierwszej z tych ciągót uczynił już kiedyś zadość: pewnego pięknego dnia nie wytrzymał, opuścił Paryż i zwiedził miasta niderlandzkie, jedno po drugim.

Na ogół z podróży tej wynikły okrutne rozczarowania. Wyobraził sobie Holandię na podstawie dzieł Teniersa i Steena, Rembrandta i Ostade'a, kształtując sobie zawczasu, na swój użytek, nieporównane żydowszczyzny ozłoczone słońcem niczym kurdyban, imaginując sobie cudowne wiejskie hulanki i kiermasze, spodziewając się, że zobaczy patriarchalną dobroduszość, jowialną rozpustę, którą sławili dawni mistrzowie.

Haarlem i Amsterdam urzekły diuka Jana, to pewne; lud nieokrzesany, który oglądał na prawdziwych wsiach, przypominał modele Van Ostade'a, z toporną działawą wyrzezaną jak gdyby kozikiem i z kumochami ociekającymi sadłem, obnoszącymi wypuczone cyce i bandziochy; ani śladu jednak rozszalałych uciech i pijaństw rodzinnych; krótko mówiąc, musiał przyznać, że wprowadziła go w błąd szkoła holenderska ze zbiorów Luwru; posłużyła po prostu jego rojeniom



za trampolinę; zryw pchnął go na fałszywy ślad i zapędził na bezdroża wizyj bez pokrycia; i tak diuk Jan, wbrew swoim spodziewaniom, nie odkrył bynajmniej na owej ziemi krainy czarodziejskiej i rzeczywistej zarazem, nie ujrzał nigdzie trawników zasłanych beczkami ani tańców, wśród których chłopci i chłopki, płacząc z radości, przytupując ze szczęścia, zanosili się takim śmiechem, że aż popuszczali w spódnice i w portki.

*Holandia*  
Nie, z wszelką pewnością, nie widywało się nic takiego; Holandia okazała się krajem podobnym do innych, bynajmniej nie prymitywnym, bynajmniej nie dobrodusznym, srożyła się tam bowiem religia protestancka ze swoimi skostniałymi formami obłudy i ze swoją uroczystą sztywnością.

Przypomniało mu się to rozczarowanie; znów spojrział na zegarek: dziesięć minut dzieliło go od godziny odjazdu pociągu. Czas najwyższy poprosić o rachunek i odejść, pomyślał. Czuł jak najokropniejszy ciężar w żołądku i straszliwą ociążałość w całym ciele. „No — mruknął, żeby dodać sobie otuchy — to wypijmy strzemiennego”; i, wołając o rachunek, napełnił kieliszek wódką. Indywiduum we fraku, z serwetką wetkniętą pod pachę, rodzaj ochmistrza o ciemieniu spiczastym i łysym, o brodzie szpakowatej i szczeciniastej, indywiduum bezwąsę podeszło z ołówkiem wsadzonym za ucho, upozowało się, nogę wysunawszy do przodu niby tenor, wyciągnęło z kieszeni notes i nie zaglądając do środka, z oczyma wlepionymi w sufit, nie opodal kandelabra, wpisało i zsumowało należność. „Proszę” — powiedziało i wyrwawszy kartkę z notesu wręczyło ją des Esseintes'owi, który obserwował je z ciekawością, niczym rzadki specymen zwierzęcia. „Co za nadzwyczajny John Bull” — pomyślał kontemplując ową flegmatyczną osobistość.

z wargami wygolonymi jak u sternika amerykańskiej marynarki.

W tymże momencie otworzyły się drzwi tawerny; weszli jacyś ludzie wnosząc ze sobą odór zmokniętego psa pomieszany z dymem węglowym, przygnanym przez wiatr, co wdarł się do kuchni, trzaskając drzwiami pozbawionymi klamek; des Esseintes był niezdolny poruszyć nogami; łagodne i ciepłe uniestwienie wśliznęło mu się we wszystkie członki, paraliżując go tak dalece, iż nie mógł nawet wyciągnąć ręki, żeby zapalić cygaro. Powiadał sobie: „No, jazda, rusz się, trzeba zmykać”; lecz natychmiast okoniem stanął wobec tych rozkazów; po kiego licha się ruszać, skoro można tak wspaniale wojażować na krześle? Czyż nie znalazł się już w Londynie, którego zapachy, którego atmosfera, którego mieszkańcy, którego jadło, którego utensylia otoczyły go tutaj? Czegóż mógłby się spodziewać prócz nowych rozczarowań, jak w Holandii?

*rozczarowanie Holandii, w której tej się*  
Pozostało mu już tylko tyle czasu, żeby pobiec na dworzec, a wtedy bezmierna awersja do podróży, przemożna potrzeba niezmaconego spokoju jeły osaczać go z natarczywością wzrastającą, coraz bezwzględniejszą. Zamyślony, pozwalał upływać minutom i odcinając sobie tym samym odwrót, mruczał: „Teraz musiałbym popędzić do kasy, tłoczyć się z bagażami; co za przykrość! co za udreka! — I powtarzając sobie raz jeszcze: — W sumie doświadczyłem tego, czego chciałem doświadczyć, i obejrzałem to, co chciałem zobaczyć. Od chwili wyjazdu syciłem się życiem angielskim; tylko wariat niewczesną zmianą miejsca traciłby niezniszczalne wrażenia. W końcu, jakąż to powodując się aberracją próbowałem zaprzeć się dawnych poglądów, skazać na zagładę posłuszne fantasmagorie mojego mózgu, żeby, jak istny żółtodziób,

*próbę wyrzeczenia się dotychczasowego  
zycia samobitka*



uwierzyć w konieczność, w strony interesujące, w pożytek wycieczki? No właśnie — zauważył spoglądając na zegarek — ależ pora już wracać do domu". Tym razem wstał, rozprostował nogi, wyszedł, kazał dorózkarzowi wieźć się na stację w Sceaux, i ze swoimi kufkami, paczkami, sakwożaczami, plecakami, parasolami i laskami wrócił do Fontenay, przetracony fizycznie i sfatygowany duchowo niby ktoś, kto po długim i niebezpiecznym wojażu zawitał w domowe pielesze.

*Wraca do domu*

## XII

*literatura*

W toku dni, jakie nastąpiły po jego powrocie, des Esseintes przepatrywał swoje książki, a na myśl, że mógłby z nimi rozstać się na długo, smakował w zadowoleniu nie mniej rzetelnym niż to, którym radowałby się odnalazłszy je po prawdziwej niebytności. Dzięki bodźcowi owego sentymentu przedmioty te wydały mu się nowe, dostrzegł bowiem w nich piękno zapomniane od czasu, kiedy je był zakupił.

Wszystko — tomy, bibeloty, meble — nabrało w oczach diuka Jana szczególnego uroku; łóżko wydało mu się miększe w porównaniu z hotelowym wyrkiem, na jakim sypiałby w Londynie; zachwycała go milcząca i dyskretna obsługa lokaja i kucharki, czuł się bowiem sfatygowany na samą myśl o hałaśliwym gadulstwie hotelowych posługaczy; oszacował jeszcze wyżej metodyczną organizację swojego życia, skoro mógł i tak w każdej chwili wyruszyć dokądś na los szczęścia.

Pokrzepił się tą kąpielą nawyków, do której sztuczne żale wsączały wartość bardziej krzepiącą i bardziej toniczną.

Głównie jednak pochłaniały go wolumina. Obejrzał je z uwagą, ustawił znów na półkach, sprawdziwszy, czy od czasu jak sprowadził się do Fontenay, upały i deszcze nie uszkodziły opraw i nie pocętkowały wyszukanego papieru.

Poruszył najpierw całą bibliotekę łacińską, co czyniwszy, wedle nowego porządku poustawiał dzieła specjalne, Archelausa, Alberta Wielkiego, Lulla, Arnau-da de Villanova, traktujące o kabale i naukach tajemnych; na koniec, przejrzawszy kolejno swoje książki współczesne, stwierdził z radością, że nie ucierpiała ani jedna.

*kolekcja książek:*

Na tę kolekcję wydał kiedyś znaczne sumy; nie godził się bowiem z myślą, żeby autorzy, którymi się delectował, figurowali w jego bibliotece, jak u innych, drukowani na bawełnianym papierze, tłoczni podkutyimi butami Owerniaka.

W Paryżu niegdyś kazał zecerom specjalnie wynajmowanym drukować wyłącznie na swój użytek niektóre tomy na prasie ręcznej; to znów robił zamówienia w Lyonie, u Perrina, którego czcionki smukłe i czyste pasowały do archaizowanych imitacji starych ksiąg; albo sprowadzał z Anglii lub Ameryki litery nowoczesne do sporządzania dzieł doby obecnej; bądź jeszcze zwracał się do drukarni w Lille, która od wieków posiadała bogaty zbiór czcionek gotyckich; to wreszcie akaparował w Haarlem starą drukarnię Enschedégo, której odlewnia zachowała stemple i matryce czcionek naśladowujących pismo ręczne.

Był nie mniej wybredny, co się tyczyło papieru. Pewnego pięknego dnia sprzykrzywszy sobie srebrzysty papier chiński, mieniający się jak perłowa macica, i złotawy papier japoński, biały wathman, szarobrunatny papier holenderski, turkey i seychal-mills barwione na kremowo, zbrzydźszy sobie również papier



fabrykowany mechanicznie, zamówił specjalny papier zeberkowy, wytłaczany w deseń w staroświeckiej manufakturze Vire'a, gdzie do dziś używają miedlic, służących ongiś do obróbki konopi. Ażeby swoją kolekcję urozmaicić nieco, kilkakroć sprowadzał z Londynu papier apreturowany i repsowy; żeby zaś diuka Jana wspomagać w jego pogardzie dla bibliofilów, pewien kupiec z Lubeki przysyłał mu papier z połyskiem, udoskonalony, niebieskawy, szeleszczący, z lekka łamliwy, w którego miąższu zamiast ździebełek słomy tkwiły złociste drobiny, podobne tym, jakie migoczą w gdańskiej wódce.

W tych warunkach prokurował sobie książki w swoim rodzaju jedyne, o nie spotykanych formatach, którym Lortic, Trautz-Bauzonnet, Chambolle, spadkobiercy Capégo, nadawali nienaganną szatę: ze starego jedwabiu, z wytłaczanej wołowej skóry, ze skóry koźła z Cap, oprawy masywne, z kasetonikami, zdobne mozaiką, podbite różnorodnymi gatunkami mory, kościelnie zbrojne w klamry i kute narożniki, niekiedy zdobione przez Gruel-Engelmanna srebrem, oksydowanym lub emaliami przejrzystymi.

I tak oto kazał dla siebie wydrukować prześliczną biskupią czcionką dawnej firmy Le Clere dzieła Baudelaire'a w szerokim formacie, podobnym formatowi mszałów, na leciutkim pilśniowanym papierze japońskim, gąbczastym, miękkim jak rdzeń czarnego bzu i niedostrzegalnie zabarwionym w swojej mlecznej białości odrobiną różu. Edycję tę, liczącą jeden egzemplarz, z zewnątrz i od wewnątrz odział w autentyczną i cudowną skórę maciory, wybraną spośród tysiąca, koloru cielistego, nakrapianą punkcikami w miejscach po szczeci i przystrojoną czarnym koronkowym wzorem, który zimną żelazną sztancą wytłoczył i dobrał idealnie pewien wielki artysta.

Owego dnia des Esseintes zdjął z półki ten tom niezrównany i dotykając go z nabożeństwem odczytywał niektóre liryki, co w tych ramach prostych, a bezcennych wydawały mu się bardziej aniżeli kiedykolwiek przedtem dojmujące.

*Baudelaire*  
{ Bezgranicznie wielbił tego pisarza. Zdaniem diuka Jana literaci aż dotąd ograniczali się do badań powierzchni duszy lub do wycieczek w jej podziemia, łatwo dostępne i oświetlone, wykrywając tu i ówdzie złoża grzechów głównych, studiując ich żyły, ich rozrost, notując, jak na przykład Balzac, te z nawarstwień duszy, które opętała monomania namiętności, ambicja, skąpstwo, rodzicielska głupota lub miłość starcza.

Bo i skądinąd znachodziło się tam wyborne zdrowie cnót i występków, spokojne działania umysłów uformowanych na jedno kopyto, praktyczną rzeczywistość obiegowych poglądów, bez ideału chorobliwej deprawacji, bez zaświatów; w sumie, odkrycia analityków zatrzymywały się na spekulacjach w materii zła lub dobra, sklasyfikowanych przez Kościół; były to zwykłe dociekania, pospolite obserwacje, których dokonuje botanik przypatrując się z bliska przewidzianemu rozwojowi normalnych roślin zasadzonych w przyrodzonej im, naturalnej glebie.

Baudelaire poszedł dalej; zstąpił aż na dno nieprzebranej kopalni, zapuścił się w galerii porzucone lub nie znane, dotarł aż do tych dystryktów duszy, gdzie rozgałęzia się monstrualna flora myśli.

Tam, nie opodal kresów, gdzie przebywają aberracje i choroby, tężec mistyczny, malaria rozpusty, tyfoidy i wymioty zbrodni, znalazł, lęgnącą się pod posepnym kloszem Nudy, straszliwą wtórną młodość idei i sentymentów.

{ Ujawnił chorobliwą psychologię ducha, który osiągnął już pałdziernik jego wrażeń; opisał symptoma-



tykę dusz zagarniętych przez boleść lub uprzywilejowanych spleenem; ukazał wzrastającą próchnicę odczuć, kiedy wysycha entuzjizm i wiara młodzieńcza i kiedy w umysłach uciskanych absurdalnym losem pozostają już tylko jałowe wspomnienia po przeżytych nieszczęściach, doznanej tyranii i niezasłużonych afrontach.

*Baudelaire*  
Prześledził wszystkie fazy tej żałosnej jesieni, przypatrując się stworowi ludzkiemu, który tak łatwo gorzknieje i tyle ma zdolności, by fałszować samego siebie — kiedy zmusza swoje myśli do wzajemnych oszustw, aby cierpieć tym mocniej; prześledził psując zawczasu, z pomocą analizy i obserwacji, wszelką możliwą radość.)

Potem w owej podrażnionej wrażliwości ducha, w owym okrucieństwie refleksji, która odrzuca krępującą żarliwość poświęceń, życzliwe zniewagi miłosierdzia, ujrzał wyłaniającą się z wolna grozę starczej miłości, owych przejrziałych amorów, kiedy mimo wzajemnego oddania jedno ma już się na baczności przed drugim i kiedy fatyga domaga się od stadeł pieśczęt dziecięcych, gdzie pozorna młodzieńczość wydaje się czymś nowym, a naiwność macierzyńskich igraszek swoją słodyczą koi i — by tak rzec — przyzwala na ekscytujące wyrzuty, powodowane mglistym kazirodztwem.

Na wspaniałych stronicach przedstawił swoje hybrydowate amory, rozjątrzone niemożnością spełnienia, owe niebezpieczne kłamstwa narkotyków i trucizn, przywoływanych na pomoc, aby uspić boleść i przemóc nudę. W czasach, kiedy literatura przypisywała niemal wyłącznie dramat życia niedolom zapoznanej miłości i zazdrościom wynikłym z wiarołomstwa małżeńskiego, zlekceważył był te dziecinne choroby i sondował rany bardziej nieuleczalne, bardziej piekące, głębsze, wyżarte przesytem, rozczarowaniem, pogardą,

rany zrujnowanych dusz, które torturuje teraźniejszość, przeszłość odpycha, a przyszłość trwoży i do rozpaczy przywodzi. *Baudelaire*

Im pilniej des Esseintes wczytywał się w Baudelaire'a, tym częściej delectował się niewysłowionym urokiem tego pisarza, który w epoce, kiedy wiersz służył już tylko odmalowywaniu powierzchni człowieka i świata, doszedł do wyrażania spraw niewyraźalnych dzięki językowi muskularnemu i mięsistemu, pisarza, co posiadał, w stopniu dla innych niedosiężnym, ów cudowny dar definicji nacechowanej osobliwą jędrnością opisu stanów chorobowych najnieuchwytniejszych, najbardziej rozdygotanych, właściwych znużonym umysłom i duszom smutnym.

Po Baudelaire liczba książek francuskich, które diuk Jan ustawił na półkach, była raczej skąpa. Z pewnością był nieczuły na dzieła, nad którymi wypada omdlewać z zachwytu. „Potężny śmiech Rabelais'go” i „rzetelny komizm Moliere'a” nie umiały rozchmurzyć go jakoś, w swojej zaś antypatii do tych fars posuwał się dość daleko, ze stanowiska sztuki nie lękając się utożsamiać ich z paradami błaznów, radującymi jarmarczną publikę.

W domenie poezji dawnej czytywał tylko Villona, wzruszały go bowiem jego melancholijne ballady — i niekiedy ten lub ów kawałek d'Aubignego, który pobudzał mu krew swoimi niewiarygodnymi jadami, apostrofami i anatemami.

W rzeczach prozy nie troskał się zbyt o Voltaire'a i Rousseau, a nawet o Diderota, którego „Salony”, tak zachwalane, wydawały mu się osobliwie pełne moralizujących bzdur i głupkowatych wzdychań; z nienawiści do całego tego tachlactwa poprzestawał niemal wyłącznie na lekturze krasomówców chrześcijańskich: czytywał Bourdaloue i Bossueta, poddając



\* się działaniu ich fraz melodyjnych i zdobnych; ale jeszcze bardziej lubował się i rozsmakowywał w skondensowanej treści fraz mocnych i surowych, takich, jakie komponował Nicole, wysoko szacując jego myśl, nade wszystko jednak cenił Pascala, którego nieprzejednany pesymizm i bolesne zasmucenie zapadały mu w serce.

Wyjąwszy kilka tych książek, literatura francuska zaczynała się w bibliotece diuka Jana wraz ze stuleciem.

1) 2) Dzieliła się na dwie grupy: pierwsza z nich zawierała literaturę zwykłą, świecką; druga — literaturę katolicką, literaturę specjalną, prawie nie znaną, chociaż przez prastare i ogromne domy wydawnicze rozsyłaną w cztery strony świata.

Z nie mniejszą odwagą, aniżeli wśród sztuki świeckiej, diuk Jan błądził i po tych podziemiach, odkrywając pod gigantycznymi zwalami bredni dzieła prawdziwych mistrzów.

Cechę wyróżniającą tej literatury stanowiła żelazna niezmiennosc idei i języka; Kościół — podobnie jak uwiecznił pierwotną formę przedmiotów liturgicznych — zachował relikwie dogmatów i z pietyzmem zakonserwował ich ramy: język oratorski z czasów Ludwika XIV. Otóż, jak głosił nawet jeden z pisarzy Kościoła, Ozanam, język Rousseau był w niczym nieprzydatny stylowi chrześcijańskiemu; styl ów posługiwać się mógł wyłącznie dialektem, jakiego używali Bourdaloue i Bossuet.

Wbrew temu stwierdzeniu Kościół, bardziej tolerancyjny, patrzył przez palce na niektóre wyrażenia, niektóre zwroty zapożyczone z języka laickiego wspomnianej epoki, tak więc idiom katolicki oczyścił się nieco z fraz masywnych, przeciążonych, u Bossueta szczególnie, rozwlekłością wstawek i nazbyt sztucz-

nymi powiązaniem zaimków; do tego jednak ograniczyły się ustępstwa, dalsze zresztą nie dałyby nic raczej, odbalastowana bowiem w ten sposób proza i tak wystarczała, by zaspokoić skąpą ilość tematów, na jaką skazywał się Kościół.

Niezdolny dobrać się do życia współczesnego, uczynić widzialnym i namacalnym aspekt najprostszy spraw ludzkich, niezdatny, by tłumaczyć zawiłe fortele umysłu obojętnego na stan łaski, w tematyce abstrakcyjnej ów język był jednak niedościgły; użyteczny w dysputach, w dowodach teoretycznych, w krystalizacji niepewnych komentarzy, miał, w stopniu znaczniejszym niż wszelkie inne języki, autorytet konieczny, by stwierdzać bez dyskusji wartość doktryny.

Nieszczęściem tu, jak i wszędzie, niezliczone zastępy pedantów zagarnęły sanktuarium, a swoim nieuctwem i beztalenciem zbrukały jego styl surowy i szlachetny; ale katastrofa nastąpiła, kiedy w rzecz wmieszały się dewotki: nieinteligentne zakrystie i nierozważne salony jęły sławić, na równi z dziełami genialnymi, nędzne wycpiny tych babusów.

Powodowany ciekawością des Esseintes przeczytał dziełko jednej z nich, pani Swieczyn, owej generałowej rosyjskiej, do której paryskich apartamentów cisnęli się co najzarliwsi katolicy; książki te ziały dla diuka Jana niespożyta i przygnębiająca nudą; były bardziej aniżeli złe, były żadne; dawały jednak pojęcie o echach, jakie plątały się po kapliczce, gdzie światek dystygowanych bigotów klepał pacierze, szeptał sobie z ucha do ucha nowiny, powtarzał, z miną tajemniczą i mądrą, te lub owe komunały polityczne, informował się wzajem o prorocत्वach barometru lub obecnym stanie aury.

Ale była postać jeszcze gorsza: patentowana laure-



atka Instytutu, pani Augustusowa Craven, autorka raport takich, jak „Récit d'une soeur”, „Éliane”, „Fleurange”, w całej prasie apostolskiej wspieranych hałaśliwym wtórem organów i serpentu. Des Esseintes nigdy nie wyobraziłby sobie nawet, że można wypisywać podobne banialuki. Ze stanowiska myślowego powieści te cechowało tyle głupoty i były pisane językiem tak mdlącym, że stawały się z tej racji niemal intymne, niemal wyszukane.

A zresztą nie wśród kobiet des Esseintes, człowiek o duszy nie najświeższej i z natury mało sentymentalny, mógł napotkać literacki azyl, stosowny do jego upodobań.

Przykładał się jednak, i to z uwagą, której nie zdołało rozproszyć żadne zniecierpliwienie, by zasmakować w dziełach pewnej genialnej panny, dziewicy-sawantki wspomnianych salonów; wysiłki jego spełzły na niczym; nie nadgryzł nawet ani „Dziennika”, ani „Listów”, gdzie Eugenia de Guérin sławi niepowściągliwie nadzwyczajny talent brata, który rymował z taką naiwnością, z takim wdziękiem, iż należałoby cofnąć się do dzieł pana de Jouy i pana Écoucharda Lebrun, aby znaleźć rzeczy równie śmiałe i równie nowe!

Daremnie też kusił się zrozumieć delicyjność owych dziełek, gdzie odkrywamy perełki w tym oto guście: „Dziś rano zawiesiłem nad łóżkiem tatusia krzyżyk, który podarowała mu wczoraj pewna dziewczyneczka”; „Ksiądz Roquiers zaprosił mnie z moją Mimi na jutro, na poświęcenie dzwonu; podoba mi się, owszem, ta wycieczka”; albo gdzie podkreśla się znaczenie takich oto ewenementów: „Zawiesiłem sobie na szyi medalik z Najświętszą Panną, który Ludwika przysłała mi jako prezerwatywę przeciw cholerze”; albo jeszcze poezja w tym stylu: „O piękny promieniu księżyca,

któryś padł na Ewangelię, kiedym ją czytał!” — wreszcie spostrzeżenia tyleż wnikliwe co subtelne, na przykład: „Kiedy widzę, jak przechodzi przed krzyżem mężczyzna, który żegna się i zdejmuje kapelusz, powiadam sobie: «Oto przechodzi chrześcijanin!»”.

I ciągnęło się to w tym sposobie, bez ustanku, aż wreszcie zmarł Maurycy de Guérin, a siostra opłakała go na nowych stronicach pisanych prozą wodnistą, usianą tam i sam kawałeczkami poematów, nad których żalosnym ubóstwem des Esseintes jął litować się w końcu.

Ach, bo i prawdę mówiąc, partia katolicka była aż nazbyt niewymagająca w wyborze swoich protegowanych i całkiem zaniedbywała artyzm! Te jej nad wyraz umiłowane limfatyczki, dla których tyranizowała swoje gazetki i tak uległe, pisywały co do jednej niby klasztorne pensjonarki, językiem bezbarwnym, uprawiając niepohamowane słowolejstwo!

Toteż des Esseintes ze zgrozą odwracał się od owej literatury; ale współcześni mistrzowie kapłaństwa nie darzyli go również wystarczającą rekompensatą, co zaradziłyby na te rozczarowania. Byli kaznodziejami i polemistami nienagannymi i poprawnymi, ale język chrześcijański w ich dyskursach i książkach ugrzązł już na mieliźnie bezosobowości, skostniał w retorykę o kadencjach i pauzach z góry przewidzianych, stał się serią okresów, budowanych wedle jednego i tego samego modelu. Bo i rzeczywiście, całe duchowieństwo pisywało jednakowo, z większą czy mniejszą dezynwolturą lub emfazą, i nie istniała prawie żadna różnica między szarościami, które kreślili świątobliwi Dupanloup czy Landriot, La Bouillerie czy Gaume, Dom Guéranger czy ojciec Ratisbonne, biskupi Freppel czy Perraud, wielebni ojcowie Ravignan czy Gratry, jezuita Olivain, karmelita Dosithée, dominikanin Didon



czy wreszcie dawny przeor klasztoru Saint-Maximin, przewielebny Choucarne.

Des Esseintes często rozmyślał nad tym: potrzebny jest talent nader autentyczny, oryginalność nader głęboka i przekonanie mocno zakotwiczone, aby odmrozić ów język tak zimny, ożywić ów styl ambonalny, który nie znosi żadnej myśli nieoczekiwanej, żadnej odważnej tezy.

A jednak istniało kilku autorów, którzy swoją płomienną elokwencją gięli i topili ów język: Lacordaire zwłaszcza, jeden z nielicznych prawdziwych pisarzy, jakich od lat wielu wyprodukował Kościół.

Zamknięty, podobnie jak wszyscy jego konfratry, w ciasnym kręgu ortodoksyjnych spekulacji, zmuszony jak i oni dreptać w miejscu i korzystać z tych jedynie idei, które sformułowali i uświęcili ojcowie Kościoła, a rozwinęli mistrze ambony, potrafił jednak błyszczeć, odmładzając je i niemal modyfikując z pomocą kształtu osobistszego i żywszego. W swoich „Conférences de Notre-Dame” rozsiewał odkrycia stylistyczne, zuchwalstwa słowne, akcenty uczuciowe, zrywy, okrzyki wesołości, i tak pod jego piórem, wylewnym a szaleńczym, kipiał język świecki. Był w nim jednak nie tylko utalentowany mówca: ów mnich łagodny i zręczny całe swoje zdolności dyplomatyczne poświęcił nieosiągalnemu zadaniu, usiłując pojednać liberalne doktryny społeczeństwa z nienaruszalnymi dogmatami Kościoła; z natury swej kochał żarliwie, a paktował delikatnie. Tak więc w listach, pisywanych do młodzieńców, od przymileń ojcowskich przechodził do ojcowskich napomnień, nie szczędząc życzliwych rad ani pobłażliwych przebaczeń. Uroczyste były niektóre z tych listów, tam, gdzie wyznawał zachłanność swoich uczuć; inne budziły niemal respekt, kiedy dodawał otuchy i rozwiewał wątpliwości, powołując

*Literatura katolicka*  
się na niewzruszoną pewność swej Wiary. W sumie owe ojcowskie uczucia, nabierając pod jego piórem jakiejś delikatności i kobiecości, nadawały prozie Lacordaire'a akcent szczególny, nigdzie indziej w piśmiennictwie hormiletycznym nie napotykanym.

Po nim tylko nader już nieliczni księża i mnisi mogliby się pochlubić jakąś indywidualnością. Co najwyżej kilka stronic napisanych przez jego ucznia, księdza Peyreyve, zdołałoby wytrzymać lekturę. Ów kapłan pozostawił nam garść wzruszających wspomnień biograficznych o swoim mistrzu, napisał parę przemiłych listów, swoje zaś artykuły redagował w dzwicznym języku retoryki; wygłaszał też mowy panegiryczne, gdzie ton deklamatorski dominował zbyt. To pewne, że ksiądz Peyreyve nie doznawał ani wzruszeń Lacordaire'a, ani nie buzowała w nim jego żarliwość. Był nazbyt kapłanem, a za mało człowiekiem; tu i ówdzie jednak w retoryce jego kazań wybuchały ciekawe porównania, frazy bogate i mocne, wzloty niemal dostojne.

Ale należało dotrzeć do pisarzy, co nie otrzymali święceń kapłańskich, pisarzy świeckich, zespolonych z interesami Kościoła i oddanych jego sprawie, aby odnaleźć prozatorów godnych uwagi.

Styl episkopalny, którym tak banalnie manipulowali prałaci, odzyskał swój hart i w pewnym sensie odwojował swój męski wigor, począwszy od hrabiego de Falloux. Mimo pozorów umiarkowania, ów członek Akademii ział złością; przemówienia, jakie w roku 1848 wygłaszał w Parlamencie, były rozwlekłe i szarawe, lecz artykuły, które publikował w „Correspondant”, a potem gromadził w książkach, były jadowite i napaśtliwe pod maską formy ugrzecznionej przesadnie. Pomysłane jako oracje, zawierały pewną gorzką werwę i zadziwiały nietolerancją przekonań.



Polemista niebezpieczny, skutkiem zastawianych przezeń pułapek, logik pokrętny, prowadzący walkę podjazdową i uderzający znienacka, hrabia de Falloux opisał przejmująco śmierć pani Swieczyn, której dziełka był zebrał, a którą czcił jak świętą.

Ale jego temperament pisarski zaznaczył się naprawdę w dwóch broszurach, z których jedna ukazała się w roku 1846, a druga — nosząca tytuł „Unité nationale” — w 1880.

Ożywiony zimną wściekłością, nieugięty legitymista, tym razem wbrew swoim zwyczajom zrzucił przyłbicę i ciskał, perorując, w niedowiarków płomiennymi inwektywami:

„A wy, utopiści zatwardziali, którzy czynicie z natury ludzkiej abstrakcję, poplecznicy ateizmu, karmieni chimerami i nienawiścią, wyzwoliciele kobiet, niszcyciele rodzin, genealogowie małpiej rasy, wy, których imię było niegdyś obelgą, cieszcie się: wy byliście prorokami, a wasi uczniowie będą kapłanami ohydnej przyszłości!”

Pierwsza z tych broszur, pod tytułem „Parti catholique”, atakowała despotyzm gazety „Univers” i Veuillota, którego nazwiska autor nie raczył wymienić ani razu. Ponawiał tutaj pokrętne napaści, trucizna sączyła się spod każdego wiersza, kiedy ów posiniaczony szlachcic odpowiadał wzgardliwymi sarkazmami na kopniaki wymierzane przez zapaśnika.

We dwóch reprezentowali wybornie dwie partie Kościoła, gdzie różnice zdań przekształcają się w nieprzejednaną wzajemną nienawiść; de Falloux, dumniejszy i szczwańszy, należał do owej sekty liberalnej, w której zjednoczyli się już i de Montalembert, i Cochin, i Lacordaire, i de Broglie; duszą był oddany poglądom „Correspondant”, periodyku, który usiłował pokryć lakierem władcze zakusy Kościoła; Veuillot,

bardziej obnażony, szczerzy, odrzucał maski, przyświadczał bez wahania zapędem ultramontańskim, wyznawał bez osłonek nielitościwe jarzmo dogmatów, dopominał się o nie.

Do walki sfabrykował sobie język szczególny, w którego skład wchodził La Bruyère i przedmieście Gros-Caillou. Ów styl na poły uroczysty, na poły chadowaty, nabierał groźnej mocy kastetu, kiedy szermowała nim osobowość brutalna. Nadzwyczaj uparty i zuchwały tłukł owym straszliwym narzędziem zarówno wolnomyślicieli, jak i biskupów, waląc wrogów na odlew, szarżując na nich niczym byk, do jakiegokolwiek zaliczaliby się stronnictwa. Kościół nie ufał mu nigdy, nie aprobował ani jarmarcznego stylu Veuillota, ani jego póz rodem z przedmieścia, a jednak ów drań pobożny narzucił się swoim wielkim talentem, napuścił na siebie całą prasę, którą wychłostał aż do krwi w swoich „Odeurs de Paris”, stawiał czoła wszelkim atakom, odganiał kopniakami wszystkich nędznych pisarków, co próbowali kąsać go po nogach.

Nieszczęściem, ów talent niezaprzeczony istniał jedynie w bójkach na pięści; Veuillot — spokojny — był już tylko miernym literatem; jego poezje i powieści budziły litość; tu język ostro zaprawiony pieprzem wietrzył i stawał się bezsilny; w zaciszu domowym zbir katolicki przeobrażał się w dziadygę, który wykastywał banalne litanie i miamał dziecinne kantyczki.

Bardziej napuszony, sztywniejszy, poważniejszy, był beniaminek Kościoła, apologeta, inkwizytor języka chrześcijańskiego: Ozanam, Des Esseintes, niełatwo dający się zaskoczyć, zdumiewał się wciąż jednak tupeciem tego pisarza, który rozprawiał o nieprzeniknionych wyrokach Bożych, chociaż winien byłby najpierw



przedstawić dowody dla swoich tez nieprawdopodobnych; z najzupełniej zimną krwią Ozanam przeinaczał wypadki i jeszcze bezwstydniej niż panegiryci z innych stronnictw zaprzeczał faktom zaświadczonej przez historię: zapewniał więc, iż Kościół nigdy nie krył się ze swoją estymą dla nauki; nazywając zaś herezje brudnymi miazmatami, traktował buddyzm, a także inne religie z taką wzdargą, iż przepraszał, że zanieczyszcza swoją katolicką prozę samym już tylko napastowaniem podobnych doktryn.

Chwilami namiętne uczucia religijne rozniecały pewien żar w jego retoryce, pod której lodem kipiał nurt stłumionej gwałtowności; w swoich licznych pismach o Dantem, o świętym Franciszku, a autorze „Stabat”, o poetach franciszkańskich, o socjalizmie, o prawie handlowym, o wszystkim w ogóle, ów człowiek bronił Watykanu, który poczytywał za instytucję doskonałą, wszelkie zaś sprawy szacował pod jednakowym kątem, w zależności od tego, czy zbliżały się do jego sprawy własnej, czy też odchodziły od niej.

To stanowisko wobec problemów, uznające jeden tylko punkt widzenia, cechowało również nędznego pisarzynę, którego ten i ów przeciwstawiał Ozanamowi jako rywala: był nim Nettement. Mniej zesznurowany, przejawiał predylekcje mniej wzniosłe, za to bardziej światowe; parokroć opuszczał literacki klasztor, w którym zamknął się był Ozanam, i buszował po dziełach świeckich, żeby je osądzać. Poruszał się w nich po omacku, niczym dziecko w piwnicy, widząc wokół siebie jedynie mroki i dostrzegając wśród owej czerni tylko płomyk świecy, który rzucał przed nim światło na kilka kroków.

Nieświadom miejsca, otoczony ciemnością, potykał się co moment, mówiąc na przykład o Murgerze, że „troskał się o styl wyczulowany i starannie wykoń-

czony”; o Wiktorze Hugo, że był poszukiwaczem paskudztw i ohydy, ośmielając się porównywać z nim pana de Laprade; o Delacroix, że gardził regułami; słał natomiast Paula Delaroche i poetę Reboula, gdyż według niego mieli wiarę.

Des Esseintes chcąc nie chcąc wzruszał ramionami na te poglądy, odziane prozą pochodzącą jak gdyby z przytułku, której tkanina, znoszona już, zaczepiała się i darła o każdy narożnik zdania.

Z drugiej strony dziełka pisarzy takich, jak Poujoulat i Genoude, Montalambert, Nicolas i Carné, nie budziły w nim raczej żywszych wrażeń; ani jego skłonność do historii, traktowanej z erudycyjną pieczęcią i w szacownym języku diuka de Broglie, ani jego pociąg do zagadnień społecznych i religijnych, rozstrząsanych tak, jak czynił to Henry Cochin, który zasłynął wszelako listem o wzruszających obłóczynach w Sacré-Coeur, nie dawały znać o sobie. Od dawna nie dotykał tych książek i oddaliły już się czasy, kiedy cisnął między stare szpargały dziecinne elukubraty grobowego Pontmartina i lichutkiego Févala i kiedy obdarował sługi, dla wspólnego ich użytku, historyjkami panów Aubineau i Lasserre'a, którzy byli podłymi hagiografami cudów dokonywanych przez świętobliwego pana Duponta z Tours i Naświętszą Pannę.

W sumie des Esseintes nie zyskiwał z tej literatury nic a nic, ani na moment nie rozpraszała jego nudy; toteż wpełznął w ciemne kąty półek bibliotecznych stertę książek, nad którymi medytował ongi, opuściwszy kolegium ojców. „Winienem być zostawić toto w Paryżu” — pomyślał wyszperawszy spoza innych książek dziełka, na które zżymał się szczególnie: utwory księdza Lamennais i pisma zakutego sekciarza, tak magistralnie, tak pompatycznie nudnego i pustego, hrabiego Józefa de Maistre.



Jeden jedyny tom pozostał na półce, w zasięgu ręki właściciela: „L'Homme” Ernesta Hello.

Hello stanowił absolutną antytezę swoich współwyznawców. Niemal samotny w tej nabożnej kompanii, którą drażnił niepomiernie swoimi manierami, Ernest Hello opuścił w końcu trakt główny, wiodący z ziemi do nieba; zbrzydźszy sobie zapewne i banalność owej drogi, i tłum literackich pielgrzymów, drepczących gęsiego, od stuleci po jednej i tej samej ścieżce, nałazących sobie wzajem na pięty, zatrzymujących się w tych samych miejscach, aby wymieniać te same komunały na temat religii, ojców Kościoła, tych samych wierzeń, tych samych mistrzów, ruszył bocznymi drózkami, wyszedł na posępną polanę Pascala, gdzie zabawił dłużej pragnąc nabrać oddechu, a następnie dalej pokierował się własnym szlakiem i zapuścił się głębiej niż ów jansenista, którego wydrwiwał skądinąd, w rejony ludzkiej myśli.

Pokrętny i frymuśny, namaszczony i mroczny, Hello wnikliwymi subtelnościami swoich analiz przypominał des Esseintes'owi dociekliwe i sondujące studia niektórych psychologów-niedowiarków z ubiegłego i obecnego stulecia. Istniał w nim ktoś na kształt katolickiego Duranty, był jednak bardziej dogmatyczny i bystrzejszy, wytrawniej posługiwał się lupą; uczony inżynier dusz, zręczny zegarmistrz mózgu, lubował się w badaniach nad mechanizmami namiętności, które wyjaśniał jako znawca najdrobniejszych kółeczek.

W umyśle tym, uformowanym dziwnie, pojawiały się związki myślowe, powinowactwa i sprzeczności, których nie przewidziałby nikt; ponadto, w sposób ciekawy posługiwał się on etymologią słów, czyniąc z niej odskocznnię dla conceptów, które — choć bywały nieskładne — pozostawały niemal zawsze pomysłowe i żywe.

Tak więc, mimo chwiejnej równowagi swoich konstrukcyj, Hello ze szczególną wnikliwością rozmontował „skapca”, „człowieka przeciętnego”, zanalizował „upodobanie w świecie”, „pasję nieszczęścia”, ujawnił interesujące pokrewieństwa, jakie da się ustalić między działaniem fotografii a wspomniem.

Lecz owa zręczność w manipulowaniu udoskonalonym narzędziem analizy, które skradł wrogom Kościoła, przedstawiała tylko jedną ze stron temperamentu tego człowieka.

Istniała w nim jeszcze druga; ów umysł rozdawał się, pisarz ukazywał odwrotną stronę medalu: fanatyk religijny był podszyty prorokiem biblijnym.

Podobnie jak Wiktor Hugo, którego przypominał tu i ówdzie pod względem wywichnięć bądź idei, bądź fraz, Ernest Hello przepadał za odgrywaniem małych świętych Janów na Pathmos; celebrował i wieszczył ze szczytu skały sfabrykowanej z dewocjonaliów, jakie sprzedają na ulicy Saint-Sulpice, umoralniając czytelników mową apokaliptyczną, której miejscami przydawała pikanterii gorycz, Izajaszowa niemal.

Z afektacją podkreślał wtedy swoje bezmierne pretensje do głębi; ten i ów pochlebca obwoływał go geniuszem, udawał, że widzi w nim wielkiego człowieka, albo studnię wiedzy stulecia; może był i studnią, ale taką, na której dnie częstokroć nie dostrzegano nic.

W swoim tomie „Paroles de Dieu” parafrazował Pismo i silił się komplikować jego treść jasną raczej; w innej ze swych książek, „L'Homme”, jak również w broszurze „Le Jour du Seigneur” zredagowanej w stylu biblijnym, chaotycznej i niejasnej, pojawiał się niczym apostoł mściwy, pyszny, zżerany żółcią, ale też występował w roli diakona dotkniętego epilepsją mistyczną, niby de Maistre obdarzony talentem, niby sekciarz kłótlivy i okrutny.



Tylko że, myślał des Esseintes, ta patologiczna bujność zamykała częstokroć przed kazuistą odkrywcze drogi; bardziej jeszcze nietolerancyjny niż Ozanam, Hello negował stanowczo to wszystko, co nie było udziałem jego klanu, wygłaszał pewniki niebywale zdumiewające, tak apodyktyczny, że do cna zbijał z tropu, utrzymywał, iż „geologia zwróciła się w kierunku Mojżesza”, albo że historia naturalna, chemia i cała wiedza współczesna potwierdzają ścisłość naukową Biblii; na każdej stronicy poruszał kwestię prawdy absolutnej, nadprzyrodzonej wiedzy Kościoła, a wszystko to usiewał aforyzmami bardziej niż ryzykownymi, szaleńczymi klątwami, którymi chlustał, obrzygując sztukę naszego stulecia.

W skład tej przedziwnej miszkulancji wchodziło na dodatek umiłowanie dewocyjnych karmelków: przełożył więc „Wizje” Anieli z Foligno, księgę głupoty wodnistej i niedościgłej, a także wybór dzieł Jana Ruysbroecka, zwanego Admirabilis, który to mistyk trzynastowieczny pisał prozą stanowiącą amalgamat niezrozumiały, lecz powabny mrocznej egzaltacji, pieściwej wylewności i drapieźnych wzlotów.

Cała ta poza pyszałkowatego kapłana, jakim był Hello, ujawniła się jaskrawo w wariackim wstępie do rzeczonoego wyboru.

Tak więc, oznajmiając, iż o „sprawach nadzwyczajnych bełkotać tylko da się”, bełkotał rzeczywiście: „święte mroki, gdzie Ruysbroeck rozpościera swoje orle skrzydła, to jego ocean, jego zdobycz, jego chwała, a cztery horyzonty byłyby dlań suknią za ciasną”.

Mniejsza z tym, des Esseintes'a pociągał ów umysł niezrównoważony, lecz subtelny; a że nie zdołała dokonać się fuzja między zręcznym psychologiem a nabożnym pedantem, osobowość tego człowieka tworzyły właśnie owe telepnięcia i niezborności.

Wokół niego zgromadzili się bojowi pisarze obozu klerykałów. Nie należeli do głównego korpusu wojsk, byli, ściśle mówiąc, zwiadowcami Religii, która nie ufała ludziom utalentowanym, takim jak Veillot, takim jak Hello, wydawali jej się bowiem jeszcze za mało ujarzmieni i nie dość płascy; potrzebowała żołnierzy nie rezonujących bynajmniej, licznego zastępu ślepych bojowników, owych miernot, o których Hello wyrażał się z furją kogoś, kto zaznał ich jarzma; toteż katolicyzm usunął co prędzej ze swoich gazet jednego ze swych stronników, zacieklego pamflicistę, który pisał językiem jadowitym, niedojrzałym i chropawym, a zarazem wykwinnym: był to Leon Bloy; następnie wyrzucił za drzwi swoich księgarń, niczym zapowietrzeńca i brudasa, pisarza, który przecież uroczyście go wychwalał, zdzierając sobie krtani: był to Barbey d'Aurevilly.

Co prawda był zbyt kompromitujący i nazbyt nieposłuszny; inni na ogół uginali karków pod napomnieniami i wracali w szeregi; Barbey był wyrodkiem, przez partię nie uznanym; upędał się dosłownie za dziwkami i całkiem rozmamlane wprowadzał je do sanktuarium. Trzeba było nawet bezmiernej wzdgardy, jaką katolicyzm otacza każdy talent, żeby należycie sformułowana ekskomunika nie wyjęła spod prawa tego dziwaczego sługi, który pod pretekstem gloryfikacji swoich mistrzów wybijał szyby w kościołach, zonglował konsekrowanymi monstrancjami, wykonywał tańce charakterystyczne wokół tabernakulów.

Dwie książki Barbey d'Aurevilly'ego ekscytowały szczególnie des Esseintes'a: „Un Prêtre marié” i „Diaboliques”. Inne, takie jak „L'Enfermée”, „Le Chevalier des Touches”, „Une Vieille Maîtresse” były z pewnością lepiej wyważone i kompletniejsze, ale pozostawiały obojętniejszym diuka Jana, który intereso-



wał się naprawdę tylko dziełami chorowitymi, podmi-  
nowanymi i trawionymi gorączką.

W tomach tych, niemal zdrowych, Barbey d'Aure-  
villy lawirował ustawicznie między dwoma kanałami  
religii katolickiej, które łączą się na koniec: mistycyz-  
mem i sadyzmem.

W dwóch ulubionych książkach des Esseintes'a,  
Barbey tracił wszelką oględność, popuszczał wierzcho-  
wcowi cugli, pędził na łeb na szyję po drogach, do-  
sięgając ich kresu.

Cała tajemnicza groza średniowiecza szybowiała nad  
ową nieprawdopodobną powieścią zatytułowaną „Un  
Prêtre marié”; magia mieszała się z religią, czarno-  
księstwo z modlitwą, a Bóg nielitościwszy i dzikszy  
niż Diabeł, Bóg grzechu pierworodnego, torturował  
nieutrudzenie niewinną Kalikstę, wyklętą przezeń,  
znacząc ją czerwonym krzyżykiem na czole, jak ongi  
jednemu ze swoich aniołów kazał znaczyć domostwa  
niewiernych, których chciał wybić do nogi.

Poczęte przez mnicha wyposzczonego, trawionego  
maligną, owe sceny rozwijały się w cudackim opętań-  
czym stylu; gdyż na nieszczęście niektóre spośród  
owych istot bzikowatych, podobnych galwanizowanym  
Coppeliom Hoffmanna, jak na przykład Néel de Né-  
hou, zdawały się spłodzone przez imaginację w mo-  
mentach prostracji, jakie następują po ataku, i tak,  
wprowadzając dysharmonię w ową całość ponurego  
szaleństwa, wywoływały chcąc nie chcąc wesołość,  
o jaką nas przyprawia sam tylko widok cynowego pan-  
ka w papuciach, który dmie w róg na cokole zegara.

Po tych dywagacjach mistycznych pisarz miewał  
okresy uspokojenia; lecz okrutna recydywa nadcho-  
dziła niebawem.

Wierzył, że człowiek jest osłem Buridana, istotą  
szarpaną przez dwie potęgi o sile jednakiej, które na

przemian odnoszą zwycięstwo nad jego duszą albo po-  
noszą klęskę; był głęboko przekonany, że życie ludz-  
kie to już tylko nieskuteczna walka tocząca się między  
piekłem a niebem; wiara ta w dwie istności sprzeczne,  
Szatana i Chrystusa, musiała zrodzić nieuchronnie we-  
wnętrzną niezgodę, gdzie dusza podniecana nieustają-  
cym bojem, zagrzewana w pewnym sensie bądź obiet-  
nicami, bądź pogrózkami, ulega na koniec i prostytu-  
uje się na rzecz tego z dwóch stronnictw, które prze-  
śładowało ją uparciem.

W „Prêtre marié” Barbey d'Aurevilly wyśpiewuje  
chwałę Chrystusa, kusiciela, któremu się powiodło: w  
„Les Diaboliques”, autor kapituluje przed Diabłem,  
którego sławi; a wtedy pojawia się sadyzm, bękart ka-  
tolicyzmu, którego religia ta, we wszystkich jego po-  
staciach, ściagała przez długie wieki za pomocą egzor-  
cyzmów i stosów.

Ów stan ogromnie ciekawy i tak niedokładnie okre-  
ślony nie zakiełkuje z pewnością w duszy niedowiar-  
ka; nie polega bowiem tylko na tarzaniu się w cie-  
lesnej rozpuszczeniu zaostrowanej krwawymi igraszkami,  
byłby bowiem wtedy jedynie odskokiem od norm ge-  
netycznych, jedynie przypadkiem *satyriasis* w jej  
szczytowym punkcie dojrzałości; polega przede wszy-  
stkim na praktykach świętokradczych, na rebelii mo-  
ralnej, na duchowym opsie, na aberracji całkowicie  
idealnej, całkowicie chrześcijańskiej; zasadza się rów-  
nież na radości miarkowanej lękiem, na radości ana-  
logicznej do satysfakcji, jakiej nieposłuszne dzieci  
bawiąc się ogniem doznają tylko dlatego, że rodzice  
zakazali im surowo zbliżyć się doń.

W istocie bowiem sadyzm nie miałby racji bytu,  
gdyby nie zawierał świętokradztwa; z drugiej strony  
świętokradztwo jest czymś wynikłym z samego istnie-  
nia religii, a więc intencjonalnie i skutecznie może



dopuszczać się go tylko człowiek wierzący, kto inny bowiem nie zaznałby żadnej uciechy profanując wiarę, która byłaby mu obojętna lub obca.

Siła sadyzmu, jego powab, ma zatem źródło w zabronionej radości przekazywania Szatanowi modlitw i hołdów należnych Bogu; ma źródło w nieobserwacji przykazań katolickich, które praktykuje się nawet na wspak, aby tym poważniej urągać Chrystusowi, dopuszczając się grzechów potępionych przezeń najdotkliwiej: skażenia kultu i orgii cielesnej.

W gruncie rzeczy ów przypadek, któremu markiz de Sade przekazał swoje imię, jest równie wiekowy jak Kościół; srożąc się w XVIII stuleciu — by nie zapuszczać się w okresy wcześniejsze — przywracał, mocą zwykłego atawizmu, bezbożne praktyki średniowiecznych sabatów.

Zajrzawszy po prostu do „Malleus maleficorum”, owego okrutnego kodeksu Jacoba Sprengera, kodeksu, który dał Kościołowi asumpt do wyniszczania płomieniami tysięcy nekromantów i czarowników, des Esseintes rozpoznał w sabacie wszelkie sprośne praktyki i wszystkie bluźnierstwa sadyzmu. Pominąwszy sceny wszeteczeństw, tak miłe Złemu, noce kolejno poświęcane to obłapkom normalnym, to znów nienormalnym, noce ociekające krwią wśród bestialstw rui, diuk Jan odnajdował tam parodię procesyj, ustawiczne zniewagi i pogróżki, jakimi obrzucano Boga, hołd składany jego Rywalowi, kiedy przeklinając chleb i wino odprawiano czarną mszę na plecach kobiety stojącej na czworakach, zaś jej nagi, zawsze utyłany zad służył za ołtarz, a uczestnicy, dla szyderstwa, spożywali czarne hostie z wizerunkiem kozła wytłoczonym w cieście.

Ta rzygowina drwin nieczystych, brudzącej sromoty, występowała wyraźnie u markiza de Sade, który swo-

je straszliwe rozkosze zaprawiał korzeniami świętokradczych okrucieństw.

Wyjąć obrzucał niebo obelgami, wzywał Lucyfera, Bogu wymyślał od nędzników, zbrodniarzy, głupców, opluwał hostie, silił się kłaść Boskość odchodami, a w nadziei, że Bóg raczy potępić go wreszcie, oświadczał Mu, dla tym większej prowokacji, że nie istnieje.

Barbey d'Aurevilly bliski był tego stanu psychicznego. Wprawdzie złorzecząc srodze Zbawicielowi nie zapędzał się tak daleko jak de Sade, wprawdzie, ostrożniejszy lub lękliwszy, utrzymywał zawsze, że weneruje Kościół; tak czy owak, niby w średniowieczu, kierował swoje supliki do Diabła i aby przeciwstawić się Bogu również, popadał w demoniczną erotomanię, a nasilając potworności zmysłowe zapożyczył nawet z „Philosophie dans le boudoir” pewien epizod, który umilił nowymi ingrediencjami: opowieść zatytułowaną „A un Dîner d'Athées”.

Des Esseintes delectował się tą książką, aż nazbyt szaleńczą; kazał więc biskupim fioletem, w obramowaniu z purpury kardynalskiej, na autentycznym pergaminie poświęconym przez audytorów Roty, wydrukować egzemplarz „Diaboliques” czcionką naśladowującą pismo odręczne, której dwurożne złącza i zawijasy zadarte niczym ogony lub zagięte niczym pazury przypominały atrybuty szataństwa.

Obok tych czy innych utworów Baudelaire'a, gdzie poeta na wzór śpiewów, jakie zawodzono podczas nocy sabatowych, celebrował litanie piekielne, ów tom, spośród wszelkich dzieł współczesnej literatury apostolskiej, był tomem jedynym, zaświadcującym stan ducha nabożny i bezbożny zarazem, ku któremu nawroty katolickich ciągów, podsycane atakami neurozy, pchały często des Esseintes'a.



Barbey d'Aurevilly zamykał serię pisarzy religijnych; co prawda ów parias bardziej pod każdym względem należał do literatury świeckiej, aniżeli do tej innej, w której domagał się miejsca odmawianego mu wciąż; jego język, nacechowany szaleńczym romantyzmem, pełen pokrętnych wyrażań, arcyzadkich zwrotów, przesadnych porównań, podrywał smagnięciami bicia frazy, które, jak tekst długi, eksplodowały rozpętując hałaśliwe dzwoneczki. W sumie, d'Aurevilly przypominał ogiera między wałachami zamieszkującymi stajnie ultramontańskie.

Tak oto dumiał des Esseintes czytając na nowo ten lub ów fragment rzeczony książki, a porównując jej styl nerwowy i urozmaicony z limfatycznym i skostniałym stylem kolegów d'Aurevilly'ego, rozmyślał również nad ewolucją języka, nader trafnym odkryciem Darwina.

Wmieszany między świeckich, wychowany w centrum szkoły romantycznej, obyty z nowymi dziełami, nawykły do stylistyki publikacji nowoczesnych, Barbey musiał osiąść dialekt, który uległ licznym i głębokim przemianom, odnawiając się po minionym okresie pseudoklasyków.

Zamknięte natomiast w granicach swojego terytorium, obmurowane nieodmiennymi i pradawnymi lekturami, nieświadome ruchu literackiego stuleci i twarde zdecydowane w potrzebie wylupić sobie oczy, by go nie dojrzeć, duchowieństwo używało z konieczności języka skostniałego, jak ów język osiemnastowieczny, którym potomkowie Francuzów osiadłych w Kanadzie mówią i piszą biegle dziś jeszcze, żadna bowiem selekcja zwrotów czy słów nie mogła dokonać się w ich narzeczu odizolowanym od dawnej metropolii i ze wszystkich stron spowitym angielszczyzną.

Wśród tych dumań srebrzysty dźwięk sygnaturki

na wieczorny Anioł Pański obwieścił des Esseintesowi, że śniadanie na stole. Oderwał się od książek, otarł czoło, poszedł do jadalni z przekonaniem, że spośród wszystkich tomów przezeń uporządkowanych dzieła Barbey d'Aurevilly'ego były na dobrą sprawę jedyne, gdzie idee i styl odznaczały się owym nadpsuciem, niezdrowymi plamami, naskórkiem egzematycznym i smakiem ulegałek, którym delectował się u niegdysiejszych pisarzy dekadencckich, łacińskich i klasztornych.

### XIII

Pogoda psuła się coraz bardziej; wszystko pomieszało się tego roku: po wichurach i mgłach niebo niczym blacha rozżarzone do białości wynurzyło się spoza horyzontu. W dwa dni, bez żadnego przejścia, wilgotne chłody mgieł, siapaninę deszczów zastąpił skwar, aura okrutnie ciężka. Roznieczone jak gdyby wściekłymi ożogami słońce otwarło się niby pysk pieca, dżgając światłem prawie białym, które parzyło wzrok; płomienisty pył wzbijał się z dróg spopielałych, przysmażając zeschłe drzewa, przyrudzając murawę i tak już poólkłą; odbłask od murów bielynych wapnem, ogniska rozpalane na cynkowych dachach i w szybach okien — oślepiały; temperatura hutniczego pieca zaciążyła nad siedzibą des Esseintes'a.

Pólnagi otwarł okno, prosto w twarz zionął mu żar; jadalnia, dokąd się schronił, była rozpalona, kipiało rozrzedzone powietrze. Usiadł zrozpaczony, skończyła się bowiem euforia, która podtrzymywała go, kiedy rozkoszował się dumaniami porządkując swoje książki.



*choroba postępująca*  
Upał zbijął go z nóg, jak wszystkich ludzi dręczonych neurozą; anemia przyhamowana zimnem wracała na dobre osłabiając ciało, które wycieńczały na dodatek obfite poty.

Des Esseintes siedział unicestwiony na krześle: koszula przyklejała się do mokrego grzbietu, krocze miał wilgotne, ręce i nogi wilgotne, z czoła na policzki skapywały słone łzy; w tym momencie zerwały go mdłości: zobaczył mięso postawione na stole; rozkazał je sprzątnąć, zażądał jajek na miękko, umaczał w jajku zuchelek chleba, popróbował go przełknąć, ale zatkał mu gardło; nudności podeszły do warg; wypił kilka kropel wina, które ognistymi igłami kolnęły go w żołądek. Obtarł twarz; pot, przed chwilą ciepły, zsączał się zimny teraz po skroniach; począł ssąć kawałeczki lodu, żeby oszukać nudności; daremnie.

Bezgraniczne znużenie powaliło go na stół; brak mu było powietrza, wstał, ale chleb umaczany w jajku napuchł, wracał powoli do gardła, zapychał je. Nigdy jeszcze diuk Jan nie czuł się aż tak niespokojny, aż tak rozregulowany, aż tak nieswój; przy tym zmętniał mu wzrok, widział przedmioty podwojone, wirujące; wkrótce zagubiły się odległości; szklanka wydała mu się o milę odeń; próżno powiadał sobie, że stał się igraszka ułud zmysłowych, nie potrafił zaradzić na nie; wyciągnął się na kanapie w salonie, ale wtedy pojawiła się huśtawka płynącego okrętu i wzmogły się mdłości; wstał zdecydowany popchnąć alkoholem jajko, które go dławilo.

*opis butelki benedykty*  
Wróciwszy do jadalni stwierdził melancholijnie, że jest w owej kajucie jak pasażer dotknięty morską chorobą; chwiejnym krokiem podszedł do kredensu, popatrzył uważnie na ustne organy, lecz nie uruchomił ich, a tylko zdjął z wyższej półki butelkę benedyktyna, którą przechowywał dla jej kształtu, w jego

oczach sugerującego myśli łagodnie rozwiązałe i mgliste mistyczne zarazem.

Chwilowo jednak tkwił przed nią obojętny, popatrząc martwym okiem na tę flaszkę przysadzistą, ciemnozieloną, co w innych momentach wywoływała w nim wizję średniowiecznych klasztorów, gdyż brzucho miała starodawne i mnisze, szyję i głowę obleczoną w pergaminowy kaptur, pieczęć z czerwonego laku zdobną herbem, wyobrażającym trzy srebrne mitry na lazurowym polu, pieczęć jak u bulli, przymocowaną ołowiem, etykieta zaś z pożółkłego papieru, niby przez czas odbarwionego, głosiła gromką łaciną: *liquor Monachorum Benedictinorum Abbatiae Fiscanensis*.

W tej szacie iście opackiej, naznaczonej krzyżem oraz inicjałami kościelnymi P.O.M., okutany w pergamin i taśmy niczym jakaś autentyczna charta, spał likier barwy szafranu, delikatności wybornej. Sączył w nozdrza stężony aromat anżeliki i hyzopu, pomieszany z wodorostami morskimi załatującymi bromem i jadem, których woń łagodził cukier, ekscytował podniebienie żarem spirytusowym utajonym pod słodkością całkiem dziewiczą, niewinną, pieścił węż odrobiną zepsucia spowitego w karesy i dziecięce, i dewocyjne.

Owa obłuda, wynik nadzwyczajnej dysharmonii ustanowionej między formą a treścią, między liturgicznym konturem butli a jej duszą całkowicie kobiecą, całkowicie nowoczesną, rozmarzała go niegdyś: wpatrzony w tę flaszkę zapadał w dumania o mnichach, jej sprzedawcach: o benedyktynach, o opactwie w Fécamp należącym do kongregacji Saint-Maur, sławnej ze swoich prac historycznych, o bojownikach reguły świętego Benedykta, którzy nie stosowali się bynajmniej do obserwancji białych mnichów z Citeaux i mnichów czarnych z Cluny. Pojawiali mu się zawsze



tylko w swojej postaci średniowiecznej; hodowali zioła, podgrzewali retorty, destylowali w alembikach niezawodne panacea, leki niezaprzeczonej cudowności.

Przełknąwszy kroplę owego likworu, na kilka minut doznał ulgi; niebawem jednak ten ogień, który kropla wina roznieciła w jego wnętrznościach, rozgorzał na nowo. Cisnął precz serwetkę, wrócił do gabinetu, krążył po nim; wydawało mu się, że jest pod kłosem pneumatycznym, gdzie z wolna wytwarza się próżnia, z mózgu do wszystkich jego członków spływało omdlenie okrutnie łagodne. Wziął się w garść i nie mogąc wytrzymać dłużej, po raz pierwszy bodaj od czasu jak osiadł w Fontenay, schronił się do ogrodu, pod drzewo rozciągające cień kolisty. Siadł na trawniku i z miną otumaniałą przyglądał się grzędom jarzyn, które zasadzili słudzy. Patrzył na warzywa, ale dostrzegł je dopiero po godzinie, zielona bowiem mgiełka falowała mu przed oczyma, tak iż jak gdyby z dna wody widział obrazy zatarte, o zmiennych zarysach i barwach.

W końcu jednak odzyskał równowagę, odróżnił wyraźnie kapustę od cebuli; dalej rozciągał się zagon sałaty, a wzdłuż płotu rosły rzędem białe lilie, nieruchome w ciężkim powietrzu.

Uśmiech zmarszczył mu wargi, gdyż nagle przypomniał sobie, jak stary Nikander porównywał, ze względu na kształt, słupek lilii z fallusem osła, i wspominał także wywody Alberta Wielkiego, w których ów cudotwórca podaje nader szczególny sposób sprawdzania czystości panieńskiej za pomocą listka sałaty.

Rozweseliły go trochę te myśli; rozejrzał się po ogrodzie, ciekawiąc się roślinami, zwarzonymi przez upał, i rozprażoną ziemią, która dymiła w powietrzu drżącym od skwaru; następnie, powyżej płotu dzielącego ogród od drogi biegnącej pod górę do forty-

*biatyka d. Topcu*  
fikacji, dostrzegł chłopaczków, co tarzali się w pełnym słońcu, w świetle.

Skupił na nich uwagę, kiedy pojawił się jeszcze jeden, mniejszy, brudny aż do obrzydliwości; włosy miał jak gdyby z morskiej trawy, pełne piasku, nad nosem dwie zielone gały, wargi nieapetyczne, upaćkane twarogiem rozmazanym na chlebie i posypanym siekaniną ze szczypiorku.

Des Esseintes jął węszyć; zawładnął nim chorobliwy głód, perwersja; ta ohydna tartinka napędziła mu ślinę do ust. Wydało mu się, że jego żołądek, który odmawiał wszelkich potraw, strawi to paskudztwo i że podniebienie uraduje się nim, jakby królewskim specjałem.

Zerwał się na równe nogi, podbiegł do kuchni, rozkazał, żeby przyniesiono z miasteczka chleb, biały ser i szczypiorek; zalecił, żeby przyrządzono mu tartinkę absolutnie taką samą, jaką pożerał malec, co uczyniwszy wrócił do ogrodu i znów usiadł pod drzewem.

Smarkacze bili się teraz. Wydzierali sobie wzajem kęsy chleba, napychali nimi policzki, oblizywali palce. Sypały się kopniaki, pracowały pięści, najślabsi, powaleni na ziemię, wierzgali i płakali, szorując tyłkami po kamieniach.

Ów spektakl ożywił nieco des Esseintes'a; zaciekawiony bójką, zapomniał poniekąd o swoich dolegliwościach; obserwując zajadłość paskudnych bębnow, dumiał nad okrutną i wstrętną walką o byt, a chociaż działość była to obrzydliwa, zainteresował się jej losem i powziął przekonanie, że berbeciom wyszłoby raczej na dobre, gdyby nie oszczeniła się ich matka.

*lepiej gdyby się nie urodziła!*  
Bo i rzeczywiście, już od lat zarania bito je po twarzy, a w dodatku chorowały na ognipiór, odrę,



rozmaite biegunki, gorączkowały; około trzynastego roku życia kopano je i zmuszano do ogłupiającej pracy; wiek męski przynosił im choroby kawalerskie, a wiarołomstwo kobiet przyprawiało rogi; starość oznaczała dla nich kalectwo, połączone z powolnym konaniem w przytułkach żebraczych i szpitalach.

W sumie więc przyszłość oczekiwała ich wszystkich jednaka i żaden nie mógł jej pragnąć, jeśli miał choć odrobinę rozsądku. Lecz i na bogatych, aczkolwiek w odmiennym środowisku, czyhały te same namiętności, te same frasunki, te same zgryzoty, te same choroby, jak również te same mierne uciechy alkoholowe bądź literackie czy cielesne. Istniała jednak nieokreślona rekompensata za wszystkie te nędze, rodzaj sprawiedliwości przywracającej równowagę międzyklasowym nieszczęściom, sprawiedliwości, co łatwiej uwalniała biedaków od cierpień fizycznych, które bezlitośniej gnębiły ciała bogaczy, węższe i bardziej wydelikowane.

„Co za szaleństwo płodzić bachory! — rozmyślał des Esseintes. — I powiedzieć, że kler, który ślubuje jałowość, w swoim braku konsekwencji posunął się aż do kanonizowania Wincentego à Paulo, ponieważ ów święty chroniąc niewiniątka, skazywał je na zbędne tortury!”

Drogą swoich obmierzłych środków zaradczych odsunął na szereg lat śmierć od istot nieświadomych i nieczułych, tak iżby mogły później, będąc już istotami niemal rozumnymi, a w każdym razie zdolnymi cierpieć, przewidywać przyszłość, oczekiwać i lękać się owej śmierci, której ongi nawet miana nie znały, lecz nie tylko to: by mogły wzywać ją, z nienawiści do wyroku skazującego je na egzystencję, jaką ów święty narzucał im w imię absurdalnych zasad teologicznych!

Rzeczony starzec zmarł, ale jego idee zatryumfowały; przygarniano podrzutków miast pozwolić im ginąć spokojnie, dla nich samych niepostrzeżenie, a przecież owo życie, w jakim je zachowano, stawało się z dniem każdym twardsze i bardziej jałowe! Pod płaszczykiem wolności i postępu, Społeczeństwo wynalazło jeszcze jeden sposób, aby pogarszać nędzną dolę człowieczą: wyrwało człowieka z jego naturalnych pieleszy, ustroiło go w pocieszny kostium i uzbroiło specjalnie, wtrącając tym samym w identyczną niewolę, z jakiej niegdyś, powodowane współczuciem, wyswobodziło Murzynów, a wszystko z tej racji, żeby każdy miał możliwość zabijać bliźnich, nie ryzykując głową jak zwykły morderca, który działa na własną rękę i bez munduru, operując bronią mniej hałaśliwą i mniej szybką.

„Przedziwna to epoka — dumal des Esseintes — która powołując się na interes ludzkości usiłuje doskonalic środki znieczulające, aby zlikwidować ból fizyczny, a równocześnie przysposabia aż takie bodźce, żeby rozjątrzyć cierpienia moralne!”

Ach, jeśli kiedykolwiek w imię litości bezużyteczna rozrodczość ma być zniszczona, to właśnie teraz! Lecz i dziś jeszcze prawa, ferowane przez panów takich jak Portalis czy Homais, okazywały się okrutne i dziwaczne.

Wszelkie szalbierstwa w dziedzinie prokreacji Sprawiedliwość poczytywała za całkiem naturalne; był to fakt wiadomy i uznany; nie znalazłbyś bogatego stadła, które nie powierzałoby swojej dziatwy bidetowi lub nie stosowało środków będących w wolnym handlu, i nikomu zresztą nie przyszłoby do głowy, żeby sztuczki te potępiać. A jednak, skoro te sposoby czy fortele zawodziły, skoro pudłowały szalbierstwa i skoro, by temu przeciwdziałać, podejmowano kroki sku-



teczniejsze, ach! wtedy nie starczało aresztów, więzień i galer, aby zamykać ludzi, których skazywały, w dobrej skądinąd wierze, inne indywidua, co tegoż wieczoru, w łożu małżeńskim, kombinowały na potęgę, wymigując się od płodzenia bębnow!

Szalbierstwo samo w sobie nie było więc zbrodnią, ale były nią środki zaradcze wymierzone w szalbierstwo.

W sumie bowiem Społeczeństwo uważało za zbrodnię akt polegający na zabiciu istoty wyposażonej w życie; a jednak, spędzając płód, niszczyły zwierzę mniej ukształtowane, mniej żyjące i z pewnością mniej inteligentne i brzydsze niż pies czy kot, którego wolno nam zabić bezkarnie zaraz po urodzeniu!

„Dodać warto — rozmyślał des Esseintes — że dla równiejszej miary, to nie mężczyzna, niezręczny na ogół, kwapi się zniknąć, lecz właśnie kobieta, ofiara owej niezręczności, która ocaliwszy niewiniątko przed życiem pokutuje za to przestępstwo!”

Czy jednak świat musi być pełen zabobonów nakazujących mu niweczyć zabiegi tak naturalne, które człowiek prymitywny, dzikus z Polinezji, praktykuje wiedziony samym tylko instynktem?!

Sługa przerwał des Esseintes'owi te miłosierne i starannie przeżuwane refleksje, przynosząc na złoconej tacy tartinkę, której pan był zapragnął. Skręciły go mdłości; nie odważył się nadgryźć tej kromki, chorobliwe podniecenie żołądka minęło bowiem; wracało poczucie okropnej ruiny; musiał wstać; słońce w swojej wędrówce przenikało z wolna pod drzewo; upał stawał się cięższy i natarczywszy zarazem.

— Ciśnij tartinkę — powiedział do sługi — tym dzieciom, które tarmoszą się na drodze; niech najslabszym, niezgułom, nie dostanie się ani jeden kęs i niech na dokładkę ojciec spuści im baty, kiedy wró-

cą do domu w podartych majtkach i z podbitymi oczami; dowiedzą się coś niecoś o życiu, które ich czeka!

Schronił się w domu i półprzytomny padł na fotel.

„A jednak powinienem zmusić się do zjedzenia czegośkolwiek” — pomyślał. I drżącą ręką umoczył biszkopt w starej constantii w winnic J.-P. Cloete'a, której kilka butelek zostało mu jeszcze w piwnicy.

Wino to ciemnozłotawe, niby skórka cebuli troszeczkę przypalona, przypominające i odstałą malagę, i porto, lecz o bukiecie cukrowanym, specjalnym, i z posmakiem jagód, których soki stężyło i wyszlachetniło skwarne słońce, krzepiło go zazwyczaj, a częstokroć nawet wsączało mu nową energię w żołądek wycieńczony forsownymi postami; lecz ów kordiał, na ogół tak wierny, zawiódł teraz. W nadziei więc, że *nalifka* zmiękczy i ochłodzi może gorące i parzące go kleszcze, sięgnął po ów likwor rosyjski, sięgnął po butelkę powleczoną matowym złotem; lecz i ten syrop mastki, pachnący malinami, okazał swą nieskuteczność. Niestety, dawno już minęły czasy, kiedy des Esseintes zdrów jak rydz, wśród pełnej kanikuły, sankami wjeżdżał do pokoju i tutaj, zakutany w futra, które podciągał pod brodę, usiłował dygotać i, pilnie zmuszając się do szczekania zębami, powiadał sobie: „Ach: ten lodowaty wicher, ależ tu człowiek marznie, ależ marznie!” — i udawało mu się niemal wmawiać w siebie, że jest mróz!

Remedia te nie działały już na nieszczęście od czasu, jak cierpienia stały się rzeczywiste.

Toteż nie pomagały nawet i dawki laudanum; miast przynosić ukojenie, ów środek uspokajający drażnił go tak dalece, iż wpędzał w bezsensowność. Niegdyś, uciekając się do opium i haszyszu, usiłował prokurować

! narkotyki  
kiedyś



sobie wizje, lecz obie te substancje sprowadzały wymioty wraz z intensywnymi zaburzeniami nerwowymi; musiał zatem wyrzec się ich niezwłocznie i bez pomocy tych środków podniecających odwoływać się do własnego mózgu, aby unosił go poza granicę życia, w marzenia.

— Co za dzień! — powtarzał sobie teraz, wycierając szyję i czując, jak resztki sił, które mu jeszcze pozostały, rozplywają się w nowych potach; rozgorączkowany, nie mógł usiedzieć na jednym miejscu; znów jął wałęsać się po mieszkaniu, próbując przysiąść kolejno na wszystkich krzesłach, kanapach, fotelach. Dał w końcu za wygraną, osunął się przed biurkiem i wsparty o blat, machinalnie, o niczym nie myśląc, poruszył astrolabium, umieszczone w charakterze przycisku na stercie książek i notatek.

Kupił ów instrument z miedzi grawerowanej i złoconej, niemieckiego pochodzenia, datujący się z siedemnastego wieku, w Paryżu, u jakiegoś handlarza starociami, po wizycie w muzeum Cluny, gdzie omdlewał długo przed cudownym astrolabium z cyzelowanej kości słoniowej, zachwycony jego kabalistycznymi znakami.

Przycisk ten uruchomił w nim roje reminiscencji. Ukierunkowana i rozruszana wyglądem tego cacka, myśl diuka Jana opuściła Fontenay i znalazła się w Paryżu, u antykwariusza, co był mu je sprzedał, a potem cofnęła się aż do muzeum Thermes i mentalnie diuk Jan ujrzał znów astrolabium z kości słoniowej, chociaż nie odrywał oczu, nie widząc go już, od astrolabium miedzianego, które stało na biurku.

Następnie wyszedł z muzeum i nie opuszczając miasta wałęsał się na chybił trafił: ulica Du Sommerard zaprowadziła go na bulwar Saint-Michel, a potem

w ulice sąsiednie, gdzie przystawał przed tamecznymi sklepami, których zagęszczenie i charakter całkiem specjalny uderzyły go już nie raz jeden.

Ta podróż umysłowa, rozpoczęta w związku z astrolabium, zakończyła się wśród knajpek Dzielnicy Łacińskiej.

Wspomnił mnogość owych garnkuchni ciągnących się wzdłuż całej ulicy Monsieur-le-Prince i rozsiadłych tam, gdzie ulica Vaugirard przytyka do Odeonu; chwilami nie było między nimi przerw, przypominały dawne *riddecks* nad Kanałem Śledziowym w Antwerpii, maszerowały rzędem, rozpościerając nad trotuarami szyldy niemal identyczne.

Wspomnił, jak przez uchylone drzwi lub okna, nie dość przyciemnione kolorowymi szybkami i firankami, podglądał kobiety, które chodziły, łąziły raczej, z szyjami wyciągniętymi jak u gęsi; inne, rozwalone na kanapkach, dłońmi obejmowały skronie, łokciami wycierały marmurowe blaty stolików i trawiły podśpiewując; jeszcze inne, podrygując przed lustrami, końcami palców uklepywały postisze wypomadowane u fryzjera; a jeszcze inne na koniec wytrząsały z portmonetek o zepsutych zamkach pieniądze srebrne i miedziane, żeby systematycznie układać je w kupki.

Większość tych kobiet rysy miała grube, głosy chrypliwe, biusty obwisłe, oczy umalowane, wszystkie zaś podobne automatom nakręcanym równocześnie jednym i tym samym kluczem, rzucały w jednakowej tonacji te same słowa zachęty, z tym samym uśmiechem wypowiadały te same pieprzne facecje lub te same dziwaczne uwagi.

Skojarzenia formowały się w głowie des Esseintes'a, bliskiego już konkluzji, teraz, kiedy wspomnieniem ogarniał z lotu ptaka to kotłowisko szynków i ulic.

Pojmował sens tych przybytków, które odpowiadały



stanowi ducha całej generacji, i wyprowadzał syntezę epoki.

Bo i rzeczywiście symptomy były nader wyraźne i pewne; znikaly domy publiczne, w miejscu zaś każdego z nich, który zamknięto, pojawiał się dom schadek.

Ten uwiad prostytucji, reglamentowanej na rzecz miłostek sekretnych, miał oczywiste źródło w niezrozumiałych złudzeniach, jakie czynią sobie mężczyźni w sprawach ciała.

A chociaż mogłoby się to wydać niebywałą potwornością, dom schadek czynił zadość pewnemu ideałowi.

Aczkolwiek skłonności utylitarne, przekazywane dziedzicznością i rozwijane przedwczesnymi wybrykami, a także aktami brutalnej przemocy, jakich na swoich elewach bez ustanku dopuszczają się kolegia, sprawiły, że dzisiejsza młodzież szczególnie jest nieuprzejma w obejściu, a przy tym wyjątkowo wyrachowana i zimna, zachowała ona jednak na dnie serc odwieczny błękitny kwiat, pradawny ideał czułości, zjęlczalej i mętnej.

Dziś, kiedy buzuje w niej krew, młodzież nie może zdecydować się, żeby tylko wejść, skonsumować, zapłacić i wyjść; w jej oczach to bestialstwo, ruja psa, który bez uprzednich zalotów pokrywa sukę; ponadto próżność stroni od owych domów publicznych, gdzie nie napotkasz ani złudnych oporów, ani rzekomego zwycięstwa, ani spodziewanych wyróżnień, ani nawet szerokiego gestu, jakim klienta uszczęśliwiłaby sprzedawczyni, która swoje karesy odmierza teraz łokciem, stosownie do taryfy. Natomiast w umizgach do piwiarnianej dziewczki nie ponosi szwanku żaden przejaw drażliwości miłosnej czy delikatności uczuć. O taką dziewczuchę walczymy, ten zaś, któremu za sowitym

wynagrodzeniem fleja zechce wyznaczyć schadzkę, wyobraża sobie, w dobrej wierze, iż pokonał rywala i stanowi przedmiot zaszczytnego wyboru, faworów niecodziennych.

A przecież uległość dziewczuchy jest równie bezmyślna, równie interesowna, równie podła i równie łapczywa jak uległość *matp*, obsługujących domy z pokojami numerowanymi. Jak one pije, nie mając pragnienia, śmieje się bez powodu, szaleje za chamskimi karesami, bez przyczyny awaranturuje się i piekli; mimo wszystko, choć minął już kawał czasu, paryscy młodzieńcy nie połapali się jeszcze, że służące z szynkowni pod względem piękna plastycznego, pod względem wyrafinowanych sposobów i pod względem koniecznego stroju nie dorównują w żadnym wypadku kobietom zamkniętym w luksusowych zamtuzach! „Miły Boże — rozmyślał des Esseintes — jacyż durni są ci panowie tokujący wokół knajpek; ulegają śmiesznym iluzjom, ale mniejsza z tym: zapominają nawet o niebezpieczeństwie, jakim grożą te powaby spodłale i podejrzone, o pieniądzach wydawanych na konsumpcję, której cenę zawczasu winduje pryncypałka, o czasie traconym na czekanie, dostawę bowiem opóźnia się z reguły, żeby podrożyć taryfę, o bezustannej grze na zwłokę mającej za cel utrwalac i uaktywniac grę napiwków!”

Ów idiotyczny sentymentalizm kombinowany z praktyczną drapieżnością wyobrażał dominującą myśl stulecia: ci sami ludzie, którzy dla dziesięciu su wylupiliby oko bliźniemu, tracili wszelką trzeźwość, cały węch wobec tych burdelowatych karczmarek, napaśtowani przez nie bez litości i obrabowywani bez pardonu. Przemysł pracował, rodziny okradały się wzajemnie pod pozorem wymiany handlowej, ażeby z kolei dawać się oskubywać z pieniędzy swoim synom,



pieniędzy szlamowanych następnie przez owe kobiety, z których, w ostatniej instancji, żyłowali je kochankowie od serca.

Przez cały Paryż, ze wschodu na zachód i z północy na południe, ciągnął się ów nieprzerwany łańcuch szalbierstw, karambole zorganizowanych kradzieży przybliżały się coraz bardziej, a wszystko to dlatego, że miast niezwłocznie kontentować mężczyzn, umiano zmusić ich do cierpliwości i wyczekiwania.

W istocie owa kwintesencja mądrości ludzkiej polegała na przeciąganiu spraw w nieskończoność; najpierw mówiono „nie”, potem wreszcie „tak”; kto chciał bowiem naprawdę rządzić pokoleniami, zawsze musiał mydlić im oczy!

— Ach! gdybyż się dało tak samo tumanić żołądek — westchnął des Esseintes skręcony kurczem, który jego myśl, błędzącą w oddalach, żywo sprowadził do Fontenay.

#### XIV

Kilka dni przetelepało się jakoś dzięki fortelom, którym udało się zwieść nieufność żołądka, ale pewnego ranka organizm nie stolerował aromatów maskujących odór tłuszczu i zapaszek krwi w mięsiwach, a zaniepokojony des Esseintes zastanowił się, czy słabość nie zacznie się potęgować i czy nie zmusi go do pozostania w łóżku. Promień światła rozbłysnął nagle wśród tych zmartwień; diuk Jan przypomniał sobie, że któryś z jego przyjaciół, niegdyś ciężko chory, zdołał dzięki podkarmiaczowi wyrugować anemię, zahamować ubytek sił, zakonserwować ich resztki.

Wysłał sługę do Paryża po to cenne utensylium, po czym przestudiował prospekt, który dołączył fabrykant, osobiście pouczył kucharkę, w jaki sposób pokrajać rostbef na drobne kawałeczki, na sucho wrzucić je do cynowego kociołka dodając trochę porów i marchwi, następnie przyśrubować pokrywkę i gotować to wszystko na parze przez cztery godziny.

Kiedy minął ten czas, należało wycisnąć włókna mięsa i wypić łyżkę cieczy błotnistej i słonawej, która osiadła na dnie kociołka. Czuło się wtedy w przełyku jak gdyby ciepły szpik, jak gdyby aksamitną pieszczotę.

Ta esencja pokarmu zatrzymywała kurcze i mdłości wywołane pustką, a nawet instygowała żołądek tak, iż nie odmawiał już przyjęcia paru łyżek zupy.

Dzięki podkarmiaczowi neuroza stanęła w miejscu, a des Esseintes pomyślał: „Zawszeć to zysk; może zmieni się temperatura i niebo poproszy popiołem na to przekłete słońce, które mnie wyczerpuje, i bez większych trudności dobieję do pierwszych mgieł i pierwszych przymrozków”.

Wśród owej drętwy, wśród zatapiającej go próżniaczej nudy, zżymał się na swoją bibliotekę, której nie uporządkował jeszcze do końca; tkwiąc nieruchomo w fotelu, miał wciąż przed oczyma książki świeckie, które bez ładu i składu porozrzucane na stolikach włożyły na siebie, podpierały się wzajem albo niczym zburzone domki z kart leżały płasko lub sterczały; chłam ten raził tym bardziej, że kontrastował z doskonałą harmonią dzieł religijnych, starannie uszeregowanych pod ścianami, jak na paradzie.

Popróbował zaradzić na ów nieład, lecz po dziesięciu minutach pracy oblał go pot; wyczerpał diuka Jana ten wysiłek; zmordowany, wyciągnął się na sofie i zadzwonił na służącego.



przeglądał, wyznaczając dla nich miejsce.

Zajęcie to długo potrwać nie mogło, gdyż księgozbiór zawierał ilość współczesnych dzieł laickich osobliwie skąpą.

Przerobiwszy je bowiem w mózgu, jak pasma stali przerabia drutociąg, skąd wychodzą cieniutkie, lekkie, sprowadzone do postaci nitek niedostrzegalnych prawie, diuk Jan posiadał już tylko książki, które wytrzymały podobny proceder i były tak solidnie zahartowane, iż mogły znieść magiel ponownej lektury; nieutrudzony w tych sublimacjach, ograniczył i niemal wyjąłowił wszelką radość, tym mocniej uwydatniając nieubłagany konflikt, jaki istniał między jego poglądami a poglądami świata, w którym przypadek narodzić mu się kazał. Obecnie zaś osiągnął rezultat następujący: niezdolny był już odkryć pism, które kontentowałyby jego sekretne pragnienie; a nawet obojętniał na książki, którymi zachwycał się niegdyś i które z pewnością przyczyniły się do wyostrenia jego umysłu, czyniąc ów umysł równie krytycznym i równie jak one subtelnym.

A przecież jego poglądy na sztukę miały źródła proste: dla diuka Jana nie istniały żadne szkoły; liczył się tylko temperament pisarza; des Esseintes interesował się jedynie pracą jego mózgu, nie zważając na podjęty temat. Na nieszczęście owa skala wartości, arcybanalna przecież, była prawie bezużyteczna z tej zwykłej racji, że ktokolwiek pragnie wyzwolić się z przesądów, pohamować czynnik emocjonalny, kieruje swoje gusty ku dziełom, które jak najosobiściej odpowiadają jego własnemu temperamentowi, i na koniec eliminuje wszystkie inne.

Owa praca nad selekcją dokonała się z wolna w diu-

ku Janie; uwielbiał niegdyś wielkiego Balzaka — ale w tymże czasie, kiedy rozregulowywał się organizm i brały górę nerwy, przekształcały się inklinacje des Esseintes'a i odmieniały się jego zachwyty.

Wkrótce nawet, chociaż orientował się w swej niesprawiedliwości wobec cudownego autora „Komedii ludzkiej”, przestał otwierać jej tomy, dotknięty do żywego zdrową ich sztuką; nurtowały go teraz inne aspiracje, które na swój sposób stawały się nieokreślone.

Niemniej, sondując się dokładnie, pojął najpierw, iż dzieło, by go przyciągnąć, musi oblec ów charakter dziwności, jakiego domagał się Edgar Poe, ale chętnie dalej zapuszczając się ową drogą, roił o bizantyjskiej florze mózgu i skomplikowanych destrukcjach języka; pożądał płynności zbijającej z tropu, co dostarczyłaby mu materii do marzeń, płynności, którą w pewnym momencie czyniłby, według własnej woli, mglistszą albo konkretniejszą, stosownie do swojego chwilowego stanu ducha. W sumie więc pragnął takiego dzieła sztuki, które byłoby i tym, czym jest ono samo przez się, i tym, co dałoby sobie przypisywać; chciał podążać wraz z nim, dzięki niemu jak gdyby wspierany przez pomocnika, jak gdyby wehikułem unoszony w sferę, gdzie wysubtelnione wrażenia nagle wstrząsnęłyby nim ożywczo, on zaś długo dociekałby przyczyn owego bodźca, a nawet analizowałby je daremnie.

Krótko mówiąc, od czasu gdy opuścił Paryż, oddalał się coraz bardziej od rzeczywistości, a zwłaszcza od świata swych współczesnych, do którego odnosił się z narastającym wstrętem; odraza ta musiała odbić się na jego gustach literackich i artystycznych, odwracał się więc, na ile tylko zdołał, od malowideł i książek, których ograniczona tematyka poprzestawała na teraźniejszości.



I tak, tracąc zdolność do zachwyty nad pięknem, w jakiegokolwiek pojawiłoby się ono postaci, u Flauberta przekładał „Kuszenie świętego Antoniego” nad „Edukację sentymentalną”; u Goncourtów „Pannę Faustin” nad „Herminię Lacerteux”; u Zoli wolał „Grzech księdza Mouret” niż „W matni”.

Ten punkt widzenia wydawał mu się logiczny; owe dzieła mniej autentyczne, lecz równie wibrujące, równie ludzkie, pozwalały mu wnikać głębiej w podziemia temperamentu rzeczonych mistrzów, którzy ujawniali ze szczerzą swobodą najbardziej tajemnicze zrywy swojej istności, one zaś i jego również porywały wyżej niż inne, ponad życie trywialne, tak dlań okropnie nużące.

Rozczytując się w tych dziełach, zespalał się całkowicie myślą z pisarzami, którzy je poczęli, stan ich ducha był bowiem swojego czasu identyczny ze stanem ducha diuka Jana.

Bo i rzeczywiście, kiedy epoka, w której człowiek utalentowany żyć musi, jest głupia i płaska, artystę, choćby nawet nieświadom był tego, nawiedza tęsknota za innym stuleciem.

Z rzadka tylko mogąc zharmonizować się ze środowiskiem, w którym ewoluuje, nie odkrywając już w badaniu owego środowiska i podlegających mu stworzeń takich uciech analizy i obserwacji, które wystarczyłyby jego rozrywce, odczuwa, jak rodzą się w nim i rozwijają osobliwe zjawiska. Powstają nieokreślone tęsknoty za migracją, ujawniające się dzięki rozmyśleniom i studiom. Dziedziczne instynkty, doznania, skłonności budzą się, deklarują, narzucają się z neodpartą pewnością. Napływają wspomnienia o ludziach i świecie, nie wywodzące się z przeżyć osobistych, i tak nadchodzi moment, kiedy artysta paląc za sobą mosty ucieka z lochu swoich czasów i ni-

czym nie skrepowany krąży po innej epoce, do której, mocą ostatnich złudzeń, przystosowałby się lepiej, we własnym oczywista mniemaniu.

U jednych to powrót do wieków dawno minionych, do cywilizacji nie istniejących już, do umarłych czasów; u drugich to wzlot ku fantastyce i marzeniom: mniej lub więcej nasycona wizja czasu, który ma się wykluć, ale którego obraz artysta odtwarza nieświadomie skądinąd, drogami atawizmu wyczuwając dawność.

U Flauberta były to obrazy uroczyste i monumentalne, górnolotność przepyszna w ramach barbarzyńskich i wspaniałych, otaczających istoty nerwowe i delikatne, tajemnicze i wyniosłe; kobiety doskonałej urody, lecz o duszach niemrawych, w których głębi Flaubert rozpoznawał nieuleczalne narowy i szaleńcze aspiracje, kobiety zrozpaczone zawczasu już grożącą nijakością uciech, jakie narodzić się mogły.

Cały temperament wielkiego artysty roztaczał swoją świetność na niezrównanych stronicach „Kuszenia świętego Antoniego” i „Salammbô”, gdzie z dala od naszego mierniutkiego życia Flaubert wyczarowywał azjatycki blask wieków zamierzchłych, wzloty ich mistyczne i upadki, ich próżniacze otumanienia, ich okrucieństwo nakazane ową ciężką nudą, jaka wypływała z bogactw i modłów, zanim jeszcze człowiek przesyca się nimi.

U Goncourta była to nostalgia za stuleciem poprzednim, powrót do wykwinu społeczeństwa, które nie pojawi się już nigdy więcej. Gigantyczna dekoracja mórz bijących o tamy portowe, pustyni bezkresnych pod skwarnymi nieboskłonami nie istniała w jego nostalgicznym dziele, ograniczającym się mniej więcej do książęcych strzyżonych parków albo do buduaru ogrzewanego lubieżnymi emanacjami kobiety, któ-



rażę cechował uśmiech pełen znużenia, przewrotny grymas warg, źrenice o wyrazie nieugiętym i myślącym. Dusza, jaką ożywiały swoje postacie, nie była już ową duszą wywodzącą się z tchnień Flauberta, duszą jego twórców, zbuntowaną zawczasu przeciw niezłomnej pewności, że nie jest możliwe żadne nowe szczęście; była to dusza już po klęsce zbuntowana doświadczeniami, wszelkim daremnym wysiłkiem, jaki podejmowała, żeby wynaleźć więzi duchowe spotykane rzadziej i stuszować ową odwieczną rozkosz, ze stulecia na stulecie odzwierciedlającą się w nasyceniach mniej czy więcej przemyślnych, które osiągają dwie płci odmienne.

FAUSTIN  
Aczkolwiek żyła między nami, będąc nam współczesną i życiem, i ciałem, panna Faustin, pozostająca pod wpływem atawizmów, tkwiła w poprzednim stuleciu, które jej przekazało duszę zblazowaną, mózg znużony i nienasycone zmysły.

Owa książka Edmonda de Goncourt należała do tomów, którymi des Esseintes delectował się najbardziej; bo i rzeczywiście dzieło to sugerowało w obfitości pożądane przezeń marzenia, spod każdego wiersza przeziarał tutaj tekst inny, dla umysłu jedynie widzialny, wskazany aluzją, otwierającą nowe perspektywy odczuć, albo przemilczeniem, dzięki któremu odgadywać można nieskończone połączenie duszy, jakich żaden idiom wyrazić by nie zdołał; wreszcie nie był to już ów język Flauberta, język o niepowtarzalnym przepychu, był to styl wnikliwy i subtelny, nerwowy i pokrętny, sprawnie notujący nieuchwytnie wrażenia, które godzą w zmysły i determinują przeżycie, styl umiejętny w modulowaniu złożonych niuansów epoki, samej przez się nader skomplikowanej. Na ogół był to wyraz niezbędny zamierzchłym cywilizacjom, które dla wyjawienia swoich dążeń, w jakichkolwiek od-

żyłyby czasach, wymagają nowych pojęć i zwrotów, nowych stopów tak we frazach, jak w słowach.

W Rzymie umierające pogaństwo zmodyfikowało swoją prozodję, przekształciło swój język dzięki Auzoniuszowi, Klaudiowi, Rutiliusowi, których styl staranny i skrupulatny, mocny i dźwięczny nasuwa nieodzownie na myśl, zwłaszcza w opisach odbłasków, cieni, niuansów, analogię ze stylem Goncourtów.

W Paryżu obserwowaliśmy fakt jedyny w całej historii piśmiennictwa; konające społeczeństwo XVIII wieku miało swoich malarzy, rzeźbiarzy, muzyków, architektów przesiąkniętych jego upodobaniami i nasycenymi jego doktrynami, nie zdołało jednak ukształtować autentycznego pisarza, w którym znalazłoby piewę swoich wykwiłów bliskich już śmierci i który wyraziłby treść jego uciech gorączkowych, tak okrutnie odpokutowanych; musieliśmy poczekać, aż pojawią się Goncourtowie, na których temperament pisarski złożyły się wspomnienia, żal rozjątrzony dodatkowo bolesnym widokiem nędzy intelektualnej i niskich aspiracji naszej epoki — ażeby nie tylko w książkach historycznych, lecz w dziele nostalgicznym jak „Panna Faustin” mógł zmartwychwstać ni mniej, ni więcej tylko duch owych czasów: artystka ta wcieliła bowiem ich neurasteniczną subtelność, zawsze kwapiącą się dręczyć serce i drażnić umysł, aby smakować, póki nie nastąpi wyczerpanie, w ucieczkach od miłości zadających ból i w sztukach pięknych!

Inna była u Zoli tęsknota do zaświatów. Nie pragnął bynajmniej wypraw ku zaginionym regionom, w świat zagubiony wśród pomroki czasów; temperament pisarski potężny, solidny, rozkochany w zmysłowej bujności życia, w siłach krwistych, w zdrowiu moralnym, odciągał go od sztucznych wdzięków i uszminekowanych błędnic minionego stulecia, podobnie jak od hie-



ratycznej pompy, brutalnych okrucieństw i marzeń  
zniewieściałych a dwuznacznych pradawnego Orientu.  
W owym dniu — kiedy i jego również poczęła nękać  
ta nostalgia, dążność będąca w sumie ni mniej, ni  
więcej tylko poezją, potrzebą ucieczki od współczes-  
nego świata, który badał — Zola umknął na wieś  
wyidealizowaną, gdzie soki wrzały w skwarzym słoń-  
cu; zadumał się nad fantastycznymi rujami nieba, nad  
przewlekłymi omdleniami ziemi, nad zapładniającymi  
deszczami pyłku, który opadał w dyszące narządy  
kwiatów: osiągnął tą drogą gigantyczny panteizm  
i, chyba nawet bezwiednie, stworzył wraz z owym raj-  
skim środowiskiem, gdzie umieścił swojego Adama  
i swoją Ewę, cudowny hinduski poemat, sławiąc sty-  
lem hymnicznym, którego śmiałe barwy nie skażone  
przymieszkami miały jakby dziwaczną jaskrawość ma-  
larstwa Hindusów, ciało, materię uduchowioną, żywą,  
objawiającą swoim szalem płodzenia istocie ludzkiej  
zakazany owoc miłości, jej nieprzytomne zrywy, in-  
stynktowne pieśczęty, naturalne postawy.

Obok Baudelaire'a trzech ci mistrzowie byli w lite-  
raturze francuskiej, nowoczesnej i świeckiej, tymi,  
co najskuteczniej wyobcowali i najskuteczniej urobili  
umysł des Esseintes'a; otóż diuk Jan, rozczytując się  
w nich bez ustanku, tak nasycił się ich dziełami, że  
umiał je już w całości na pamięć i musiał teraz, by  
sycić się nimi od nowa, starać się je pozapominać:  
na czas jakiś zatem zostawił te książki na półkach,  
w spokoju.

Zaglądał więc do nich za ledwie, kiedy sługa po-  
dawał mu je teraz. Zadowalał się wskazywaniem miej-  
sca, jakie winny były zajmować, bacząc, aby stały  
w ordynku należytym i sposobnym.

Sługa przyniósł mu następną partię książek: te za-  
kłopotaly go bardziej; upodobanie w nich znalazł był

po pewnych oporach, ale dzięki tym książkom, dzie-  
ki ich wadom właśnie, odpoczywał po doskonałościach  
pisarzy szerszej miary; i tu jeszcze, w swoich za-  
pędach do wyrafinowań, des Esseintes posunął się tak  
daleko, iż jął szukać wśród mętnych stronic takich  
zdań, co wyzwalały rodzaj elektryczności przenikają-  
cej go dreszczem, choć powstawała ona w środowisku,  
które początkowo wydawało się odporne.

Lubił niedoskonałość samą w sobie, ale pod warun-  
kiem, żeby nie była ani pasożytnicza, ani służalcza;  
może więc istniała doza prawdy w jego teorii, że pod-  
rzędny pisarz dekadencji, pisarz obdarowany własną  
osobowością, nawet niekompletną jeszcze, destyluje  
likwor bardziej drażniący, bardziej pobudzający ape-  
tyt, bardziej nasycony jadami aniżeli dekokty w tejże  
epoce sporządzane przez artystów naprawdę wielkich,  
naprawdę doskonałych. Według diuka Jana, wśród  
owych chaotycznych prób napotykało się wrażliwość  
wyostrzoną nad podziw, najbardziej chorobliwe ka-  
prysy psychiczne, najbardziej ekstrawagancką depra-  
wację języka, który, po przełamaniu ostatnich buntów,  
zmuszony został do powściągnięcia, zamaskowania ki-  
piących soli przeżyć i pojęć.

Oczywista zatem, po mistrzach des Esseintes zwracał się do pisarzy, których jeszcze droższymi i przyjaź-  
niejszymi czyniła mu wżgarda, jaką okazywał im ogół,  
niezdolny ich zrozumieć.

Jeden z nich, Paul Verlaine, który debiutował nie-  
gdyś tomem wierszy „Poematy saturniczne”, tomem  
niemal kalekim, gdzie pastisze z Leconte de Lisle'a  
właziły na ćwiczenia z retoryki romantycznej, ale je-  
dnocześnie przenikała już te lub owe wiersze, jak na  
przykład sonet zatytułowany „Rêve familier”, auten-  
tyczna osobowość poety.

Szukając jego antecedenencji, des Esseintes odnajdo-

Goncourt  
Flaubert  
Zola



wał, pod chwiejnością prób, talent głęboko nasycony przez Baudelaire'a, którego wpływ później zaznaczył się z taką wyrazistością, iż dar, jakim ów patron nieskazitelny raczył wyposażyć swojego klienta, bił w oczy.

Niektóre następne tomy Verlaine'a, takie jak „Dobra piosenka”, „Płochy igraszki”, „Pieśni bez słów”, a wreszcie ostatni — „Księga mądrości” — zawierały poematy, gdzie objawiał się pisarz oryginalny, odcinający się od mnogości swoich kolegów.

Zbrojny w rymy czasownikowe, a niekiedy nawet tworzone z długich przysłówków, co i raz poprzedzanych monosylabą, z której spadały, jak gdyby z krawędzi głazu, ciężką strugą wody, wiersz Verlaine'a pocięty nieprawdopodobnymi cesurami stawał się często szczególnie trudny również i za sprawą zuchwałych elips lub dziwacznych kaprysów wersyfikacyjnych, tak czy owak nie pozbawionych wdzięku.

Mistrz metrum niemal niedościgły, próbował odmłodzić poematy o formach ustalonych na zawsze: jego sonet przypominał owe japońskie ryby z polichromowanej gliny, które pozują na postumentach z ogonami w górze, a skrzelami w dole; albo wypaczał go, kojarząc między sobą tylko rymy męskie, za którymi przepadał, jak się zdaje; stosował również, i to często, pewną dziwną formę: była to strofa złożona z trzech wersów, ale tak, iż środkowy nie miał nigdy rymu, albo tercet monorymiczny, po którym następował jeden jedyny wers, rzucony miast refrenu i sam dla siebie stanowiący echo, na przykład *streets* „Zatańczmy gige”; używał jeszcze innych rytmów, których tonacja, niemal zatarta, dawała się słyszeć już tylko w strofach odległych, niby przygasły dźwięk dzwonu.

Lecz osobowość Verlaine'a polegała na tym zwłaszcza: umiał wyrażać mgliste i rozkoszne zwierzenia pół-

głosem, o zmierzchu. Dzięki niemu tylko mogliśmy odgadywać pewne wprowadzające w pomieszenie zaświaty ducha, myśl szmerzącą tak cicho, szepty wyznań tak przerywane, iż ucho, które je chwyciło, pozostawało pełne wahań — przelewając w duszę tęsknoty ożywione tajemnicą owego tchnienia, bardziej odgadawanego niż wyczuwalnego. Cały charakter Verlaine'a ujawniał się w uroczych strofach z „Płochy igraszek”:

Zapadał wieczór, dwuznaczny wieczór jesieni,  
Piękne dziewczki u ramion naszych uwieszone,  
Marząc szeptały słowa błahe i szalone,  
Od których dusza nasza drży jeszcze zdziwieniem.

Nie był to już horyzont bezkresny, otwarty za niezapomnianymi drzwiami Baudelaire'a, była to, pod księżycem w pełni, szpara rozchylona na pole mniej rozległe, lecz bardziej intymne, w sumie charakterystyczne dla autora, co w tych oto wersach, którymi *des Esseintes* delectował się ogromnie, sformułował swoje credo poetyckie:

Bo pragniemy odcieni i tylko odcieni,  
Nie barw, lecz odcieni i odcieni jeszcze  
.....  
A cała reszta jest literaturą.

*Des Esseintes* towarzyszył mu z ochotą w najróżniejszych jego dziełach. Po „Pieśniach bez słów”, wydrukowanych w *Sens*, nakładem tamecznej gazety, Verlaine zamilkł na dość długo, a następnie pojawił się znowu w wierszach przesłicznych, nacechowanych łagodnymi i lekliwymi akcentami Villona, opiewając Najświętszą Pannę „z dala od naszych dni zmysłowego ducha i smutnego ciała”. *Des Esseintes*, wracając często do „Księgi mądrości”, podszeptował sobie,



dzięki tym poematom, sekretne marzenia, zmyślał utajoną miłość do bizantyjskiej Madonny, co przeobrażała się w pewnym momencie w Cydalisę zbłąkaną w nasze czasy i tak tajemniczą, tak zbijającą z tropu, iż wiedzieć nie mogłeś, czy zmierza ku perwersjom w tym stopniu monstualnym, że raz pokosztowane wciągały na zawsze z nieodpartą siłą, czy też sama wzbijała się w marzenie, w niepokalane marzenie, gdzie adoracja duszy unosiłaby się wokół niej, w stanie wciąż umykającym definicji, niezmaczenie czystym.

Inni jeszcze poeci instygowali diuka Jana, żeby się im zwierzał: Tristan Corbière, który w roku 1873 rzucił na rynek, wśród ogólnej obojętności, tom zatytułowany "Les Amours jaunes", jeden z najbardziej ekscentrycznych. Des Esseintes tak nienawidzący banałów i pospolitości, że przystałby na szaleństwa najjaskrawsze, na ekstrawagancje jak najdziwaczniejsze, spędzał miłe godziny z tą książką, gdzie cudactwa mieszały się z rozwichrzoną energią, gdzie wersy oszołamiające eksplodowały w poematach absolutnie tajemniczych, takich jak litanie „Snu”, który, w pewnym momencie, autor nazwał:

Sprośnym spowiednikiem dewotek-niedonosków. Była to zaledwie francuszczyzna; Corbière gadał po „murzyńsku”, przemawiał językiem telegraficznym, czasowniki kasował aż do przesady, kpinami sypał jak z rękawa, puszczał się na dowcipy godne namolnego komiwojażera, po czym, nagle, spośród owej gmatwaniny rojącej się od nie najsmaczniejszych żarcików i wymizdrzeń dość tanich, wystrzelał okrzyk rozzierającego bólu, jak gdyby pękła struna wiolonczeli. Z tym wszystkim ów styl chropawy, oschły, obchudzany starannie, najeżony nie spotykanymi wyrazami i nieoczekiwanymi neologizmami, olśniewał wynalazczością ekspresji, wersami zbłąkanymi, odcię-

tymi od rymu, wspaniałymi; wreszcie, pomijając „Poèmes Parisiens”, skąd des Esseintes wyluskał tę oto głęboką definicję kobiety:

Wieczysta kobiecość wieczystego kpa, Tristan Corbière, stylem o zwięzłości niemal potężnej, opiewał morze bretońskie, seraje marynarzy, odpusty w Sainte-Anne, umiał zaś być wspaniale elokwentnym łącząc niemiłosiernie generałów i polityków, założycieli obozu w Conlie, indywidua, które mienił „kramarzami Czwartego Września”.

Tę skruszałość, na którą był łasy i którą częstował go ów poeta, mistrz epitetów ściągniętych grymasem i powabów zawsze nieco podejrzanych, des Esseintes odnajdował jeszcze u innego poety, Teodora Hannon: tym uczniem Baudelaire'a i Gautiera powodował nader specjalny zmysł frymuśnych wykwintów i sztucznych uciech.

W przeciwieństwie do Verlaine'a, który wywodził się, bez domieszek, od Baudelaire'a, zwłaszcza w domenie psychologii, zdradliwych niuansów myśli, a także przemyślanej kwintesencji uczuć, Teodor Hannon zawdzięczał mistrzowi przede wszystkim stronę plastyczną, zasadzającą się na wizji zewnętrznej świata i ludzi.

Jego urocze zepsucie musiało harmonizować z dyspozycjami des Esseintes'a, co w dni mgliste, dni słotne chronił się w azylu przezeń wyimaginowanym, upajając oczy migotami tkanin, rozbłyskami klejnotów, słowem wspaniałościami Hannon wyłącznie materialnymi, które szły w sukurs bodźcom mózgu i wzbijały się, niczym proszek kantarydowy, ciepłym obłokiem kadzidla, ku Brukselskiemu Bożyszczu o licach uszmin-kowanych, o brzuchu wygarbowanym perfumami.

Z wyjątkiem rzeczonych poetów, a także Stefana Mallarmé, którego nakazał słudze odłożyć na bok, aby



*dawniej ich lubił, teraz już nie:*  
obmyślić dlań miejsce oddzielne, inni poeci nie nęcili des Esseintes'a.

Mimo przepyszną formę, mimo imponującą rytmikę wiersza, co wznosił się z takim blaskiem, że w porównaniu z nim nawet heksametry Wiktora Hugo wydawały się szare i bezdźwięczne, Leconte de Lisle nie mógł już obecnie kontentować diuka Jana. Starożytność, którą tak cudownie wskrzesił Flaubert, pozostawała w jego rękach nieruchoma i zimna. Nic nie pulsowało w tych wierszach, całej tej fasady nie wspierała na ogół żadna idea; nic nie żyło w tych bezludnych poematach, które niewzruszona mitologia zamrażała w efekcie. Ale też, po długotrwałych delectacjach, des Esseintes przestał interesować się na koniec i dziełem Gautiera; w poecie tym tkwił niezrównany malarz, lecz admiracja, jaką go darzył, z dniem każdym rozwiewała się stopniowo i teraz diuk Jan bardziej zdumiewał się, aniżeli zachwycał jego opisami, w pewnym sensie obojętnymi. Wrażenia, jakich dostarczały przedmioty, utrwalając się w oku Gautiera nadzwyczaj spostrzegawczym, lokalizowały się tam i nie przenikały dalej w jego mózg i ciało; niczym znakomite lustro Gautier ograniczył się raz na zawsze do odzwierciedlania z bezosobistą wyrazistością tego, czym był otoczony.

*poeci  
ma  
opracować  
w lekturze*  
Des Esseintes lubił na pewno jeszcze dzieła obu tych poetów, podobnie jak lubił rzadkie klejnoty, materie drogocenne i martwe, ale żadne wariacje wprowadzane przez tych instrumentalistów doskonałych nie zdołałyby już wprowadzić go w ekstazę, żadna bowiem nie była strasna dla marzeń i przed nim przynajmniej żadna nie otwierała owych żywych przestrzeni, wśród których mógłby przyspieszać powolny lot go-dzin.

Wychodził z ich książek czczy, podobnie jak i z

książek Wiktora Hugo; strona orientalna i strona patriarchalna były tam zbyt konwencjonalne, zbyt puste, żeby go zaciekawiać; stroną zaś infantylną i poczciwie starczą zarazem irytował się okropnie; musiał dotrzeć do "Chansons des rues et des bois", żeby ryknąć z zachwytu przed nienaganną zonglerką metrum, ileż jednak by dał w końcu, by wymienić wszystkie te sztuczki na nowe dzieło Baudelaire'a, dorównujące dawnemu, zdecydowanie bowiem ów poeta był dlań jedynym niemal, którego wiersze pod wspaniałą powłoką zawierały miąższ balsamiczny i pożywny!

Przeskakując ze skrajności w skrajność, od formy pozbawionej myśli do myśli wyzuty z formy, des Esseintes zachowywał jednak zawsze chłód i rozwagę. Urzekały go labirynty psychologiczne Stendhala, pokrętności analityczne Duranty'ego, lecz mierzył ich język administracyjny, bezbarwny, jałowy, proza najemna, dobra najwyżej dla nikczemnej industii teatralnej. Ponadto, chytre ich demontaże oddziaływały, dość powiedzieć, na umysły nurtowane namiętymi uczuciami, które diukowi Janowi były już obce. Nie troskał się raczej o afekty natury ogólnej, o pospolite skojarzenia pojęć, teraz, kiedy powściągając umysł aż do przesady, uznawał już tylko wrażenia arcysubtelne, a także udręki katolickie i zmysłowe zarazem.

Pragnąc radować się dziełem łączącym, w myśl jego życzeń, styl wnikliwy z analizą dociekliwą i giętką, musiał sięgnąć do książek mistrza indukcji, jakim był ów przedziwny i głęboki Edgar Poe, który, odkąd zaczął go ponownie czytać, nie zawiódł nigdy umiłowañ diuka Jana.

Bardziej chyba niż ktokolwiek inny, Poe wykazywał powinowactw najwięcej z kontemplacyjnymi zapędami des Esseintes'a.



O ile Baudelaire rozszyfrował w hieroglifach duszy klimakterium uczuć i pojęć, Poe, drogami psychologii patologicznej, ze szczególną bystrością zbadał dziedzinę woli.

Poe On pierwszy w literaturze wyśledził w dziele pod zagadkowym tytułem "Demon perwersji" owe prze-  
możne impulsy, jakim bezwiednie podlega wola, a które  
patologia mózgu tłumaczy dzisiaj w sposób nie-  
mal pewny; on pierwszy również, jeśli nie opisał, to  
co najmniej podał do ogólnej wiadomości wpływ de-  
presyjny lęku, oddziałującego na wolę podobnie jak  
środki znieczulające, które paraliżują wrażliwość, i jak  
curara, która unicestwia motoryczne ośrodki nerwów;  
na tym punkcie, na owym letargu woli, skoncentro-  
wał swoje studia, analizując skutki tej trucizny mo-  
ralnej, wskazując objawy jej postępów: początkowym  
zaburzeniom towarzyszy niepokój, co przekształcając  
się w obsesyjny lęk wybuchu na koniec atakami trwo-  
gi, która zamracza ośrodki woli, nie osłabiając jednak  
zachwianej chwilowo inteligencji.

Śmierć, tak zbanalizowaną przez wszystkich drama-  
turgów, Poe w pewnym sensie wyostrzył, odmienił,  
wzbogacając o element algebraiczny i nadludzki; ale,  
prawdę mówiąc, nie tyle opisywał rzeczywistą agonię  
człowieka konającego, ile agonię duchową kogoś, kto  
jeszcze żyje, nękany na żalonym łożu potwornymi  
halucynacjami, jakie rodzi boleść i znużenie. Ulega-  
jąc okrutnym fascynacjom kładł szczególny nacisk  
na przeżycia grozy, na zjawiska załamывania się woli:  
zimno rozumując w ich względzie, z wolna ścisnął gar-  
dło czytelnikowi, który dławił się i dygotał przed  
owymi koszmarami, mechanicznie komponowanymi  
z malignowatych urojeń.

Wijące się w konwulsjach dziedzicznych neuroz,  
szalejące w atakach duchowej epilepsji, jego twory

żyły tylko nerwami; jego kobiety — takie jak Morella  
czy Ligeia — cechowała olbrzymia erudycja, nasią-  
knięta mgłami filozofii niemieckiej i kabalistycznymi  
tajemnicami antycznego Orientu, a każda z nich miała  
tors chłopięcy i zimny anioła: wszystkie były, by tak  
rzec, aseksualne.

Baudelaire i Poe, te dwa umysły często stawiane  
obok siebie dla wspólnej im poetyki, pokrewnych  
skłonności do badań nad chorobami psychicznymi, róż-  
niły się radykalnie co do pojęć w materii afektu,  
którym dzieła ich obydwu poświęcały mnóstwo miej-  
sca; Baudelaire ze swoją miłością skażoną i nieprawą,  
do której wstręt miał okrutny, nasuwający na myśl  
represje inkwizycji; Poe ze swoimi amatorami czysty-  
mi, eterycznymi, gdzie nie istniały zmysły, ale gdzie  
samotny umysł doznawał erekcji bez związku z na-  
rządami, które, gdyby istniały, pozostawałyby zawsze  
lodowate i dziewicze.

Owa klinika mózgowa, gdzie, wiwisekcjonując w  
dusznej atmosferze, ten chirurg ducha sam się stawał,  
ilekroć utrudziła się jego uwaga, ofiarą własnej wy-  
obraźni, prószącej, niby rozkosznymi miazmatami, mnó-  
stwem zjaw somnambulicznych i anielskich, była des  
Esseintes'owi źródłem nieprzebranych hipotez; obecnie  
jednak, przy zaostrzeniu neurozy, bywały dni, kiedy  
wyczerpywał go do cna ten rodzaj lektur, dni, kiedy  
tkwiąc nieruchomo z drżącymi rękami i nateżonym  
uchem czuł, jak — niczym żalony Usher — wpadał  
w trans urojony, w głuchą trwoę.

Z konieczności miarkując się zatem, ledwie już  
tylko dotykał tych niebezpiecznych eliksirów — po-  
dobnie jak nie mógł bezkarnie odwiedzać swojego  
czerwonego westybulu, by upajać wzrok ciemnościami  
Odilona Redona i torturami Jana Luykena.

Skądinąd, w tym nastroju ducha, cała literatura wy-



dawała mu się mdła po straszliwych dekoktach importowanych z Ameryki. Wtedy zwracał się do Villiers de l'Isle-Adama, z dzieł jego bowiem rozproszonych wychwytywał obserwacje również podniecające, wibracje również spazmatyczne, ale które nie raziły już grozą aż tak wstrząsającą, z wyjątkiem chyba „Klary Lenoir”.

Opublikowana w roku 1867 w „Revue des lettres et des arts” owa „Klara Lenoir” otwierała serię nowel objętych swoistym tytułem „Historijj posepnych”. Na tle niejasnych wywodów, zapożyczonych od starego Hegla, uwijały się zwichrowane stworki: doktor Tribulat Bonhomet, infantylny i pompatyczny, Klara Lenoir, groteskowa i złowroga, w niebieskich okrągłych okularkach, zakrywających jej oczy niemal umarłe.

Wątkiem tej noweli była zwykła zdrada małżeńska, zakończenie jednak mroziło krew w żyłach, kiedy Klarze na łożu śmierci Bonhomet rozszerzył źrenice i wraziwszy w nie potworne sondy, dostrzegł odbitą tam wyraźnie postać męża, który dzierżąc w ręku odciętą głowę kochanka potrzasał nią i wył niczym Kanak odśpiewujący hymn bojowy.

Wywodząc się z hipotezy więcej czy mniej słusznej, iż oczy niektórych zwierząt, wołów na przykład, zachowują aż do chwili, kiedy rozpoczyna się rozkład — a przypominają w tym kliszę fotograficzną — ostatnie obrazy postrzeżone przed skonaniem, opowieść ta powstała niewątpliwie pod auspicjami nowel Poego: Villiers przyswoił sobie jego drobiazgową analizę stanów lękowych zwłaszcza.

Była to również tematyka „Intersigne”, noweli, która weszła później w skład „Opowieści okrutnych”, świadczących o niezaprzeczonem talencie; znalazła się tam i „Véra”, nowela, którą des Esseintes uważał za małe arcydzieło.

Tutaj halucynację przesycala uroczą tkliwość; nie były to już mroczne miraży amerykańskiego autora, była to wizja ciepła i płynna, niemal niebiańska; w identycznym literackim gatunku napotykalismy tu przeciwieństwo postaci takich jak Beatrice lub Ligeia, owe posepne i białe widma, które zrodził nieublagany koszmar, jaki wywołuje czarne opium!

Nowela ta, również wprowadzając wolę do akcji, nie traktowała o jej osłabieniach i porażkach spowodowanych trwogą; przeciwnie, analizowała jej porywy, które wywoływał bodziec przekonania, odmieniającego się w myśl nieugiętą; ukazywała potęgę woli, zdolnej nawet przepoić atmosferę, narzucić swoją wiarę otaczającemu światu.

Inna książka Villiersa, „Isis”, z innych względów diukowi Janowi wydawała się ciekawa. Rupieciarnia filozoficzna „Klary Lenoir” zawałala również i ową „Izydę” stanowiącą kram niewiarygodny obserwacyj rozgadanych i mętnych, a także reminiscencji z przestarzałych melodramatów: lochy, sztylety, sznurowe drabinki, cały ów lamus romantyczny, którego Villiersowi nie udało się odmłodzić i później ani w „Elèn”, ani w „Morgane”, dziełkach zapomnianych, opublikowanych u nieznanego wydawcy, imć pana Francisque'a Guyon, drukarza w Saint-Brieuc.

Bohaterka tej książki, markiza Tullia Fabriana, która posiadała jakby wiedzę chaldejską kobiet Edgara Poego i rozumu dyplomatyczne Stendhalowskiej Sanseveriny, skomponowała sobie ponadto zagadkową osobowość Bradamanty, skrzyżowanej z antyczną Circe. Z owych nierozdzielnych mieszanin emanował sardzowaty opar, w którym walczyły o lepsze wpływy filozoficzne i literackie, niezdolne uładzić się w mózgu autora, kiedy Villiers pisał prolegomena do tego dzieła zaprojektowanego na co najmniej siedem tomów.



Ale w temperamencie twórczym Villiersa istniał inny zakątek, w którym — przeciwnie — objawiało się pisarstwo wnikliwe, wyraziste: zakątek czarnego żartu i okrutnej drwiny; nie były to już paradoksalne mistyfikacje, poczęte z ducha Poego, były to szyderstwa nacechowane ponurym komizmem, jakim niegdyś rozpieklił się Swift. Seria nowel, takich jak „Panny de Bienfilâtre”, „Podniebne reklamy”, „Maszyna do produkowania sławy”, „Najpiękniejszy obiad w świecie”, ujawniała umysł prześmiewcy, nad podziw wynalazczy i jadowity. Cały brud terażniejszej utylitarnej ideologii, cała merkantylna sromota epoki znalazły apoteozę w nowelach, nad których bezlitosną ironią des Esseintes piał z zachwyty.

Nie istniała we Francji inna podobna książka z gatunku drwin poważnych i cierpkich; co najwyżej nowela Charles'a Cros, "La science de l'amour", umieszczona kiedyś w "Revue du Monde Nouveau", mogła zadziwiać swoimi wariactwami chemicznymi, swoim uszczypliwym dowcipem, swoimi obserwacjami nacechowanymi zimną groteską, przyjemność jednak sprawiała bardziej niż wątpliwą, forma jej bowiem dopuszczała się grzechów śmiertelnych. Zniknął styl zwarty, barwny, częstokroć całkowicie oryginalny Villiersa, ustępując miejsca kotlecikom skrobanym na warsztacie literackim przybłądy.

— Mój Boże! Mój Boże! Jakżeż niewiele jest książek, do których dałoby się wrócić jeszcze — wzdychał des Esseintes popatrując na sługę, co zszedł z drabinki i odsunął się na bok, aby pan mógł ogarnąć wzrokiem wszystkie półki.

Diuk Jan kiwnął głową na znak aprobaty. Na stole pozostały już tylko dwie broszury. Gestem odprawił starca i jął przeglądać karty oprawne w oślą skórę, wyglansowaną uprzednio za pomocą prasy hydraulicz-

nej, pomalowaną akwarelami w srebrzyste baranki obłoczków, podbitą starym jedwabiem, którego kwiecisty wzór, nieco już wypłowiawszy, nabrał owego przywiedłego wdzięku, jaki Mallarmé sławił w jednym z cudownych swoich poematów.

Stronice te, w liczbie dziewięciu, pochodzące z bezcennych egzemplarzy dwóch pierwszych Parnasów, były pergaminowe, a poprzedzał je taki oto tytuł: „Kilka wierszy Mallarmégo”, wykaligrafowany przez zadziwiającego artystę literami uncjalnymi, kolorowanymi i, jak w starych manuskryptach, nakrapianymi złotem.

Spośród jedenastu utworów, objętych tą oprawą, niektóre go nęciły: „Okna”, „Epilog”, „Lazur”; ale pozostawał w mocy tylko jednego z ich, fragmentu „Herodiady”, co w pewnych godzinach działał nań niczym gusła.

Przez ileż wieczorów, pod lampą oświetlającą łagodnym blaskiem cichy pokój, diuk Jan odczuwał muśnięcia owej Herodiady z obrazu Gustawa Moreau, co zagarnięta teraz cieniem zanikała lżejsza, ukazując się jedynie jako niewyraźny posąg, biały jeszcze, w wygasłej poździe drogich kamieni!

Ciemność maskowała krew, usypiała odbłaski i złoto, mroczyła oddale świątyni, topiła współników zbrodni, spowitych w martwe barwy, i szcędząc tylko biele akwarelowe, wydobywała kobietę z futerału klejnotów, czyniąc ją bardziej nagą.

Wznosił ku niej oczy przyciągane niezwyciężoną siłą, rozpoznawał ją po jej niezapomnianych konturach, ona zaś odżywała przywołując na jego wargi te oto dziwaczne i melodyjne wiersze, jakimi obdarował ją Mallarmé:



.....  
 Tylekroć w ramie twojej woda ścięta nuda  
 Zamarza; wciąż nękana nieznośną ułudą  
 Snów, a wspomnień mych łaknąc, wspomnień, które mamia  
 Pod twą taflą, jak liście nad ciemną otchłanią,  
 W tobie jawię się sobie cieniem przez oddale  
 Przysłanym, lecz o zgrozo! wieczorem w kryształ  
 Surowym twego źródła, marzeń mych ulotnych  
 Nagość, bywa, poznaję w odbiciach stokrotnych!

Kochał te wiersze jak i całe dzieło poety, który w stuleciu powszechnej pogoni za poklaskiem i blich-trem żył z dala od literatury, chronił się wzgardą przed ogólną głupotą, delectował się, z dala od świata, nie-spodziankami intelektu i wizjami swojego mózgu; rafinował myśli wyblakłe już, zaszczepiając im subtel-ność bizantyjską, utrwalając je dzięki dedukcjom dy-skretnie zaznaczanym, które wiązał lekko nicią niedo-strzegalną.

Owe myśli przeplatające się wzajemnie i kunsztow-ne łączył w słowach najtrafniejszych, wyodrębnionych i tajemnych, stosując skróty syntaktyczne, nie lękając się elips ani śmiałych poetyckich tropów.

Postrzegając jak najodleglejsze analogie, oznaczał często przedmiot ożywiony lub martwy jednym jedy-nym terminem, oddającym przez podobieństwo rów-nocześnie jego kształt, zapach, barwę, gatunek i blask, podczas gdy określony wyłącznie mianem technicz-nym przedmiot ów, dla wyłuskania zeń wszelkich aspektów i odcieni, wymagałby licznych i różnolitych epitetów. Udawało mu się tym sposobem unicestwiać człony porównania, które ustanawiało się samoistnie w umyśle czytelnika drogą analogii, z chwilą kiedy przejrzał symbol: tak więc mógł już nie rozpraszać uwagi na poszczególne cechy, jakie wyobrażały przed-miot, kolejno, przymiotnikami maszerującymi gęsiego, ale skupiał ją na jednym słowie, emanującym podob-

nie, jak na przykład malowidło, wizję jedyną i kom-pletną, całość.

Stawało się to literaturą skondensowaną, tęgim bu-lionem, szczytem sztuki; oszczędnie zrazu stosując ową taktykę w swoich pierwszych dziełach, Mallarmé uczynił z niej swój sztandar w szkicu poświęconym Teofilowi Gautier i w „Popołudniu fauna”, elegii, gdzie subtelność uciech zmysłowych ewoluowała w wierszach tajemniczych i pieściwych, które rozrywał nagle dziki i deliryczny okrzyk fauna:

Czyż więc znów się obudzę, w swej żądzy pierwotny,  
 W antycznej fali światła prosty i samotny,  
 Lilie! do was podobny w swojej niewinności.\*

Ten wers, dzięki wołaczowi „lilie!” przywodzący na myśl obraz czegoś sztywnego, strzelistego, białego, czegoś o treści wspierającej z kolei rzeczownik „nie-winność”, wyrażał alegorycznie jednym tylko termi-nem namiętność, wrzenie, jakie na moment ogarnęły fauna dziewiczego jeszcze, oszalałego od rui na widok nimf.

W tym nadzwyczajnym poemacie, ze wszystkich jego wersów wynurzały się obrazy nowe, niespodziane, nie widziane dotąd, gdy tymczasem poeta opisywał namiętne zapędy i żale kozłonoga, kontemplującego z brzegu mokradła kępy trzcin, gdzie zachowały się jeszcze w uludnym modelunku kształty najad, ich dawnych mieszkańek.

A ponadto des Esseintes zaznawał oszołamiających rozkoszy, ilekroć brał w palce tę maleńką broszurkę, oprawną w filc japoński, biały jak zsiadłe mleko, i związaną dwoma jedwabnymi sznurkami, z których jeden zabarwiony był chińskim różem, a drugi czer-nią.

\* Przekład Ryszarda Matuszewskiego.



Ukryta pod okładką czarna plecionka łączyła się z plecionką różową, przydającą jak gdyby tchnienie welutyny, jak gdyby obłoczek nowoczesnej japońskiej szminki, jak gdyby akcent rozpustny staroświeckim białościom, dziewiczej karnacji dziełka, i opasywała je, wiążąc lekką rozetką swój kolor ciemny z jasnym, a tym samym czyniąc dyskretną aluzję do owych żalów i do mglistej groźby, do zasmucenia, które następuje, kiedy wygasną ognie i uciszy się nadmier-  
na ekscytacja zmysłów.

Des Esseintes odłożył na stół „Popołudnie fauna” i przejrzał inną broszurę, którą kazał być wydrukować na swój użytek: antologię poematów prozą, kapliczkę pod wezwaniem Baudelaire’a, ukazującą ich wirydarz.

Antologia zawierała też wybór z „Kacpra, nocnego wędrowca”: Aloysius Bertrand, fantasta, autor tych utworów, przeniósł procedery Leonarda do prozy i malował metalicznymi tlenkami drobne sceny, których żywy koloryt migocze jak przezroczyście emalia. Des Esseintes dołączył do nich „Vox populi” Villiersa, rzecz wspaniale sztancowaną stylem złotym, na wzór Leconte de Lisle’a i Flauberta, a także dodał kilka wyjątków z subtelnej „Księgi Jaspisu”, gdzie ginseng i herbata mieszają swoje egzotyczne wonie z aromatycznym chłodem wód szczebioczących pod księżycem w pełni, od początku do końca tego dziełka.

Ale zbiór ten zgromadził niektóre poematy ocalone z umarłych periodyków literackich: „Démon de l’analogie”, „Pipe”, „Pauvre enfant pâle”, „Spectacle interrompu”, „Phénomène futur”, a zwłaszcza „Plaintes d’automne” i „Frisson d’hiver”, arcydzieła Mallarmégo, zaliczające się również do arcydzieł poematu prozą, łączyły one bowiem język tak wspaniale uładzony, iż kołysał sam przez się, niczym melancholijne zakle-

cia, niczym upajająca melodia, myślami nieodparcie sugerowanymi, tętnem duszy wrażliwca, którego rozemocjonowane nerwy wibrują z ostrością przenikającą nas aż do zachwycenia, aż do bólu.

Spośród wszelkich form literackich des Esseintes najbardziej upodobał sobie poemat prozą. Skomponowany przez genialnego alchemika musiał, jak sądził diuk Jan, zawierać w swojej szczupłej objętości, w swoim stanie *of meat*, potencjał powieści, z której wyrugowano by dłużyzny analityczne i rozwlekłość opisów. Des Esseintes medytował nader często nad tym niepokojącym problemem: napisać powieść skoncentrowaną w kilku zdaniach, zawierającą wydestylowany sok setek stronic, które poświęca się zawsze definicji środowiska, rysunkowi charakterów, gromadzeniu dowodnych obserwacji i drobnych faktów. Tu wybrane słowa stałyby się tak niewymienne, że starczyłyby za wszystkie inne; przymiotnik otrzymujący miejsce tak przemyślane i tak ostateczne, iż bez naruszenia prawideł nie można go było zeń usunąć, otwierałby perspektywy niezmiernie, dzięki którym czytelnik dumiałby całymi tygodniami nad jego treścią, jedno- i wieloznaczną zarazem, konstatając teraźniejszość, odtwarzając przeszłość, odgadując przyszłość dusz bohaterów, którzy pojawiali się w blaskach jednego jedyne go epitetu.

Powieść tak poczęta, tak skondensowana do jednej czy dwu stronic, stałaby się komunią myśli między pisarzem-magiem a czytelnikiem idealnym, świadomą współpracą duchową między dziesięcioma wyjątkowymi osobami rozproszonymi w świecie, delectacją ofiarowaną umysłom subtelny, im jedynie dostępną.

Słowem, poemat prozą był w oczach des Esseintes’a sokiem rzeczywistym, ekstraktem literatury, esencjalnym olejkiem sztuki.



Treściwość ta, rozwinięta i zredukowana do jednej kropli, istniała już u Baudelaire'a, jak również w tych poematach Mallarmégo, którymi diuk Jan sycił się z radością tak głęboką.

Zamknawszy swoją antologię powiedział sobie, że jego biblioteka, ograniczona do tej ostatniej książki, nie powiększy się już prawdopodobnie nigdy.

Dekadencja literatury bowiem, nieuleczalnie schorzałej w swoich tkankach organicznych, osłabionej zgrzybieniem idei, wyczerpanej dziwactwami składni, wrażliwej tylko na ciekawostki, jakie ekscytują chorych, a jednak u schyłku pragnącej namiętnie wyrazić wszystko, zjadłej w chęci naprawienia, co się tyczy uciech, wszelkich przeoczeń, żadnej, by z łoża śmierci przekazać jeszcze najsubtelniejsze reminiscencje, wcieliła się w Mallarmégo, przybrawszy formę najwytrawniejszą i najwykwintniejszą.

Były to doprowadzone do wersji ostatecznej kwintesencje wyfiltrowane z Baudelaire'a i Poego; były to ich delikatne a potężne treści, które dzięki wielokrotnym destylacjom wydzielają nowe aromaty i wprawiały w nowe upojenia.

Była to agonia starego języka, który, kruszejąc z biegiem stuleci, rozkładał się w końcu, osiągał owo *deliquium* łaciny, oddającej ducha w tajemniczych conceptach i zagadkowej ekspresji świętego Bonifacego i świętego Adhelma.

A zresztą rozkład języka francuskiego dokonał się w okamgnieniu. W łacinie długi okres przejściowy, odchylenie lat czterystu istniało między różnobarwnym i wspaniałym słowem Klaudiana i Rutiliusa a słowem nadgniłym VIII wieku. We francuszczyźnie żadna nie pojawiła się pauza, żadne nie wkroczyło tu dziedzictwo stuleci; różnobarwny i wspaniały styl Goncourtów sąsiadował w Paryżu z nadgniłym stylem Ver-

laine'a i Mallarmégo: oba te style żyły w jednym i tym samym czasie, epoce, stuleciu.

I des Esseintes uśmiechnął się, a spoglądając na infolio otwarte na kościelnym pulpicie pomyślał, że nadejdzie moment, kiedy jakiś erudyta opracuje dla dekadencji języka francuskiego glosarium podobne temu, w którym uczony Du Cange wynotował ostatnie bełkoty, ostatnie spazmy, ostatnie blaski języka łacińskiego, rzeźącego na starość w głębi klasztorów.

## XV

*nerwowa cięta*

Entuzjazm do podkarmiacza zapłonawszy słomianym ogniem wygasł równie szybko. Nerwowa niestrawność, uśpiona zrazu, zbudziła się znów — a ponadto owa rozgrzewająca esencja mięsna tak mocno podrażniła wnętrzości, iż des Esseintes co prędzej musiał jej zaniechać.

Choroba wyruszyła w dalszy pochód; towarzyszyły jej symptomy dotąd nie znane. Po koszmarach, halucynacjach węchowych, zaburzeniach wzrokowych, suchym kaszlu, wybuchającym regularnie w określonych godzinach, po szumie w arteriach i sercu, po zimnych potach wystąpiły iluzje słuchowe: zmiany zachodzące w ostatnim okresie cierpień.

Trawiony żarem gorączki, des Esseintes usłyszał ni stąd, ni zowąd szmer wody, pobzykiwania latających os, po czym głosy te zmieszały się w całość podobną do posapywań pieca; posapywania sklarowały się, wyszlachetniały z wolna i przeszły zdecydowanie w srebrzysty dźwięk dzwonka.

Wtedy diuk Jan uczuł, jak jego mózg majaczący,



*Halucynacje*  
*świdrowanie*  
uniesiony falami muzyki, rozkołysał się wśród mistycznych wirów znanych mu z dzieciństwa. Śpiewy, których nauczył się niegdyś u jezuitów, powróciły i same przez się wywołały obraz konwiktu i jego kaplicy, gdzie rozbrzmiewając odbijały się halucynacyjnie w narządach węchowych i wzrokowych, by mrozić je dymem kadzideł i ciemnością irracjonalną, pod łukowatymi stropami napromienioną migotem witrażów.

Ceremonie religijne ojcowie urządzali z wielką pompą; dzięki znakomitemu organiście i wytrawnej reżyserii ćwiczenia duchowe zamieniały się w artystyczną ucztę, korzystną dla kultu. Organista, miłośnik muzyki dawnych mistrzów, w dni świąteczne wygrywał msze Palestriny i Orlanda di Lasso, psalmy Marcella, oratoria Händla, przenosząc je nad rozlazłe i łatwe kompilacje ojca Lambillotte, cieszące się ogromnymi łaskami u księży, lub wykonywał szesnastowieczne „Laudi spirituali” nacechowane sakralnym pięknem, które częstokroć urzekało des Esseintes’a.

Ale niewysłowionej radości doznawał zwłaszcza słuchając śpiewów gregoriańskich, które organista zachowywał w swoim repertuarze wbrew nowym prądom.

Forma ta, dziś poczytywana za gotyckie starocie liturgii chrześcijańskiej, za osobliwość archeologiczną, za przeżytek, była słowem starodawnego Kościoła, duszą średniowiecza; była modlitwą wieczną, śpiewaną, modulowaną stosownie do wzlotów duszy, była hymnem nieprzerwanym, wzbijającym się od stuleci do Najwyższego.

Owa tradycyjna melodia, ona jedynie, dzięki swojemu potężnemu unisono, swoim harmoniom uroczyстым i masywnym niby kamień ciosowy, mogła zespolić się ze starymi bazylikami i wypełnić sklepienia romańskie, których zdawała się emanacją i żywym głosem.

Niezliczoną ilość razy chwyciło i przyginało des Esseintes’a przemożne tchnienie, kiedy *Christus factus est* śpiewu gregoriańskiego wznosiło się w nawie, której filary drżały wśród szybujących obłoków kadzidła, albo kiedy solo „De profundis” jęczało, posępne niby stłumiony szloch, przejmujące jak zew zrozpaczonej ludzkości, która płacząc nad swoim śmiertelnym losem błagała Zbawiciela o czułe miłosierdzie!

W porównaniu z tym wspaniałym dziełem, stworzonym przez geniusz Kościoła bezosobisty, anonimowy jak i organy, o których wynalazcy nie wiemy nic, cała muzyka religijna wydawała się diukowi Janowi świecaka. W istocie bowiem ani Jomelli czy Porpora, Carissimi czy Durante w żadnym ze swoich dzieł, ani Händel czy Bach w swoich koncepcjach, podziwu najgodniejszych nawet, nie rezygnowali z aplauzu, nie składali nikomu w ofierze sukcesów, jakie przynosiła im sztuka, nie wyrzekali się ludzkiej pychy, zastłuchanej we własne modły; i, co najwyżej dzięki imponującym mszom Lesuera, odprawianym u Świętego Rocha, gruntował się styl religijny, poważny a dostojny, chropawą nagością pokrewny surowemu majestatowi śpiewów gregoriańskich.

Od tego momentu, absolutnie zrażony owymi głosami do „Stabat”, będącymi płodem wyobraźni Pergolesich i Rossinich, całym tym wtargnięciem sztuki salonowej w sztukę liturgiczną, des Esseintes unikał dzieł hybrydalnych, które toleruje pobłażliwy Kościół.

A zresztą, owa świadoma słabość tłumacząca się żądzą datków i kłamliwym argumentem przyciągania wiernych, obdarowała ich wprędce śpiewami zapożyczonymi z oper włoskich, z obrzydliwych kawatyn, z bezwstydných kadryłów, które huczna orkiestra wygrywała w kościołach przeobrażonych w buduary, wydanych na pastwę teatralnych błaznów ryczących pod



stropem, gdy na dole kobiety staczały boje, rywalizując toaletami, i omdlewały od wrzasku komediantów, nieczystymi głosami zapaskudzających sakralną muzykę organów!

Od lat już odmawiał sobie uparcie udziału w tych biesiadach nabożnych, zadowalając się wspomnieniami z dzieciństwa i wyrzucając sobie nawet, iż wysłuchał raz i drugi „Te Deum” kompozycji wielkich mistrzów, pamiętał bowiem przepiękne „Te Deum” gregoriańskie, ów hymn tak prosty, tak podniosły, dzieło świętego anonima, może świętego Ambrożego lub świętego Hilarego, co w braku orkiestry z jej skomplikowaną instrumentacją, w braku mechaniki muzycznej, jaką dysponuje wiedza nowoczesna, objawiał żarliwą wiarę, szaleńczą radość, z których dusza całej ludzkości przezierала w tonacjach przenikających do głębi, pełnych przekonania, niemal niebiańskich!

Z drugiej strony, poglądy des Esseintes'a na muzykę stały w jaskrawej sprzeczności z teoriami, jakie głosił w odniesieniu do innych sztuk pięknych. W rzeczach muzyki religijnej aprobował naprawdę tylko muzykę klasztorną średniowiecza, muzykę niemal bezcielesną, którą jego nerwy przyjmowały instynktownie, w podobny sposób, w jaki oddziaływały na nie te lub owe stronice starochrześcijańskiej *latinities*; ponadto przyznawał się, iż nie był zdolny pojąć forteli, jakie terażniejsi mistrzowie potrafili wprowadzać do sztuki katolickiej; nie studiował zresztą muzyki z taką samą pasją, jaka pchała go ku literaturze i malarstwu. Na fortepianie grywał jak i każdy; po długim okresie sylabizowania nauczył się odczytywać partyturę, ale pojęcia nie miał o harmonii, o technice, koniecznej, by rzeczywiście wychwytywać niuanse, oceniać subtelności, rozsmakowywać się w wyrafinowaniach z całą znajomością rzeczy.

Bo i przecież muzyka świecka jest sztuką, zmuszającą nas do poufalenia się z byle kim, skoro nie można czytać jej u siebie, jak czytamy książkę; aby muzyki tej pokosztować, trzeba zmieszać się z niezmienną publiką, od której przelewają się teatry albo która zalega ów Cyrk Zimowy, gdzie wśród prześwitujących promieni słońca, w duchocie pralni, pan o barach cieśli wywijając rękami masakruje rozkawałkowane epizody Wagnera, ku bezmiernej radości tłumu ignorantów!

Diuk Jan nie miał odwagi zanurzać się w tej ciżbie, by posłuchać Berlioza, chociaż kilka jego fragmentów oddziaływało nań przemożnie swoimi namiętnymi uniesieniami i dźwięcznymi fugami; wiedział też nieomylnie, że w zadziwiających operach Wagnerowskich nie istnieje ani jedna scena, a nawet ani jedna fraza, którą dałoby się bezkarnie oderwać od całości.

Kawałki te, powycinane i podane na koncertowym półmisku, traciły całe swoje znaczenie i nic nie mogło już przywrócić im sensu, zważywszy, iż podobnie jak rozdziały książki, uzupełniające się wzajem i zmierzające, wszystkie bez wyjątku, do wspólnej konkluzji, wspólnego celu, tak melodie służyły Wagnerowi do zarysowywania charakterów postaci, do wcielania ich myśli, wyrażania pobudek jawnych lub utajonych, przemyślnie zaś i uparte powroty owych postaci były zrozumiałe jedynie dla tych słuchaczy, którzy śledząc wątek od ekspozycji, przypatrywali się ich wykrystalizowaniom i wzrostowi w środowisku, skąd wyrwane niszczały, niby gałęzie odcięte od drzewa.

Tak więc, zdaniem des Esseintes'a, spośród owej ciżby melomanów niedzielnych, zapadających w ekstazę na ławeczkach, dwudziestu zaledwie znało partyturę, którą zaczynano masakrować, kiedy bileterki łaskawie zamilkły, żeby dopuścić do głosu orkiestrę.



Zważywszy także, iż inteligentny patriotyzm nie dopuszczał na francuskie sceny oper Wagnera, amatorom, którzy nie znali arkanów muzyki, a nie mogli przy tym lub nie chcieli pojechać do Bayreuth, nie pozostawało nic innego jak siedzieć w domu: stanowisko rozsądne, które umiał zająć i diuk Jan.

Z drugiej strony, muzyka bardziej popularna, strawniejsza, bądź utwory nie związane z dawnymi operami nie nęciły go wcale; płaskie tryle kompozytorów, takich jak Auber czy Boieldieu, Adam czy Flotow, retoryczne banały głoszone przez różnych Ambroise Thomasów i Bazinów, mierziły go na równi z przestarzałą minoderią i trywialnym wdziękiem się Włochów. Odsunął się zatem stanowczo od sztuki muzycznej i w latach, kiedy trwała owa abstynencja, mile wspominał te seanse muzyki kameralnej, w czasie których słuchał utworów Beethovena, a zwłaszcza Schumanna i Schuberta, co międlily jego system nerwowy na sposób najintymniejszych i najbardziej udręczonych poematów Edgara Poe'go.

U Schumanna niektóre partie na wiolonczelę dosłownie zapierały mu dech, wtlaczając w gardło duszącą gałę hysterii; nade wszystko jednak wprawiały go w uniesienie niektóre Lieder Schuberta, wyrzucały poza własne jestestwo, a potem wtrącały w prostrację, tak samo jak po utracie fluidu nerwowego, jak po mistycznych opsach duszy.

Owa wibrująca muzyka przenikała go aż do szpiku, spychając nieskończoność zapomnianych cierpień, starego spleenu w głąb serca, zdziwionego, że zawiera tyle splątanych nędz i mglistej bolesności. Owa muzyka rozpaczy, wołająca z dna istności, trwożąc go odczyniała nad nim uroki. Nigdy, bez łez nerwowych podchodzących do oczu, nie mógł powtarzać sobie „Skarg dziewczęcia”, było bowiem w tym *lamento* coś

więcej aniżeli zranienie, było coś wydartego, co gmerało mu w trzewiach, coś niby finał miłości wśród smętnego pejzażu.

I zawsze, ilekroć te żale prześliczne i żalobne wracały mu na wargi, diuk Jan roił o siedzibie podmiejskiej, siedzibie surowej, niemej, skąd obserwował, jak w oddali bezszelestnie przeciągały rzędy ludzi zmordowanych życiem, zgiętych we dwoje, i ginęły we mgle, gdy tymczasem on, napojony goryczą, przesycony niesmakami, czuł się wśród oklapłej przyrody samotny, kompletnie samotny, powalony trudną do wyrażenia melancholią, upartą zgryzotą, której tajemnicza intensywność wykluczała wszelką pociechę, wszelką litość, wszelki wypoczynek. Niby podzwonne, ów śpiew rozpaczy nękał go teraz, gdy leżał unicestwiony maligną i miotany niepokojem, tym natrętniejszym, iż nie rozoznawał się już w jego przyczynach. Na koniec poddał się biernie prądowi, wstrząsany potokiem lęków, jakie sączyła ta muzyka przygłuszona nagle, na minutę, śpiewem psalmów, co wzniósł się tonacją powolną i niską w jego głowie, której umęczone skronie tętniły, wydawało mu się, biciem dzwonu.

Któregoś ranka jednak nacichły te głosy; poczuł się lepiej i kazał słudze przynieść lustro; zaraz wysliznęło mu się z rąk; z ledwością poznał sam siebie; twarz miał ziemistą, wargi nabrzmiące i suche, język pomarszczony, cerę chropowatą; zarost, którego sługa nie przycinał, od czasu jak pan zachorował, wzmagął jeszcze okropność zapadłych policzków, oczu rozszerzonych i maziowatych, rzucających gorączkowe blaski spod najeżonego włosami czoła szkieletu. Ta twarz zmieniona przeraziła go bardziej aniżeli nieposkromione wymioty, wśród których zrzucał każdą odrobinę jadła; bardziej niż marazm, w jakim się pogrążył. Uznał się za zgubionego; następnie, mimo morderczej



prostracji, energia, jaka wraca ludziom nie mającym już nic do stracenia, podniosła go z łóżka, przydając na tyle sił, że napisał list do znajomego lekarza w Paryżu i wysłał sługę z rozkazem przywiezienia doktora niezwłocznie, za wszelką cenę, tegoż jeszcze dnia.

Od najkompletniejszego marazmu przeskoczył do najbardziej krzepiącej nadziei; ów lekarz był sławnym specjalistą, renomowanym dla swoich kuracyj chorób nerwowych: „Z pewnością wyleczył wiele przypadków uporczywszych i niebezpieczniejszych niż mój — pomyślał des Esseintes — niewątpliwie za kilka dni stanę na nogi. — Lecz ową ufność wyrugował absolutny sceptycyzm: — Lekarze najuczeńsi nawet i odznaczający się najwnikliwszą intuicją nie wiedzą nic o neurozach, nie znając przecież ich przyczyn. Tak samo jak inni i ten zaaplikuje mi wieczysty tlenek cynku i chininę, bromek potasu i walerianę; ale, kto wie — rozmyślał dalej, czepiając się ostatniej deski — zapewne te leki dlatego aż dotąd nie skutkowały, że nie umiał dozować ich należycie”.

Mimo wszystko to czekanie na ulgę przydawało mu sił witalnych, ale zdjął go lęk nowy: oby tylko lekarz był w Paryżu i pofatygować się zechciał, i zaraz diuka Jana zgnębiła trwoga, że służący może go nie zastać. Potem znów jął słabnąć, z sekundy na sekundę przeskakując od najbezsensowniejszej nadziei do najbardziej szaleńczych obaw, wyolbrzymiał zarówno szanse nagłego wyzdrowienia, jak i lęki przed wiszącym nad nim niebezpieczeństwem; minęły godziny, nadeszła chwila, kiedy zdesperowany, u kresu sił, przekonany, że lekarz nie zjawi się na pewno, powtarzał sobie z wściekłością, że gdyby pomoc nadeszła w porę, byłby niewątpliwie ocalony; po czym rozwiąła się złość na sługę i na lekarza, którego oskarżał, iż po-

zwala mu umrzeć, a na koniec diuk Jan rojzurzył się na samego siebie, wyrzucając sobie, że czekał tak długo, nim zawołał o ratunek, i wmawiał w siebie, że już byłby zdrow teraz, gdyby nie dalej jak w przeddzień zażądał mocnych lekarstw i skutecznej opieki.

Uspokoili się z wolna te występujące na przemian alarmy i nadzieje, które grzechotały w opustoszałej głowie; owe wstrząsy zmordowały ostatecznie diuka Jana; zapadł w sen znużenia przecinany wizjami niezbornymi, w rodzaj omdlenia, z którego co i raz się budząc, nie odzyskiwał przytomności; i tak na koniec zatracił świadomość swoich pragnień i leków, że tkwił ogłupiały i nie zdziwił się ani nie uradował wcale, gdy nagle wszedł doktor.

Sługa uwiadomił go był zapewne o trybie życia, jaki prowadził des Esseintes, a także o symptomach, które mógł obserwować od owego dnia, kiedy podniósł go pod oknem, powalonego gwałtownością zapachów, doktor niewiele bowiem pytań zadał choremu, a zresztą historię jego cierpień znał już od długich lat; ale zbadał go, opukał, z uwagą przyjrzał się moczowi, gdzie białe smugi wyjawiały mu najistotniejszą przyczynę neurozy diuka Jana. Napisał receptę i odjechał bez słowa, zapowiadając tylko rychły powrót.

Des Esseintes, podniesiony na duchu tą wizytą, zatrwożył się jednak milczeniem doktora i zaklął sługę, żeby dłużej prawdy przed nim nie taił. Stary zapewnił pana, że lekarz nie zdradził się z jakimkolwiek zaniepokojeniem, des Esseintes zaś, choć podejrzliwy z natury, nie wykrył w pogodnym obliczu sędziwego sługi nawet śladu kłamstwa.

Wtedy rozkurczyły się jego myśli; bo i skądinąd nacichły cierpienia, ze słabości zaś, jaką odczuwał we wszystkich członkach, wykluwała się już pewna



słodycz, coś na kształt pieściwości nieokreślonej i leniwej zarazem; w końcu zdumiał się i ucieszył, że nie będą go faszerować narkotykami i obstawiać flaszeczkami, i blady uśmiech poruszył mu wargi, kiedy sługa wniósł odżywczy irygator z płynem peptonizowanym, uwiadamiając pana, że zabieg ów, będzie powtarzał trzy razy na dobę.

Operacja się udała, kontentując des Esseintes'a tak mocno, iż diuk Jan nie mógł powstrzymać się od złożenia sobie milczących gratulacyj: ewenement ów ukoronował na swój sposób egzystencję, jaką sobie był stworzył; jego umiłowanie sztuczności osiągnęło teraz, bardziej niechcący niż chcący, szczyt najwyższy, jaki by sobie wymarzył; nie posunie się dalej; pokarm tym sposobem wchłaniany to na pewno krańcowa dewiacja, jakiej dopuścić się można.

„Jakaż byłaby to rozkosz — dumał — gdyby się dało, po powrocie do najlepszego zdrowia, zachowywać tę prostą dietę. Co za oszczędność czasu, co za radykalne pozbycie się awersji, jaką w ludziach bez apetytu wywołuje mięso! Co za definitywne uwolnienie się od fatygi, o jaką przyprawia zawsze wybór potraw, z konieczności ograniczony! Co za energiczny protest przeciw niskiemu grzechowi łakomstwa! Na koniec, co za ostateczna obelga rzucona w twarz tej odwiecznej naturze, której jednostajne wymagania wygasną zapewne raz na zawsze!”

I dumał dalej, mówiąc do siebie półgłosem:

— Łatwo będzie ostrzyć sobie apetyt wlewkami z mocnych i gorzkawych alkoholi, skoro, rzecz biorąc logicznie, myśleć będziemy tak oto: „Która to właściwie godzina? Bo zdaje mi się, że czas już zasiąść do stołu, brzuch mi przyrósł do krzyża”; a wtedy sługa nakryje stawiając na obrusie instrument dostojny, ja zaś odmówię „Pobłogosław Panie...” i w ten sposób

skasujemy nudną i wulgarną pańszczyzną posiłków.

Po kilku dniach sługa wkroczył z płynem lewatywnym, którego kolor i zapach różniły się absolutnie od zalet cieczy peptonizowanej.

— Ależ to nie ten sam! — zaniepokoił się des Esseintes i, mocno poruszony, spoglądał na płyn, którym starzec napełniał irygator. Jak w restauracji zawołał o jadłospis, a rozkładając receptę wypisaną przez doktora, przeczytał:

Tranu ze sztokfisz	20 gramów
Herbaty wołowej	200 gramów
Wina burgundzkiego	200 gramów
Żółtko	szt. 1

Rozmarzył się diuk Jan. On, który z powodu ruiny swojego żołądka nie mógł interesować się sztuką kulinarną, przyłapał się nagle na medytacjach łakomczucha; po czym cudaczna myśl przemknęła mu przez głowę. Może lekarz sądził, iż osobliwe podniebienie pacjenta sprzykrzyło już sobie smak pepsyny; może chciał, niby wytrawny kuchmistrz, odmienić smak pokarmów, zapobiec kompletnemu bezapetyciu, jakie mogłaby spowodować monotonia potraw. Pomknąwszy za tą refleksją, des Esseintes jął komponować niebywale przepisy kulinarne, między innymi na piątek: zwiększył dozę tranu sztokfiszowego i wina, skreślając herbatę wołową jako składnik mięsny, wyraźnie zabroniony przez Kościół; wkrótce jednak musiał przerwać deliberacje nad owymi napojami odżywczymi, lekarz bowiem, któremu udało się poskromić z wolna wymioty, kazał mu łykać drogą normalną ponczowy syrop z mięsnym proszkiem, o nieokreślonej woni kakaowej, miłej rzeczywistemu podniebieniu diuka Jana.

Minęły tygodnie, żołądek zdecydował się wznowić

• umiatawie sztuczności  
• esprit raffiné



działalność; w pewnych momentach mdłości wracały jeszcze, lecz usuwało je lepiej czy gorzej piwo imbirowe i lek antyemetyczny Rivière'a.

Narządy odrestaurowały się stopniowo; prawdziwe mięso, wspomagane pepsyną, poddawało się procesom trawiennym; siły powróciły, des Esseintes mógł już ustać na nogach i próbował chodzić po pokoju o lasce, chwytając się mebli; miast radować się tym sukcesem, zapomniał o swoich zmarłych cierpieniach, zirytował się na długotrwałą rekonwalescencję i ją czynić wyrzuty lekarzowi, że drobnym kroczkiem prowadzi go do zdrowia. Co prawda, bezowocne próby zwalniały bieg kuracji; diuk Jan nie bardziej tolerował chininę aniżeli żelazo, nawet łagodzone przez laudanum, po dwóch zatem tygodniach zmarnowanych na zbędne wysiłki, jak stwierdzał niecierpliwie pacjent, lekarz musiał je zastąpić arsenianami.

Nadszedł wreszcie moment, kiedy des Esseintes mógł, nie kładąc się, spędzać popołudnia na przechadzkach, bez laski, z pokoju do pokoju. Zmierzył go wtedy gabinet; wady, z którymi oswoił się był siłą przyzwyczajenia, rzuciły mu się teraz w oczy, gdy ujrzał wszystko jakby na nowo. Kolory dobrane specjalnie do blasków lamp wydały mu się w dysharmonii ze światłem dziennym; pomyślał, że trzeba to zmienić, i zapadł w wielogodzinną medytację nad buntowniczymi przymierzami barw, nad heterogenicznymi związkami skór i tkanin.

— Stanowczo zdążam ku zdrowiu — rzekł sobie, konstatając powrót dawnych zainteresowań, starych upodobań.

Pewnego ranka, kiedy kontemplował swoje ściany pomarańczowo-błękitne, dumając nad obiciami idealnymi, pozszywanymi ze stuł Kościoła greckiego, marząc o rosyjskich dalmatykach ze złotogłowiu, o bro-

katowych kapach we wzory z cyrylicy, przetykane kamieniami uralskimi i sznurami pereł, nadszedł lekarz, a zobaczywszy nieobecny wzrok pacjenta, jął go wypytywać.

Des Esseintes zwierzył się ze swoich nieczyszczalnych pragnień, ale kiedy zaczął opowiadać zawile o swoich nowych badaniach nad barwami, o konkubinatach i konfliktach odcieni, jakie wprowadzić zamierza, doktor zaaplikował mu lodowaty prysznic, oznajmiwszy tonem nie znoszącym sprzeciwu, że jeśli nawet diuk Jan swoje projekty urzeczywistni, to w każdym razie nie w tej siedzibie.

I nie dając mu przyjść do słowa, oświadczył, że skoro już środkami działającymi jak najszybciej przywrócił pacjentowi funkcje trawienne, musi teraz energicznie zabrać się do neurozy, która bynajmniej nie została wyleczona i będzie wymagać długich lat diety i zabiegów. Dodał na koniec, że nim zastosuje jakiegokolwiek nowe leki i zanim rozpocznie długą kurację hydroterapeutyczną, niemożliwą skądinąd do przeprowadzenia w Fontenay — diuk Jan będzie musiał opuścić swoją samotnię, wrócić do Paryża i do życia towarzyskiego, słowem, popróbować wreszcie rozrywek, jakich zażywają wszyscy ludzie.

— Ależ mnie te rozrywki nie sprawiają żadnej przyjemności! — zachnął się des Esseintes. *Laudana egzystencja*

Nie wdając się z diukiem Janem w dyskusję, doktor zapewnił po prostu, że radykalna zmiana egzystencji, jakiej żąda, jest w jego oczach sprawą życia i śmierci, sprawą zdrowia lub szaleństwa, w które niebawem wmiechają się tuberkuły.

— A więc śmierć albo zesłanie! — zawołał z rozpaczą des Esseintes.

Lekarz, przepojony do szpiku przesądami światowca, uśmiechnął się tylko i znikł za drzwiami.



Zamknawszy się w sypialni, des Esseintes zatkał sobie uszy, żeby nie słyszeć walenia młotami, którymi wbijano gwoździe w skrzynie przygotowane zawczasu przez oboje służących; każde uderzenie godziło go w serce, żywą udręką wrażało się w głąb ciała. Spełniał się wyrok lekarza; lęk, aby nie powróciły cierpienia, jakich był zaznał, lęk przed okrutną agonią przemógł w nim nienawiść do ohydnej egzystencji, na którą skazała go jurysdykcja medyczna.

A przecież, powiadał sobie, istnieją ludzie, co żyją w samotności, słowem nie odzywając się do nikogo, ludzie, którzy nikną gdzieś z dala od świata, ot, chociażby więźniowie albo trapiści, i nie ma żadnych dowodów, ażeby ci nieszczęśliwcy i ci mędracy stawali się dementami czy suchotnikami. Przykłady te przytaczał lekarzowi, bezskutecznie; doktor powtarzał tonem oschłym, że do żadnych dalszych replik nie dopuści i że jego werdykt, potwierdzony zresztą orzeczeniami wszystkich znawców neuroz, brzmi tak: jedynie rozrywki, zabawy, uciechy mogą podziałać na tę chorobę, która od strony duchowej umyka w całości sile chemicznej leków; a zniecierpliwiony mędrkowaniami pacjenta, oświadczył po raz ostatni, że od opieki nad nim odstąpi, jeśli diuk Jan nie zgodzi się zmienić atmosfery i żyć w nowych warunkach higienicznych.

Des Esseintes pojechał czym prędzej do Paryża i poradził się innych specjalistów, bezstronnie przedstawiając im swój przypadek, a że wszyscy bez wahania zaaprobowali diagnozę kolegi, wynajął mieszkanie, którego nie zajmował nikt przedtem, w nowym domu, wrócił do Fontenay i blady z wściekłości rozkazał sługom przygotować kufry.

Zapadłszy w fotel, przeżuwał teraz punkt po punkcie ów nakaz nieodwołalny, który wprowadził zamęt w jego plany, odrywał go od obecnego trybu życia, grzebał projekty na przyszłość. Tak więc skończył się błogostan! Musi opuścić swoją cichą przystań, wrócić, nie oglądając się za siebie, w odmęt głupoty, która niegdyś spuściła mu cięgi!

Lekarze mówili o zabawach, rozrywkach; z kim i czym, według nich, ma się weselić, i w czym znaleźć upodobanie?

Czy sam siebie nie skazał na banicję? Czy zna kogoś, kto jak on, samą swoją egzystencją próbowałby zamknąć się w kontemplacji, nie wynurzać się nigdy z marzeń? Czy znał kogoś, kto byłby zdolny ocenić delikatność zdania, subtelne powaby malarstwa, kwintesencję frazy, kogoś, czyja dusza byłaby na tyle uwrażliwiona, aby zrozumieć Mallarmégo i pokochać Verlaine'a?

Gdzie, kiedy i w jakim świecie powinien drążyć, aby odkryć umysł bliźniaczy, umysł wyzwolony od komunałów, błogosławiący ciszę jako dobrodziejstwo, niewdzięczność jako ulgę, nieufność jako azyl, port?

W świecie, wśród którego żył, nim wyprowadził się do Fontenay? Ależ większość ziemian, z którymi przedstawiał niegdyś, musiała od tego czasu jeszcze bardziej spodleć w salonach, zgłupieć przy zielonych stolikach, zużyć się pod wargami dziwek; większość nawet musiała się pożenić; żywili się, jak długo mogli, resztkami po alfonsach, a teraz ich żony dojadają resztki po alfonsicach, jeden lud bowiem, władca nowalij, nie uznaje towarów wybrakowanych!

— Prześliczny kontredansik, prześliczną wymianą jest ów obyczaj, który przyswoiła sobie socjeta, świętoszkowata przecież! — zżymał się des Esseintes.

A ponadto szlachta, zapadłszy w marazm, powymie-



rała już; arystokracja stoczyła się w kretynizm i błoto! Wygasła wśród zramolenia swoich potomków, których zdolności, tępiejąc z każdą generacją, przeradzały się w instynkty goryłów, fermentujące pod czaszkami koniuchów i dżokejów, albo też — jak tacy Choiseul-Praslin, Polignacowie czy Chevreuse'owie — tarzała się w bagnie procesów, równających ją w bezceństwie z innymi klasami.

Znikły nawet pałace, prastare tarcze herbowe, styl heraldyczny, pompatyczne maniery owej odwiecznej kasty. Ziemie nierentowne już wystawiano na licytację wraz z zamkami, złota bowiem brakowało potomkom dawnych rodów na zakup uroków Wenery.

Najmniej skrupulatni, najmniej tępi, wyzbywają się całego wstydu; gniją w nieróbstwie albo parają się brudnymi interesami, to zaś posyła ich przed sąd przysięgłych, niby ordynarnych oszustów; ale też poniekąd przydają blasku sprawiedliwości ludzkiej, która nie zawsze umiając się uwolnić od swego do nich feblika, rozdziela im w końcu nominacje na bibliotekarzy więziennych.

Owa pazerność na zarobek, ów świerzb zysku znalazły oddźwięk w innej klasie społecznej, która stale podierała się szlachtą: u kleru. Na ostatnich stronicach gazet ogłasza się dziś ksiądz, uzdrowiciel nóg cierpiących na odciski. Klasztory przeobraziły się w fabryki medykamentów i likierów. Handlują receptami albo sprzedają własne wyroby: zakon cystersów — czekoladę, trapistynę, semulinę i nalewkę z arniki; bracia od Najświętszej Marii Panny — dwufosfat wapnia leczniczy i wodę wiatropędną; jakobini — eliksir antyapoplektyczny; uczniowie świętego Benedykta — benedyktynekę; zakonna dziatwa świętego Brunona — chartreuzę.

Handel zawładnął klasztorami, gdzie miast antyfo-

narzów grube księgi rachunkowe pyszną się na pulpitach. Niczym trąd chciwość świecka zżera Kościół, przygina mnichów nad inwentarzami i rachunkami, zamienia przeorów w cukierników i konowałów, braciszków i konwersów w zwyczajnych pakierów i podłych pigularzy.

A przecież, mimo wszystko, przetrwała jeszcze garść duchownych, na których kompanię des Esseintes mógł jednak liczyć, dzielili oni bowiem, aż do pewnego punktu, jego upodobania; w towarzystwie kanoników, na ogół uczonych i dobrze wychowanych, mógłby mu upłynąć niejedną wieczór przyjemny, pełen ciepłej atmosfery; ale pod warunkiem wspólnych wierzeń: wśród owych księży diuk Jan musiałby się wyrzec bujania między poglądami sceptycznymi a zrywami wiary, które wynurzały się od czasu do czasu na powierzchni wód, wywoływane wspomnieniami z dzieciństwa.

Musiałby wyznawać poglądy identyczne, nie wątpić, on zaś w owych momentach żarliwości komponował sobie chętnie katolicyzm zaprawiony z lekka solą magii, jak za Henryka III, a także szczyptą sadyzmu, jak pod koniec XVIII wieku. Ten klerykalizm specjalny, ten mistycyzm zdeprawowany i estetycznie przewrotny, ku któremu w pewnych momentach zdązał diuk Jan, nie mógł stanowić nawet przedmiotu dysputy z księdzem, co nie zrozumiałby nic albo zaraz odtrącił go ze zgrozą.

Po raz dwudziesty nurtował des Esseintes'a ten problem nie dający się rozstrzygnąć. Chciał położyć kres owemu stanowi niedowierzań, z którym daremnie zmagał się w Fontenay; obecnie zaś, skoro miał i tak zmienić skórę, chciał zmusić się do pełnego nawrócenia, winkrustować w siebie wiarę, kiedy ją posiędzie, wśrubować ją w duszę, na koniec uczynić wia-



rę bezpieczną od wszelkich tych refleksyj, które ją podminowują i wykorzeniają; lecz im goręcej jej pożądał, im szerzej otwierał się wakans w jego umyśle, tym bardziej Chrystus zwlekał z nawiedzeniem. W miarę nawet jak wzmagał się w nim głód religijny, w miarę jak wzywał ze wszystkich sił, niczym rękojmi na przyszłość, niczym subsydium dla swojego nowego życia, owej wiary dostrzegalnej przecież, trwożyła go droga, jaką musiałby przebyć do niej, a wtedy myśli cisnęły mu się do głowy rozpalonej wciąż jeszcze, odpychając nieokręplą wolę diuka Jana, odrzucając, z pobudek zdrowego rozsądku albo z pomocą dowodów matematycznych, tajemnice i dogmaty!

„Należałoby zdobyć się na przerwanie dysputy z samym sobą — pomyślał boleśnie — należałoby zdobyć się na zamknięcie oczu, dać się unieść temu nurtowi, zapomnieć o przeklętych odkryciach, które już lat dwieście rujnują budowlę religijną od fundamentów do szczytu”.

— A w dodatku — westchnął — to nie fizjologowie i ateusze burzą katolicyzm, ale księża, których nieudolne dziełka potrafiłyby wyplenić przekonania i najupartsze.

W bibliotece dominikańskiej wielebny ojciec Rouard de Card, doktor teologii, kaznodzieja, ogłosił broszurę zatytułowaną: „O fałszowaniu substancyj sakramentalnych”, wykazując niezbitcie, że większa część mszy nie jest ważna, ponieważ kupcy dopuszczają się szalbierstw na towarach służących kultowi.

Od wielu lat oleje święte są każone gęsim smalcem; wosk — palonymi kośćmi; kadzidło — zwykłą żywicą i zestarzałym benzoem. Gorsze jednak jest to, że substancje niezbędne świętej ofierze, dwie substancje, bez których żadna ofiara spełnić się nie może, wynaturza się również: wino — licznymi rozwodnieniami,

niedozwolonymi przymieszkami drzewa z Pernambuco, jagód czarnego bzu, alkoholu, alunu, salicylu, gleyty; chleb, ów chleb Eucharystii, który winien być mieszony z kwiatu mąki pszennej, fałszuje się mąką grochową, potasem i gipsem!

Dziś na koniec posunięto się jeszcze dalej: zboże wycofano całkowicie i bezwstydni kupcy fabrykują hostie, niemal bez wyjątku, z mąki kartoflanej!

Otóż Bóg pod żadnym pozorem w mąkę kartoflaną nie zstąpi; to fakt niezaprzeczony, niezbity: Jego Eminencja kardynał Goussset w drugim tomie swojej teologii moralnej ze stanowiska Bożego obszernie rozpatrzył ów problem fałszerstwa; autorytet mistrza jest niepodważalny: tak więc nie wolno konsekrować chleba robionego z mąki owsianej, gryczanej lub jęczmiennej, a chociaż, co się tyczy mąki żytniej, przypadek mógł tak czy siak podlegać dyskusji, żadna dyskusja ani żaden spór nie obejmował mąki kartoflanej, która — jak rzecz określa Kościół — nie jest z żadnych tytułów materia kompetentną sakramentu.

A że mąka kartoflana to surowiec w produkcji szybki, hostie zaś fabrykowane z niej prezentują się pięknie, owo haniebne szalbierstwo rozprzestrzeniło się tak szeroko, iż tajemnica Przeistoczenia przestała prawie istnieć, kapłani bowiem i wierni pozywają bezwiednie opłatki obojętne.

Ach, dawno minęły czasy, kiedy Radegonda, królowa Francji, własną ręką sporządzała chleb dla ołtarzy, czasy, kiedy w myśl rytuału kluniackiego trzech kapłanów albo trzech diakonów, na czczo, w albach i humerałach, umywszy twarz i ręce, segregowało pszenicę, ziarno po ziarnie, męło ją w żarnach, miesiło ciasto w wodzie zimnej i czystej, a piekło je na ogniu jasnym, wyśpiewując psalmy!

„Tak czy inaczej — pomyślał des Esseintes — świa-



domość, że wszędzie jest się oszukiwanym, nawet u stołu Pańskiego, nie nadaje się bynajmniej do zakorzenienia wiary, i tak już okaleczając; a ponadto, jak zaufać Wszechmocy, którą paraliżuje szczypta mąki kartoflanej i kropelka alkoholu?"

Refleksje te przyciemniły jeszcze obraz życia, które diuk Jan prowadzić zamierzał, uczyniły jego horyzont groźniejszym i czarniejszym.

Tak, nie pozostawała mu żadna przystań, żaden brzeg. Co z nim się stanie w Paryżu, gdzie nie miał ani rodziny, ani przyjaciół? Żadna więź nie łączyła go już z owym Faubourg Saint-Germain, które miało ze starości, kruszyło się w pył ze zgrzybienia, dogorywało wśród nowego społeczeństwa niczym wrak zmurszały i pusty! A jaki punkt styczności mógł istnieć między nim i tą klasą mieszczańską, która zdążyła powoli wzwyż, wykorzystując wszelkie klęski, żeby się bogacić, prowokując wszelkie katastrofy, żeby respektowano jej agresję i złodziejstwa?

Po arystokracji rodowej przyszła arystokracja pieniądza; był to kalifat kantorów, despotyzm ulicy du Sentier, tyrania handlu, tyrania o poglądach przekupnych i ciasnych, instynktach pyszałkowatych i łajdakich.

Niegodziwsze, nikczemniejsze od zubożałej szlachty i podupadłego kleru, mieszczaństwo wzorowało się na ich błahej ostentacji, niezgułowatych przechwałkach, spadając się w dodatku brakiem dobrego wychowania: kradło wady, które przekształcało w obłudne występki; władcze i szczwane, paskudne i tchórzliwe, mordowało bez litości odwieczną i nieodzowną ofiarę swoich oszustw, pospółstwo, któremu samo zdjęło kaganiec, ćwicząc je w rzucaniu się do gardła sędziwym kastom!

Obecnie był to fakt dokonany. Skoro plebs zadanie

swoje spełnił, ze względów higienicznych mieszczaństwo wykrwawiło go do cna; i tak mieszczech zasiadł na tronie, bezpieczny, jowialny, dzięki sile swojego pieniądza i swojej zaraźliwej głupocie. W wyniku objęcia władzy stłamsił wszelki ruch umysłowy, zniweczył wszelką rzetelność, uśmiercił sztuki piękne: bo i rzeczywiście, spodleni artyści padli na kolana i jęli z zapalem pożerać pocałunkami śmierdzące nogi wielkich mataczy i małych satrapów, od których pobierali jałmużnę!

W malarstwie była to powódź rozlazłych idiotyzmów; w literaturze niepowściągliwość płaskiego stylu i gnuśnej treści, brudny aferzysta domagał się bowiem obyczajności, a cnoty — korsarz, który łowił posag dla syna i odmawiał wypłacenia posagu córce. Mieszczech domagał się miłości czystej od wolterianina, który oskarżał kler o gwałty, sam zaś wywachiwał obłudnie, kretyńsko, bez rzeczywistej deprawacji, jaką odznacza się sztuka, w burdelowatych pokojach mydliny z bidetów i podniecający odór nie wypranych kiecek!

Było to wielkie bagno przeniesione z Ameryki na nasz kontynent; było to na koniec olbrzymie, głębokie, bezmierne chamstwo finansisty i parweniusza, niby ohydne słońce promieniejące nad miastem bałwochwalców, które leżąc plackiem ejakulowało nieczyste kantaty przed bezbożną świątynią banków!

— No to przepadnij, społeczności! Umrzyj, stary świecie! — zawołał des Esseintes wzburzony sromotą obrazu, jaki roztoczyła przed nim wyobraźnia; owym okrzykiem przerwał gniołący go koszmar.

— Ach! — westchnął — i powiedzieć, że to wszystko nie sen! Powiedzieć, że mam wrócić między bezezną i służalczą ciżbę moich czasów!

Przywoływał na pomoc, na ukojenie pocieszające



maksymy Schopenhauera; powtarzał sobie bolesny aksjomat Pascala: „Cokolwiek ujrzałaby dusza, zasmuci się na samą myśl o tym”, ale słowa rozbrzmiewały w jego umyśle jak gdyby dźwięki pozbawione sensu; nuda kruszyła je, odejmowała im wszelkie znaczenie, wszelką cechę krzepiącą, wszelką moc miłą i skuteczną.

Jął na koniec dostrzegać, iż argumenty pesymizmu nie zdołają mu przynieść ulgi i że krzepiącą byłaby jedynie absurdalna wiara w życie przyszłe.

Przyptyw wściekłości zmiatał, niczym huragan, wszelkie jego próby rezygnacji, wszelkie zamiary zobojętnienia. Nie mógł tego zataić przed sobą, nie było nic, nie było już nic, wszystko legło na ziemi; mieszczuchy ćpały, tak samo jak w Clamart, z papieru rozłożonego na kolanach, pod wspaniałymi ruinami Kościoła, które stały się miejscem schadzek, rumowiskiem zbrukany najpaskudniejszymi facecjami, gorszącymi, tłustymi żartami. Ażeby raz na zawsze dowieść swojego istnienia, czy groźny Bóg z Genesis i błądy Odgwożdżeniec z Golgoty nie raczą wskrzesić wygasłych kataklizmów, zapalić na nowo deszczów ognistych, które strawiły niegdyś grody potępione i miasta umarłe? Czy to błoto będzie płynąć nadal i tłamsić swoim fetorem ów stary świat, gdzie kiełkuje już jedynie posiew nieprawości i wschodzi zniwo sromoty?

Drzwi otwarły się nagle; w oddali, obramowani framugą, ukazali się ludzie w kapeluszach z rondami podwiniętymi nad czołem, gładko wygoleni, z kozimi bródkami, wynosząc skrzynie i ciągnąc za sobą meble, po czym drzwi zamknęły się za sługą, który zabrał pakiety książek.

Des Esseintes osunął się przygnębiony na krzesło.

— Za dwa dni będę w Paryżu; no tak — we-

stchnął — wszystko skończyło się na dobre; jak przyptyw morza, fale przeciętności ludzkiej wznoszą się ku niebu i zatopiają azyl, którego tamy otwieram wbrew sobie. Ach, odwagi mi brak, zbiera mi się na wymioty! Panie, ulituj się nad chrześcijaninem, który wątpi, nad niedowiarkiem, który chciałby uwierzyć, nad galernikiem skazanym na życie, który odpływa samotny, nocą, pod firmamentem nie oświetlonym już pocieszającymi latarniami odwiecznej nadziei!

*Ok. w. duszy*

- 1) Le corps nerveux
- 2) L'âme nerveuse



\*Zdaję elektronicznie  
z podaniem

S. 165

Chardak zaczęła porządkować,  
kolekcje kwiatów przetrze-  
nu mi się podobać. S. 149

OBKATY REDONA  
SUKIC EL GRECA

puszki, syp, jole  
mucide

wieczne umieranie, przepiętę popiję  
się w medytacji

o powrocie kłopotliwe, męczeństwo,  
z pokuc z religijnych obywateli  
jole się napisać S. 118

Co  
czyta...

S. 194

### SPIS TREŚCI

Wstęp Juliana Rogozińskiego . . . . .	5
Przedmowa napisana po dwudziestu latach . . . . .	25
Wprowadzenie . . . . .	47
I Minęły przeszło dwa miesiące... . . . .	56
II Sprzedawszy swoje włości... . . . .	64
III Część pól... zajmowały wyłącznie książ- ki łacińskie... . . . .	73
IV Pod wieczór... . . . .	88
V Tak więc, kiedy coraz ostrzej... . . . .	100
VI Des Esseintes zapadł w obszerny uszaty fotel... . . . .	116
VII Od tej nocy... . . . .	122
VIII Szalał zawsze za kwiatami... . . . .	135
IX Koszmary te powtórzyły się... . . . .	148
X W czasie tej osobliwej choroby... . . . .	160
XI Przerazeni słudzy pobiegli... . . . .	174
XII W toku dnia, jakie nastąpiły... . . . .	190
XIII Pogoda psuła się... . . . .	215
XIV Kilka dni przetelepało się jakoś... . . . .	228
XV Entuzjazm do podkarmiacza... wygasł rów- nie szybko... . . . .	255
XVI Zamknąwszy się w sypialni... . . . .	268





„Czytelnik”. Warszawa 1976. Wydanie I.  
Nakład 20290 egz. Ark. wyd. 12,1; ark. druk. 17,5.  
Papier druk. sat. kl. IV, 65 g, 82×104. Oddano do  
składania 25 III 1976 r. Podpisano do druku 2 IX  
1976 roku. Druk ukończono w październiku 1976 r.  
Drukarnia Narodowa w Krakowie  
Zam. wyd. 917; druk. 1289/76; J-112. Cena zł 32.—  
Printed in Poland